

Ich przerażenie napawa mnie radością

Autor bestsellerowej  
powieści

GRZECH

# KREW

MAX  
CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

# KREW

FILIA

*Cały świat to scena,  
A ludzie na nim to tylko aktorzy.  
Każdy z nich wchodzi na scenę i znika,  
A kiedy na niej jest, gra różne role.*

W. Shakespeare, *Jak wam się podoba?*,  
tłum. M. Słomczyński

*Zawsze gdy na mnie spojrzysz  
wiedz, że jestem smutny  
nie dlatego  
(dlaczegokolwiek o czym pomyśleć możesz)  
ale dla czegoś innego, dalekiego,  
czym ty się nigdy nie trwożysz...*

*Umrę ci kiedyś  
Oczy mi zamkniesz  
i wtedy  
swoje  
smutne, zdziwione  
bardzo otworzysz...*

J. Tuwim, *Inne*

*Ku pocieszeniu chorym na ciele i duszy*

Cisza rozsadzała jej mózg. Lubiła to uczucie. Po wielu godzinach spędzonych w chaosie współczesnego świata, wśród rozwrzeszczanych ludzi, w otulinie kakofonii ulicznych dźwięków i milionów nieustannych bodźców cisza była wybawieniem. Niewielki dom położony kilka kilometrów od Lublina stał się dla niej enklawą spokoju. Prywatnym ustroniem, na który zarobiła, zaharowując się ponad siły, co – jak przyznawała przed samą sobą – stanowiło jeden z wielu paradoksów jej życia. Zaharować się niemal na śmierć, aby móc żyć. Poza tym nadal tkwiła w spirali pożyczek, odsetek oraz umykających terminów płatności. Niech to wszystko szlag... Niech to szlag.

Odganiając te myśli, głęboko nabrała powietrza. Stała na niewielkim, kamiennym tarasie, z którego rozciągał się widok na ścianę lasu. Dwie granice dwunastoarowej działki stanowiła linia drzew. Po przeciwnej stronie domu biegła asfaltowo-żwirowa droga, od pokonywania której każdego dnia ucierpiał nie tylko jej buty, ale przede wszystkim zawieszenie maleńkiej, czerwonej mazdy – jej dawnego marzenia, zrealizowanego niespełna przed dwoma laty. Czwartą granicę działki stanowiła miedza dzieląca ją od nieuprawianego pola, porośniętego kładącymi się trawami oraz chaszczami.

Był duszny, czerwcowy wieczór, a słońce znikło już za drzewami, pozostawiwszy na niebie czerwoną poświatę. Część nieba zasnuwały fioletowe, upiorne chmury, w których kobieta starała się doszukiwać znajomych kształtów. Od dziecka był to jeden z jej ulubionych sposobów na oczyszczenie myśli. Wpatrywała się w rozwleczone, nieco pokraczny parowiec, który z minuty na minutę coraz mocniej upodabniał się do rozpląszczonej żaby. Żaba przemieniała się w wieloryba, a wieloryb...

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Dźwięk przypominał odgłosy wydawane przez automaty do gier w chwilach, gdy na wyświetlaczu pojawiał się napis GAME OVER. Ustawiała go pod wpływem impulsu, po kilkudziesięciu minutach wybierania spośród zbyt wielu melodii.

Wyprostowała się i z niechęcią sięgnęła do kieszeni. Wyjęła komórkę, po czym zerknęła na wciąż zaklejony fabryczną folią ekran. Owszem, ostatnio dość często robiła sobie prezenty. To właśnie były uroki życia, z którego należało jak najintensywniej korzystać. Zbyt długo zajęło jej zrozumienie tej banalnej prawdy. I kosztowało ją to zbyt wiele cierpień.

Dzwonił jej ojciec. Przesunęła palec w stronę przycisku odbioru, ale nie nacisnęła go. Przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz. Przygryzła usta. Po kolejnych kilku sekundach dzwonek się wyciszył, a na ekranie pojawił komunikat o nieodebranych połączeniach.

– Potrzebuję świętego spokoju... – wycedziła, odkładając telefon na szklany stolik, na którym stały butelka wina oraz puszka piwa. – Pieprzonego spokoju. Czy to aż tak wiele?!

Przytknęła palce do skroni, po czym zaczęła je powoli masować. Od wielu lat towarzyszył jej natłok myśli. Niespodziewanie zalewały ją i sprawiały, że nie mogła się na niczym skupić. Nieuporządkowane, chaotyczne strzępki wspomnień, dygresje oraz dziecinne fantazje. Gdy czuła, że ten moment znowu nadchodzi, usiłowała się jak najszybciej upić lub położyć spać. A właściwie to drugie stanowiło konsekwencję pierwszego. Przez wściekle napady czasem na całe dni pogrążała się w swoim świecie. Jej ciało stawało się wówczas jedynie zewnętrzną skorupą, którą kierował jakiś zaprogramowany autopilot. Mimo to z pewnością nie zachowywała się wtedy normalnie, co prawdopodobnie zaważyło na niepowodzeniu kilku związków, w których tkwiła i tak zbyt długo. Oczywiście, zgodnie z radą ostatniego partnera mogłaby pójść do specjalisty, ale prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy tego chce. Taki był jej świat i przyzwyczaiła się do niego. Może bez tych napadów życie stałoby się zbyt intensywne? Może nie potrafiłaby wtedy pracować tak wiele i tak mocno, by móc kupić dom pod miastem? Zresztą, on również nie stanowił szczytu jej marzeń. Fasada wymagała solidnego odświeżenia, a większość ścian w środku była pomazana przez dzieci poprzednich właścicieli. Musiały to być dosłownie rozpieszczony demony. Jednak dom miał jedną, zasadniczą zaletę – jeden z czterech niewielkich pokoi zaadaptowano na saunę. Taką w skandynawskim stylu, obitą drewnem i z możliwością rozpylania rozmaitych olejków zapachowych, które poza snem oraz alkoholem

stanowiły najlepszy sposób na przegnanie natłoku myśli.

Dzwonek telefonu odezwał się po raz kolejny. Kobieta nawet na niego nie zerknęła. Przez drzwi tarasowe weszła do ciasnego salonu, w którym stała czerwona, nowoczesna kanapa, stół w takim samym kolorze oraz drewniany regał z zaskakująco dużym telewizorem. Minęła go, po czym skręciła w wąski korytarz. Idąc nim, zaczęła się rozbierać. Rzuciła na podłogę białą bluzkę oraz niebieskie jeansy. Przytrzymując drzwi do sauny, zdjęła stanik i majtki. Całkowicie naga weszła do niewielkiego pomieszczenia, w którym przyciemnione, zielonkawe światło tworzyło niesamowitą atmosferę. Przy uruchomionym niedawno termostacie temperatura stale utrzymywała się w okolicach pięćdziesięciu pięciu stopni, lecz kobieta delikatnie ją podkreśliła. Miała ochotę wypocić z siebie wszystkie te cholerne myśli. Ojciec, przeszłość, mnóstwo facetów, znów ojciec, faceci, seks, ohyda, ciało, które jest jedynie skorupą, znów faceci...

Usiadła na długiej, drewnianej desce. Zapomniała o ręczniku, ale nie chciało się jej po niego wracać. Odchyliła głowę i oparła ją o ścianę. Zamknęła oczy. Z dysz, delikatnie sycząc, płynęło gorące powietrze. Powoli się odprężała, a jej myśli się uspokajały. Szybko jednak zrobiło się jej zbyt duszno. Pobudzone upałem serce, zamiast spowolnić, zaczęło przyśpieszać. Jego dudnienie przegnało z głowy ostatnie strzępki niedawnych myśli. Przecież właśnie tego chciała...

Otworzyła oczy i wyciągnęła dłoń ku gałce termostatu. Skręciła temperaturę, lecz gorące powietrze leciało z dysz jeszcze szybciej. Pomieszczenie wypełniała gorąca, nieprzyjemna para.

– Cholerne gównno...

Coś musiało się zepsuć. Jak mnóstwo rzeczy w tym domu, odkąd go kupiła. Dwa krany, drzwi tarasowe, kaloryfer... Mimo że poprzedni właściciele zapewniali o doskonałym stanie technicznym budynku oraz sprzętów, lista usterek była naprawdę długa. Wstała i cicho klnąc, skierowała się do drzwi. W środku zrobiło się tak gorąco, że parzył ją każdy oddech.

Wściekła nacisnęła klamkę, ale ta nie ustąpiła.

Nacisnęła ją ponownie, znowu bez skutku, jakby drzwi się zablokowały. W pierwszej chwili poczuła jedynie narastającą złość, lecz błyskawicznie zastąpił ją strach. Co robi, jeśli... Nawet nie chciała wyartykułować tej myśli. By nabrać głębiej powietrza, przysłoniła nos wierzchem dłoni.

Przeżona uderzyła pięścią w grube, drewniane drzwi, lecz te ani drgnęły. Nagle w niewielkiej okągłej szybie dostrzegła dziwny cień, który powoli wyłaniał się zza kłębu pary.

Ktoś uważnie przypatrywał się jej z drugiej strony. Nie miała wątpliwości, że ten ktoś szeroko się uśmiecha. I nie był to przyjazny uśmiech. Był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki w życiu widziała.

– Otwórz drzwi! – wrzasnęła z całych sił. – Otwieraj!

Nie krępowała jej nagość ani nie przerażał jej fakt, że ktoś obcy jest w domu. To nie miało znaczenia. Liczył się tylko piekielny gorąc, który oblepiał ją nie tylko od zewnątrz, ale i coraz mocniej od środka. Każdy oddech właczał w płuca wrzące powietrze. Nozdrza ją piekły, a w gardle paliło. Przysłoniła nos oraz usta zagięciem ręki. Drugą dłonią ponownie chwyciła klamkę. Szarpnęła nią z wszystkich sił. Bezskutecznie.

Za drugim razem coś się poluzowało i kobieta w głębi świadomości pojęła, co się stało. Nacisnęła klamkę ponownie, a ta, zgodnie z jej przeczuciem, odkręciła się od zamka, po czym z głuchym brzęknięciem upadła na podłogę.

– Kurwa...

Nachyliła się, dotykając czołem szyby. Para była tak gęsta, że niewiele widziała. Poza tym piekły ją oczy i musiała nieustannie mrugać. Nie była nawet pewna, czy po drugiej stronie wciąż widzi czyjś cień. Może to wszystko się jej przywidziało? Może było jedynie wytworem pędu myśli pobudzonego przez temperaturę? Kiedyś zdarzało się jej popadać w kompletne otepienie, w którym potrafiła machinalnie ciąć sobie żyłką nadgarstki albo skórę między palcami. Samoudręka była sposobem ucieczki od rzeczywistości. Jednak nie mogłaby przecież zamknąć się od zewnątrz.

– Otwieraj!

Nie miała pojęcia, czy ktokolwiek ją słyszy. Być może kierowała te nawoływania wobec wytworu własnej fantazji. Starła się skupić, lecz panika wyzwaliała jeszcze większą kotłowaną myśl. Schyliła się po klamkę. Podniosła ją i usiłowała wcisnąć ją na swoje miejsce, ale brakowało w niej kilku śrub. Musiały potoczyć się gdzieś pod drewnianą ławę.

– Cholera...

Cofnęła się o kilka kroków i z impetem natarła barkiem na drzwi. Przeszył ją paraliżujący ból, ale zawiasy nawet nie drgnęły. Zielone światło stawało się tak delikatne, że poruszała się niemal w półmroku, jakby w środku księżycowej nocy znalazła się pośród gęstej mgły.

Boże...

Zaczynało brakować jej powietrza. Skóra na całym ciele paliła, choć schładzał ją wciąż obficie wydzielany pot. Podłoga zrobiła się tak gorąca, że musiała przestępować z nogi na nogę. Kręciło się jej w głowie. Nie wiedziała, ile to wszystko trwa, ale na przemian wydawało się jej, że czas mknie błyskawicznie lub gwałtownie się zatrzymuje. Ból oraz cierpienie trwały nieskończenie długo.

Komórka... Chciała wezwać pomocy, ale przypomniała sobie, że zostawiła ją na tarasie.

– Pomocy! – krzyknęła, zdzierając sobie gardło. – Po...

Umilkła, zdając sobie sprawę, że to bezcelowe. Wpuszczanie do ust wrzącego powietrza było tylko kolejną torturą, niemogącą niczego zmienić. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali kilkaset metrów dalej, jedyną szansą na ratunek byłby ktoś przechodzący ulicą, ale po pierwsze, niemal nikt nią nie chodził, a po drugie, jakim cudem jej krzyk miałby wydostać się z pomieszczenia obitego kilkoma warstwami drewna oraz specjalnych tworzyw?

Zaczęła płakać. Piekł ją każdy fragment skóry. Wymachiwała rękoma, bo bolał ją nawet dotyk wewnętrznej strony ramienia do pachy. Zdała sobie sprawę, że przestała się pocić. Kręciło się jej w głowie i miała wrażenie, jakby w gardle utkwili jej rozgrzane do czerwoności węgle. Podbicia stóp gwałtownie opuchły. Z trudem się poruszała, lecz zdobyła się na kolejny wysiłek. Wspięła się na ławę, aby być jak najwyżej. Wyciągnęła głowę niemal pod sam sufit. Powietrze tam było nieco, ale tylko nieco, chłodniejsze. Przede wszystkim udało się jej zaczerpnąć głęboki, nieco mniej bolesny oddech.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

Oszalała ze strachu wpadła na pewien pomysł. Rozejrzała się po pomieszczeniu, lecz nie dostrzegła niczego, czym mogłaby osłonić rękę. Nawet cholernego ręcznika...

Wściekła, niemal odchodząc od zmysłów, zeszła na wrzącą podłogę i natychmiast ugięły się pod nią nogi. Musiała podeprzeć się o ścianę. Dotyk sprawił jej niewyobrażalny ból. Mimo półmroku widziała, że na jej skórze pojawiają się pełne wysięków bąble. Była cała czerwona.

Gotowała się żywcem. Na zewnątrz i od środka.

Ciężko dysząc, dowlokła się do drzwi, po czym uderzyła dłonią w szybę. Wzmacniane szkło nie ustąpiło. Uderzyła ponownie. I znów. A potem po raz kolejny... Każdy z ciosów był słabszy od poprzedniego.

Opadała z sił, a jednocześnie receptory nerwowe zdawały się pracować na zdwojonych obrotach. Ból stawał się niewyobrażalny. Nigdy, przenigdy tak nie cierpiała. Zaczęła uderzać się dłońmi po ciele, a pękające pęcherze zdawały się sprawiać jej krótkotrwałą ulgę. Mózg zdawał się rozsadzać jej czaszkę, jakby przestał się w niej mieścić. Mogła nabierać powietrze tylko bardzo płytko. Chciała jeszcze raz wziąć oddech, lecz nie miała już dość sił, by wspiąć się na ławę. Dysząc, osunęła się na podłogę. Spojrzała ponownie ku okienku w drzwiach. Mimo kłębow pary ponownie dostrzegła w niej cień.

To była śmierć.



## Dzień pierwszy

– Jeszcze jeden?

Barman porozumiewawczo mrugnął do Karola Werskiego. Był to jego stały klient i wiedział o nim tyle, że gdy tylko zaszumi mu w głowie, to nie będzie potrafił oderwać się od kolejnych dawek alkoholu. Właściwie zależało mu tylko na ich regularnym dostarczaniu. Tak było i tym razem. Pięćdziesięciokilkuletni, nieco otyły mężczyzna skinął głową. Przez jego poślódką twarz przemknął porozumiewawczy grymas.

– Lej – mruknął.

Barman nalał i Werski natychmiast wypił. Odstawił kieliszek, z impetem stukając nim o kontuar. Siedząca obok blondynka zerknęła na niego z przyganą.

– Coś nie tak? Moja droga, to bar, a nie restauracja Savoya.

Kobieta nie odpowiedziała. Odwróciła się, by kontynuować rozmowę z ubraną całkowicie na różowo koleżanką. Już dawno musiały przekroczyć trzydziestkę, lecz w sposobie ubierania oraz w zachowaniu usiłowały pozować na znacznie młodsze. Werski odwrócił się do barmana. Na kamiennym blacie stał ponownie uzupełniony kieliszek.

– Znowu chcesz mnie upić, chłopaku. Ale to dobrze, bardzo dobrze. Przecież mamy to na celu, ja i ty, prawda?

Westchnął i sięgnął po wódkę, lecz w pół ruchu się rozmyślił. Oparł się łokciami o kontuar. Barman puścił do niego oko.

– Jest pan jednym z tych gości, których wolę po przyjęciu dawki alkoholu, nawet sporej, niż trzeźwych.

– Osz ty! – Werski uśmiechnął się i rozbawiony pogroził mu palcem. – Usiłujesz dać mi do zrozumienia, że na trzeźwo jest ze mną coś nie tak? O to ci chodzi, że tak powiem, między wierszami?

– Absolutnie. Po prostu z dwóch wersji wybieram tę, która opowiada całkiem zabawne historie.

– No i daje zarobić. A poza tym robi z siebie kompletnego durnia. Zdaje się, że ostatnio odgrywałem jakąś scenkę, choć pamiętam to tylko jak przez mgłę. Chyba mi się nie przyśniło?

– Król Lear. – Barman na samo wspomnienie zarechotał. – Albo Ryszard Któryś-tam, nie pamiętam. Ale to było po prostu wyborne! Szef powinien pana zatrudnić na występy zamiast tych nędznych stand-upperów.

– Szefowi nie spodobałoby się, że inni klienci... i klientki – Werski wymownie łypnął w stronę kobiet, lecz te były pochłonięte rozmową – mogą być zdegustowani podobnymi wygłupami. Tak się kończy, jak człowiekowi alkohol za mocno strzeli do łba.

– Mnie to tam...

Barman machnął ręką i odwrócił się ku grupie młodych osób, które przekrzykując się, usiłowały ustalić, co zamawiają. Werski powiódł wzrokiem po rządach butelek ustawionych na czarnych, podświetlanych kolorowymi ledami półkach. Nie smakowało mu niemal nic poza wódką. Właściwie wódki też nie lubił, ale kac po niej był najbardziej znośny. Kolorowe alkohole wykańczały go z roku na rok coraz szybciej, a do tego rano nie potrafił zwlec się z łóżka.

– Prawda to jest pies, którego korbaczem wyganiają do budy – zadeklamował pod nosem – gdy tymczasem jaśnie wielmożnej bonońskiej suszce wolno przy kominie leżeć i cuchnąć...

Blondynka ponownie się odwróciła, lecz tym razem nie spojrzała na niego z wyrzutem. W jej oczach tliło się zaciekawienie. Wymieniła kilka słów z koleżanką, po czym odsunęła się nieco od kontuaru, by móc usiąść do niego bokiem.

– To Shakespeare?

Werski skinął głową, po czym wychylił wódkę. Poczul się dziwnie zmieszany. Przenikliwe spojrzenie kobiety sprawiało mu przyjemność, a jednocześnie wprawiało w zakłopotanie. Blondynka ponownie wymieniła kilka uwag z koleżanką, lecz lecąca z nieodległych głośników jazgotliwa muzyka kompletnie zagłuszyła jej słowa.

– Król Lear – obwieścił, usiłując przekrzyczeć wzmagający się harmider. – Piękna scena!

– Niech pan wyrecytuje coś jeszcze.

– Podobało się pani?

– Moja koleżanka uwielbia teatr... – Blondynka skinęła głową ku kobiecie w różu, jakby w ten sposób ich sobie przedstawiała. – Wie pan, chodzi na każdą premierę, choć potem nieustannie narzeka. Zbyt to nowoczesne, zbyt smutne, zbyt wesołe... Nie ma to jak dawne sztuki, prawda, Kamila?

Kobieta nazwana Kamilą jedynie się uśmiechnęła, gdyż nie mogła słyszeć słów koleżanki.

– W każdym razie... – ciągnęła blondynka – gdy tylko skończy się ta wariacka piosenka, mógłby pan... No, sam pan wie.

Werski nie wiedział, ale uwaga, którą przykuł swoją osobą, bardzo mu się podobała. Nawet się zarumienił. Chciał coś powiedzieć, lecz w kieszeni poczuł wibrację telefonu. Wyciągnął go i przepaszając machnął w stronę kobiet. Nie patrząc na ekran, odebrał.

– Halo – odezwał się, przytykając palcem drugie ucho. – Proszę powtórzyć.

Wstał z hokera i odwrócił się plecami do baru. Pochylił się, jakby to mogło mu pomóc lepiej słyszeć.

– To jakaś pomyłka – wyszeptał.

Jednak to, co usłyszał, nie było pomyłką. Karol Werski momentalnie pobladł i zapomniawszy o rachunku oraz kobietach, pośpiesznie ruszył do wyjścia.

Deryło był głodny. Jednak to nie głód potęgował jego rozdrażnienie, lecz pasmo nieszczęść, które nie zwiastowało tego wieczoru niczego dobrego. Po pierwsze, w komendzie w dorocznej loterii dobroczynnej wylosował rolę policjanta przebierańca, mającego bawić dzieci na zabawie dla rodzin pracowników. To jeszcze był w stanie przełknąć, tym bardziej że do imprezy zostało kilka dni. Drugim nieszczęściem okazał się bunt jego ukochanego, restaurowanego od dwóch lat auta – citroëna model H. Byli niemal równolatkami i psuli się w podobnie zastraszającym tempie. Mimo to w samochodzie części można było wymienić, co u człowieka zdawało się znacznie utrudnione. Prawie trzy kwadransy zeszedł mu na ustalaniu przyczyny awarii, a następne pół godziny mocował się z gaźnikiem. Na szczęście prawie sześćdziesięcioletni silnik można było rozebrać i złożyć za pomocą młotka oraz śrubokrętu. Na tym dobre wieści się kończyły.

Trzecim ogniwem łańcucha nieprzewidzianych wypadków był wybór okrężnej drogi do domu. Deryło uznał, że nie będzie pchał się w korek przez centrum, a pojedzie północną obwodnicą miasta, nadrobi kilka kilometrów, ale finalnie wypadnie na Nałęczowską, z której do domu miał już tylko kilkanaście minut. Znał przy tym uroczy skrót boczną drogą mający mu zapewnić ciekawe doznania wizualne. Koncepcja była dobra, ale realizacja znacznie odbiegła od założeń. Gdy na owej bocznej drodze dostrzegł starego golfa stojącego na światłach awaryjnych oraz krążącą wokół niego zrezygnowaną kobietę, musiał się zatrzymać. Kolejne pół godziny stracił na wymienianiu koła z przebitą oponą na dojazdówkę.

Wreszcie cały umazany w smarze, psiocząc, że robi z siebie Marię Teresę, ruszył w kierunku domu. Zastanawiał się, co ma w lodówce, gdy odezwała się jego komórka. To był punkt kulminacyjny. Po całym dniu, a nawet po całym tygodniu, gdy nie miał wiele roboty, posterunkowa Nowak uprzejmie poinformowała go o zwłokach odnalezionych w domu oddalonym kilka kilometrów od Lublina.

– Ja pierdołę! – Deryło tylko w ten sposób skwitował wiadomość, po czym poprosił podwładną o wskazanie adresu.

Citroën oczywiście nie miał nawigacji, a komisarz nie potrafił obsłużyć jej w telefonie, więc musiał się zdać na starą mapę. Przynajmniej w okolicy, do której się kierował, niewiele się zmieniło przez ostatnie półtorej dekady i przyjechał niemal równocześnie z technikami. Czarny bus, wypchany po dach specjalistycznym sprzętem, zatrzymał się na pełnym wybojów poboczu. Po drugiej stronie wąskiej drogi znajdował się niewielki, dość nowoczesny dom. Posesja nie była otoczona żadnym ogrodzeniem, a przez jej środek biegł chodnik z żółtej kostki brukowej. Pod otwartą, drewnianą wiatą stał maleńki, czerwony kabriolet.

– Już was tu przywiało? – zagadnął Deryło do znajomego technika, który niósł kombinezon. – Niech to cholera.

– Miło pana widzieć, komisarzu.

– Nie powiem, że z wzajemnością.

– Ma pan coś na policzku. Smoła czy...

– Smar. Myślałem, że na dziś już zakończyłem robotę i oddałem się majsterkowaniu.

– Plany są po to, aby trafiał je szlag, nie wiedział pan?

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, choć na ich twarzach zagościł cierpiętniczy wyraz.

– Słyszałem, że szykuje się niezbyt przyjemna robota... – Kryminalistyk poprawił kombinezon.

– Dlatego nigdy nie dopytuję o cholerne szczegóły. Wolę tkwić w błogiej nieświadomości, dopóki nie zjawię się na miejscu, i serdecznie dziękuję, że właśnie pozytywnie mnie nastroiłeś. – Deryło pomachał do krągłej kobiety, która również nosiła kombinezon. – Zepsułeś moje kilkanaście minut spokoju. Ale widzę, że jesteśmy na miejscu w komplecie...

Dopiero teraz dostrzegł stojący za domem wóz strażacki oraz pojazd firmy energetycznej.

– Brakuje mi tylko karetki...

– Już odjechała – odezwała się techniczka. Pocałowała Deryłę w policzek i założyła rękawiczki. – Przed chwilą dostaliśmy komunikat, że dom jest cały do naszej dyspozycji.

– Nie mogłem się doczekać.

– Sezon znów się rozpoczął, prawda, komisarzu?

– Sezon na świrów?

Kobieta wzruszyła ramionami. Szli obok siebie, kierując się w stronę domu. Przed wejściem stało dwóch policjantów. Jeden z nich miał trupio bladą twarz, czerwone usta i przeszkłone oczy. Na widok komisarza z wszystkich sił starał się natychmiast doprowadzić do porządku. Poprawił mundur i wyprostował się jak struna.

– To zapewne duet odpowiedzialny za ściągnięcie nas tutaj? – Deryło westchnął. – Byliście w środku?

Blady policjant skinął głową.

– Najpierw przyjechali ci od energetyki... Doszło do jakiegoś przeciążenia czy coś i ustalili, że to tutaj – bełkotał nieco bez składu. – Drzwi były otwarte, więc weszli do środka... A potem wezwali już nas, na wszelki wypadek, bo niby to wszystko to mógł być tylko nieszczęśliwy wypadek, prawda? Tyle że... Sam pan zobaczy. Nie, to nie był wypadek. – Policjant chciał splunąć, lecz się powstrzymał. Głośno przełknął ślinę. – To popieprzone, panie komisarzu. Jak z jakiegoś koszmaru... Albo gorzej.

Haler uwielbiała wsłuchiwać się w ryk silnika swojego motocykla. Uwielbiała tę maszynę, a pędząc jak opętana, czuła się z nią wręcz jednością. Jak dżokej i koń. Przed całkowitym oddaniem się szaleństwu powstrzymywały ją jedynie dwa wielkie kufry, w których poza zapasowym kaskiem oraz kurtką woziła najczęściej powietrze. Wiedziała jednak, że właśnie te kufry, hamujące zapędy przed straceńczą jazdą, mogą uratować jej życie. Nie była lekkomyślna, ale często nachodziły ją myśli o tym, że śmierć przy zderzeniu ze ścianą z prędkością dwustu kilometrów na godzinę to łagodny wymiar kary, tym bardziej że w ostatnich tygodniach zaobserwowała wzmożenie objawów choroby.

Płasawicę Huntingtona zdiagnozowano u niej przed niespełna dwoma laty. To przez nią podjęła decyzję o odcięciu się od większości bliskich i przeprowadzce z Krakowa do Lublina. Przez nią, a zarazem dzięki niej, trafiła do zespołu legendarnego komisarza Deryły. Wydawało się, że w momencie, gdy skończyła trzydzieści dwa lata, kariera staje przed nią otworem. Tymczasem rokowania przekreślały jakiegokolwiek nadzieje na kolorową przyszłość oraz starość spędzoną na wygłaszaniu odczytów dla policyjnych kursantów i tuleniu wnuków. Choroba rozwijała się szybciej, niż szacowali najbardziej pesymistyczni lekarze. Drżenie rąk oraz nóg pojawiało się coraz częściej i coraz dłużej się utrzymywało. Co więcej, Haler miała poczucie, że bywa nienaturalnie rozkojarzona, a jej pamięć zaczynała szwankować. Dla osoby z wręcz encyklopedyczną, niezwykle poukładaną wiedzą było to przekleństwem.

W związku z ostatnimi paroksyzmami Tamara planowała wziąć kilka tygodni wolnego i zaszyć się w jakiejś głuszy. Z nikim nie rozmawiała o swoich problemach, lecz miała poczucie, że przez ostatnie miesiące zbyt mocno zżyła się z komisarzem. Traktowała go nie tylko jako doświadczonego przełożonego, ale również jak mentora i poniekąd zastępstwo za ojca. Zresztą zdawało się, że jego uczucia są wzajemne. Chciała za wszelką cenę uniknąć ckliwych pogadanek, a jednak czuła, że te są nieuniknione. Musiała z kimś porozmawiać, o ile zamierzała uniknąć szaleństwa. Przynajmniej na razie. To poczucie własnej słabości i potrzeby obarczenia innych własnym problemem przyprawiało ją o wyrzuty sumienia. Właśnie to stanowiło główny bodziec do kilkutygodniowego wyjazdu, wyłączenia telefonu i próby nabrania dystansu do świata oraz samej siebie. Niestety prośba o urlop, którą zamierzała wystosować kolejnego ranka, stawała pod znakiem zapytania. Deryło rzadko kiedy wzywał ją poza godzinami pracy. Zdarzało się to najczęściej wtedy, gdy bezwzględnie potrzebował jej pomocy i tak zapewne było tym razem. Przez telefon wybełkotał jedynie kilka lakonicznych zdań, do tego głosem tak ponurym, jakby prowadził nabożeństwo żałobne.

Powitał ją skwaszoną miną oraz świdrującym spojrzeniem zmęczonych oczu. Przepraszająco rozłożył dłonie.

– Chciałem, żebyś rzuciła na to okiem na miejscu – mruknął tonem usprawiedliwienia. – Sama narzekasz, że zdjęcia nie oddają prawdy.

Haler uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Bo tak jest.

– Uwielbiam twoje zaangażowanie. – Komisarz parsknął. – To miód na moje starcze serce.

– Przyznaj, że ten miód leje się na to serce tylko wtedy, gdy wnoszę coś do sprawy. Dlatego pozwól mi się rozejrzeć. Gdzie mam iść?

Tamara zatrzymała się w połowie ścieżki prowadzącej do domu. Powiodła spojrzeniem po linii lasu, po niewielkim ogrodzie tonącym już w wieczornym półmroku, a następnie zatrzymała wzrok na pojeździe energetyków. Skinęła głową, jakby z zadowoleniem układała kolejne elementy układanki. Właściwie, wbrew pozorom, była zadowolona, że znów jest potrzebna. Świadomość tego pozwalała zagłuszyć przynajmniej część natrętnych myśli. Być może praca była lepsza od samoudręki w ascetycznej głuszy.

– Jest źle? – zapytała, ruszając w stronę domu.

– Bardzo źle – odparł Deryło. – Powiedziałbym, że jest kurewsko źle. No i musisz coś zobaczyć.

– Możemy się rozejrzeć? – Deryło spojrzał na technik kryminalistyczną, która w kombinezonie klęczała tuż obok wejścia do sauny.

Drzwi były otwarte, obok nich stał metalowy przedmiot przypominający ogromną pompkę do roweru. Kilka centymetrów dalej ustawiono tabliczkę z numerem „7”.

– Zapraszam w moje skromne progi...

Technik podniosła się i ciężko sapnęła. Z ledwie widocznym zza maski markotnym uśmiechem pomachała do Haler.

– Przybyło wsparcie?

– Słyszałam, że nasi chłopcy najpierw uznali to za nieszczęśliwy wypadek. Już miałam nadzieję, ale... – Tamara wskazała na metalowy przedmiot.

– To drobny szczegół rzutujący na ich wizję. – Deryło parsknął. – Podnośnik hydrauliczny używany w zakładach mechanicznych lub na budowach. Ewentualnie w marketach, gdzie z jego pomocą podnosi się palety z ciężkim towarem.

– Obstawiam, że ofiara nie urządziła sobie w domu zakładu mechanicznego, a żadne meble nie wyglądają na zbyt ciężkie, by je po prostu przesunąć. No, chyba że ktoś chciał bardzo dokładnie pod nimi odkurzać... Ludzie mają różne fantazje.

– I tu zaczynają się ciekawostki. – Technik zdjęła rękawiczkę i porozumiewawczo klepnęła Haler w ramię. – Zostawiam was na chwilę samych. Postarajcie się niczego nie ruszać, nie pluć na podłogę, a gdyby któremuś z was zachciało się rzygać, choć tego się nie spodziewam, bądźcie uprzejmi skorzystać z kibla. Najlepiej tego zwanego ogrodem.

Deryło włożył ręce do kieszeni spodni. W prawej, jak zawsze, nosił srebrny, rzymski sesterc z czasów cesarza Trajana. Jego amulet szczęścia, który nie na wiele się zdawał.

– Podnośnik hydrauliczny świadczy o tym, że to nie był nieszczęśliwy wypadek – odezwał się całkowicie poważnie. – Denatka musiałaby przeniknąć przez ścianę, zablokować nim od zewnątrz drzwi do sauny i z powrotem wrócić do środka...

– Ciekawa wizja.

– Chyba mało przekonująca.

Haler przygryzła wargę i ostrożnie zrobiła kilka kroków w stronę niewielkiego pomieszczenia.

– A więc to jest sauna... – mruknęła do siebie. – Kobieta utknęła w środku i nie mogła wyjść.

– Nazywając rzeczy po imieniu, ugotowała się żywcem. Ktoś majstrował przy zasilaniu tak wytrwale, że temperatura w środku sięgnęła prawie stu pięćdziesięciu stopni.

– Auć...

Tamara stanęła w progu i wydusiła z opakowania miętową drażę. Zaczęła ją intensywnie ssać. Zmrużonymi oczami wpatrywała się w leżące w embrionalnej pozycji ciało. W powietrzu wciąż unosił się zapach przypominający przypieczone mięso. Kobieta schowała głowę między ramiona, z których niemal kompletnie zeszła skóra. Czerwone plamy mieszały się z ogromnymi bąblami. Gdzieniedzie znajdowały się ślady zaschniętej kwi. Wzdłuż kręgosłupa biegło podłużne pęknięcie skóry, które odsłaniało fragmenty ścięgien oraz biel kręgów. Pośladki przypominały wypieczony stek, a prawy – dotykający podłogi – miał barwę fioletową z chropawą fakturą. Wokół niego na drewnianym panelu widniała plama, najwidoczniej płynów ustrojowych, które wypłynęły z ciała.

Tamara uklękła i powoli wciągnęła powietrze. Była szczególnie wrażliwa na aromaty, lecz w tym przypadku nie wyczuwała nic niezwykłego. Uważnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Oświetlały je reflektory kryminalistyków tak, że bez problemu widać było każdy zakamarek. Poza śladami śmierci właścicielki sauna wydawała się niemal sterylnie czysta.

– Układ ciała typowy w podobnych sytuacjach. – Haler wstała i odwróciła się do Deryły. – Znaczna część zmarłych w Pompejach przybierała właśnie taką pozycję. Była równie popularna wśród

ofiar bombardowań w czasie wojny światowej. Spotyka się ją u górników odciętych od świeżego powietrza, a nawet u osób, które zamrzły. Obstawiam, że nie znajdziemy żadnych zaskakujących obrażeń.

– Wystarczą te, które widzę gołym okiem.

– Ma to dwie strony. Nie mamy co liczyć, że sprawca wcześniej przynajmniej ją czymś otumanił.

Deryło westchnął. Założył na jedną dłoń gumową rękawiczkę i delikatnie chwycił za skraj drzwi.

Przymknął je tak, aby Haler mogła zobaczyć szybkę.

– Spójrz na to.

– No, to teraz mnie zaintrygował.

Na ustach Halera pojawił się tak znajomy Deryle uśmiech zainteresowania, dla wielu pobocznych świadków kompletnie niepasujący do powagi sytuacji. W Tamarze tkwiło bowiem jakieś pierwotne, wręcz dzikie zafascynowanie zbrodnią z drugim dnem, nie owymi najczęściej spotykanymi zabójstwami popełnianymi po pijaku lub w afekcie, lecz mającymi znamię czegoś, co amatorzy określiliby mianem bezgranicznego, upiornego szaleństwa.

Podkomisarz przez kilkanaście sekund trwała w bezruchu. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, zapominając o jakichkolwiek symptomach choroby oraz niedawnym rozkojarzeniu. Ściągnęła brwi i nieświadomie spowolniła oddech. Rysy jej ładnej, sympatycznej twarzy napięły się, nadając jej pozorów zadziorności. Rzeczywiście w tym momencie z pełnym przekonaniem podejmowała wyzwanie rzucone przez człowieka odpowiedzialnego za tę zbrodnię. Z dużym prawdopodobieństwem nie szaleńca ani wyrachowanego mistrza zbrodni, a zwykłego, niezbyt interesującego psychopatę. A może przeciwnie? Może jednak kryło się w tym coś ciekawego?

Rozgryzła miętową drażę. Jak zauroczona wpatrywała się w szybę drzwi prowadzących do sauny. Widniał na niej skreślony wielkimi, koślawymi literami napis:

CIERP.

Zamyślona kilkakrotnie go odczytała na głos. Deryło stanął tuż obok niej i założył ręce za plecy.

– Ciekawy list pożegnalny, co?

– Tyle że listy pożegnalne najczęściej piszą przyszli samobójcy, a nie mordercy.

– Upierałbym się, że to tylko kwestia perspektywy.

Haler skinęła głową. Tak, owszem, to była jedynie kwestia cholernej perspektywy.

Uważnie analizowała kolejne litery oraz ich łączenia. Grafologia od lat stanowiła przedmiot jej amatorskiego zainteresowania.

– Ten, kto to zrobił, nie spieszył się. Choć znaki są koślawe, poprowadzone linie przecinają się tak, jak tego pragnął piszący. Zapewne starał się im nadać specjalny pozór, odbiegający od jego normalnego pisma. Nikt w ten sposób nie łączy wielkiego „i” oraz „e”. Nawet w podręcznikach dla uczniów podstawówek nie znajdzie się takich wzorów...

– Użył zwykłego markera – dorzucił Deryło, licząc, że ta informacja pomoże jego podwładnej w dedukcji. – Ściągnięto próbkę do analizy, ale to pewnie mazak z pierwszego lepszego sklepu. Jak na razie nigdzie nie ma odcisków palców ani innych śladów, więc nie liczyłbym, żeby ten sukinsyn użył markera robionego na indywidualne zamówienie.

– Czasem powinieneś wykazać nieco optymizmu.

– Wykażę go, gdy rzucisz mi coś konkretnego.

Haler zaszepiała się. Po chwili odezwała się rzeczowym, naukowym tonem.

– Pisząc „cierp”, chciał jakby powiedzieć: „masz za swoje”. Być może była to jego dodatkowa tortura, pokazywał, że delektuje się umieraniem tej kobiety. Mógł chcieć ją dodatkowo upokorzyć w tych ostatnich chwilach, uświadomić, że nie uda się jej uciec. Miała cierpieć i to cierpienie do niczego nie mogło jej zaprowadzić... Poza śmiercią, oczywiście.

Deryło pokręcił głową.

– Muszę cię rozczarować. – Zatoczył palcem krąg, jakby w powietrzu zakreślał napis. – Ta szyba przy panującej wewnątrz temperaturze stu pięćdziesięciu stopni musiała się rozgrzać.

– I co z tego?

– Konsultowałem to właśnie z Ratkiewiczem. Przypomniałem sobie, że jakiś czas temu namawiał mnie na relaks w jego saunie. Wtedy bałem się, że dostanę zawału, ale... – Komisarz machnął ręką. – Mniejsza o to. Powiedział mi, że przy normalnym korzystaniu szyba od zewnątrz jest nieźle nagrzana.

Haler w zamyśleniu pokiwała głową.



– Chodzi ci o to, że marker by spłynął?  
– Rozlałby się albo zmienił fakturę. Tu wszystkie litery są idealne.  
– Sugerujesz, że sprawca napisał to później, gdy temperatura już spadła? Przecież to nie trwało kilka minut, ale raczej wiele godzin...

Deryło odwrócił się, słysząc krzyki dobiegające z dworu. Zmarszczył czoło.

– Myślę, że nie. To wcale nie trwało tak długo – odezwał się po chwili. – Energetycy dostali zgłoszenie o awarii wczoraj około dwudziestej drugiej. Nie przyjechali na miejsce, bo udało im się naprawić sieć ze skrzynki zewnętrznej czy jakoś tak. Nie wnioskujemy w szczegóły... – Przewrócił oczami. – Mówiąc obrazowo, wywaliło korki po kilkunastu, maksymalnie kilkudziesięciu minutach pracy sauny na zwiększonych obrotach. Dzisiaj przyjechali ponownie, bo coś dalej nie działało, ale mniejsza o to. W każdym razie urządzenia nie pracowały przesadnie długo.

Haler sapnęła.

– Istnieje oczywiście zjawisko nadzabijania... – mruknęła zaintrygowana. – Standardowy przykład to kilkadziesiąt ciosów zadanych nożem czy siekierą, gdy wiadomo, że ofiara padła trupem już po pierwszym razie. Albo wyładowanie w nią paru magazynków ołowiu. To cechuje sprawców rozchwianych emocjonalnie, głównie młodocianych oraz...

Przerwał jej wrzask dobiegający z pokoju obok.

– Jestem jej ojcem, rozumie pan, oj-cem!

Karol Werski ciężkim krokiem wpadł na korytarz prowadzący do sauny. Dysząc i parszkając, obrzucił Deryłę wściekłym spojrzeniem. Tuż za nim wpadło dwóch policjantów, ale komisarz powstrzymał ich gestem dłoni. Obrócił się, blokując mężczyźnie drogę.

– To miejsce zbrodni, rozumie pan? – odezwał się, siląc się na spokojny ton.

– Pieprzę to.

– Nie sędzę.

Komisarz położył Werskiemu dłoń na ramieniu. Górował nad nim co najmniej o głowę, a mimo że pięćdziesięciokilkulatek był dość postawny, przy Deryle wydawał się chuchrem.

– Niech pan nie prowokuje awantury i się uspokoi. Wszystko rozumiem, lecz proszę opanować emocje.

– Ale ona... – Werski wzdrygnął się i wyciągnął dłoń w stronę uchylonych drzwi sauny.

– To może ona, a może nie.

– Nie żyje?

– Tak. – Haler przysłała komisarzowi w sukurs. Stała obok niego i odezwała się ciepłym, pojednawczym tonem. – Na razie nie znamy tożsamości zmarłej, ale niestety musimy przypuszczać, że...

Wymownie zawiesiła zdanie. Nazywanie zamordowanej kobiety „zmarłą” stanowiło jedynie nieznaczące niedopowiedzenie. Całkowicie usprawiedliwione okolicznościami.

– Proszę mi pozwolić...

– Zobaczyć ją?

Deryło porozumiewawczo łypnęła na technik kryminalistyki, która pojawiła się w głębi korytarza. Kobieta niemal niezauważalnie uniosła kciuk. Werski bezradnie założył dłonie za głowę, po czym przygryzł usta. Wargi mu drżały i wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem. Na jego pożółkłej, obrzękniętej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Komisarz czuł od niego intensywny aromat wódki. Nagle Werski zadrżał i wyprostował się, jakby wstąpiły w niego nowe siły.

– To nie może być ona – stwierdził z pełnym przekonaniem. – To pewnie ktoś inny...

– To całkiem prawdopodobne – wtrąciła Haler. – Ale niestety nie znaleźliśmy żadnych śladów świadczących o tym, by w domu przebywał ktoś obcy.

Nie dodała, że ma na myśli kogoś poza mordercą. To było kolejne humanitarne niedopowiedzenie.

– Pozwólcie mi ją zobaczyć. Ja... Błagam, proszę, nie wytrzymam nawet sekundy, jeśli...

Deryło westchnął.

– Dobrze, i tak będzie pan musiał ją zidentyfikować. Tyle że muszę...

– Tyle że co? – Werski natychmiast wszedł mu w słowo.

– Ostrzegam pana, że nie jest to miły widok, a do formalnej identyfikacji ciała zostałyby przygotowane.

– Pal diabli. To moja córka. Albo... Nie, nie... Na pewno ktoś inny...

Mężczyzna przeszedł obok Deryły. Komisarz cofnął się i dał znak Haler, by zrobiła mu miejsce. Powiódł za nim ponurym spojrzeniem. Po chwili po domu poniósł się rozpaczliwy szloch.

– A więc to ona. – Deryło smętnie kiwnął głową i skierował się do wyjścia. – Nic tu po nas. Porozmawiamy z nim gdzieś na uboczu.

– Czy pańska córka w ostatnim czasie mówiła coś o rozczarowaniach miłosnych albo... – Deryło, szukając właściwych słów, rozłożył dłonie. – Rozumie pan chyba, o czym mówię, rozmawiamy teraz zupełnie nieformalnie.

Siedzieli na tarasie oświetlonym z jednej strony przez reflektor kryminalistyków, a z drugiej przez kiczowatą lampę w kształcie słonecznika. Karol Werski kulił się na ratanowej kanapie, podciągnął nogi i co chwilę kręcił głową. Podana mu przez kogoś szklanka wody stała na kamiennej posadzce. Mężczyzna niemal otepiało wpatrywał się w ścianę domu.

– Podejrzewacie, że ktoś ją tam zamknął?

– Rozważamy różne scenariusze. Niestety również taki.

Haler uważnie obserwowała reakcje Werskiego. Nie zdziwiło jej, że nie zwrócił uwagi na napis na szybie ani na podnośnik hydrauliczny. A nawet jeśli to zrobił, jego mózg nadal nie dopasował kolejnych elementów.

– Panie Werski... Jeśli teraz odpowie pan na te kilka pytań...

Mężczyzna nerwowo się zaśmiał. Przez jego twarz przemknął grymas bezgranicznej rozpacz.

– Rozczarowania miłosne? – Fuknął, po czym wylał się z niego potok słów. – Praktycznie nie rozmawiamy na takie tematy. Wiem, że układa... Układała sobie życie, że zarobiła na ten dom, nie chciała ode mnie żadnych pieniędzy i w niemal codziennych, ale krótkich rozmowach zapewniała, że wszystko u niej w porządku. Rozumiecie? Wszystko, kurwa, w porządku. Cieszyła się z tego domu jak dziecko. Popełniłem wiele błędów, może nie byłem najlepszym powiernikiem jej sekretów, ale chciałem nim być. Chciałem wiedzieć o niej wszystko i zawsze mogła do mnie zadzwonić. Wczoraj wieczorem jednak nie odebrała. Boże... Dlaczego nie odebrała? Kiedy to się stało? Powiniennem tu od razu przyjechać, ale uznałem, że pewnie znów o coś się gniewa, więc po co miałbym przyjeżdżać. Przecież nie mogłem wiedzieć, nie mogłem się domyślać, że... Mój Boże...

Werski wybuchnął spazmatycznym płaczem. Schował głowę w dłoniach i zaczął drżeć na całym ciele. Deryło wymienił z Haler porozumiewawcze spojrzenia. Podkomisarz pochyliła się i delikatnie dotknęła dłoni mężczyzny.

– Wkrótce przyjedzie psycholog, jeśli tylko będzie pan miał potrzebę...

Werski otarł oczy i spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

– Co on zmieni? Co mi powie? Nie jest pieprzonym Chrystusem i nie sprawi, że moja córka wstanie z martwych.

– Rozumiem pana ból, a przynajmniej staram się...

– Niczego pani nie rozumie.

– Usiłuję jednak nadać temu jakiś sens. – Haler siliła się na psychologiczne zagrywki. Nigdy ich nie lubiła, a już na pewno nie w takich okolicznościach. – Jeśli byłyby w to zamieszane jakieś osoby trzecie... – Na moment zawiesiła głos. – To, co pan powie, może bardzo nam pomóc. I zapewne właśnie tego chciałaby pańska córka, więc...

– Niech pani się zamknie. Bardzo proszę.

Werski głęboko nabrał powietrze i odchylił się do tyłu. W bladym świetle lamp jego twarz wydawała się wręcz pergaminowo biała.

– Nie wiem... Podejrzewacie, że ktoś mógł chcieć ją zabić? – Pokiwał głową, jakby sam sobie odpowiadał na to pytanie. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób dorwać skurwysyna. Zrobiłbym to sam, bez was, a potem... A potem zrobiłbym mu dokładnie to samo. Skoro nie ma Boga, nie ma kary...

– Panie Werski... – Deryło wtrącił się tonem lekkiej, pełnej wyrozumiałości przygany. – Proszę nam zaufać. Nam i innym pracującym tu ludziom.

– Kiedyś zaufałem Bogu. I widzicie, jak to się skończyło?

– Nie warto natomiast myśleć, że można go zastąpić.

Werski głośno pociągnął nosem. Nawet nie patrzył na Deryłę. Wzrok wciąż miał utkwiony gdzieś w jednym, wybranym punkcie tonącej w półmroku elewacji.

– Jedna rzecz wydaje mi się istotna... Może mieć znaczenie.

Deryło i Haler skupili na nim całą uwagę.

Kilka minut wcześniej Śmierć patrzyła na wszystko z odległości. Najpierw obserwowała przyjazd wozu strażackiego, potem karetki, wreszcie radiowozów. Ekipa techników stanowiła preludium do *il grande finale*. Fanfary, trąby, milczenie publiczności, oto zjawił się pocziwy, wielokrotnie wzmiankowany na łamach gazet komisarz Deryło. Chyba nawet schudł i nieco zmizerniał. W wieczornym, czerwonym świetle prezentował się jednak niczym dzikie zwierzę. Pewny chód, szeroko stawiane stopy, nonszalancja w ruchach i gestach. A więc szybko zorientowano się, że sprawę należy przekazać najlepszemu. To dobrze.

Śmierć uśmiechnęła się do samej siebie. Wszystko działało się zgodnie z planem. Komisarz Deryło stanowił jego element tak niezbędny, jak dla stworzenia Ewy niezbędne było zebro Adama. Choć może nie było to nazbyt trafne porównanie. W końcu zjawiła się przecież również Ewa, podkomisarz Tamara Haler, o której również kilkakrotnie pisano. Nieważne, że w kontekście Deryły oraz prowadzonych przez niego spraw. Dziennikarze uznawali ją za rozsądną i wychwalali zasługi przy kolejnych śledztwach. Gdyby w Lublinie utrzymywano stołek etatowego łowcy dewiantów, bez wątpienia siedziałaby na nim ta para, a wraz z niechybnym odejściem komisarza na emeryturę, cała scheda przypadłaby Tamarze.

Brawa, ukłony, gwizdy.

Zaskoczona publiczność nie spodziewała się, że prawdziwy finał dopiero nadchodził. Stanowił go przyjazd taksówki z logiem jednej z balansujących na granicy prawa korporacji. Chwiejnym krokiem wysiadł z niej Karol Werski. Właściwie to, gdyby nie drzwi skody, zamiast wysiąść, wypadłby z niej wprost na ulicę. Doprowadzenie się do porządku zajęło mu chwilę, ale przynajmniej nie zwymiotował. A można się było tego spodziewać.

Kurtyna w dół? Nie, jeszcze nie. Należy podelektować się wyjściem aktorów na scenę. Czas na ich ukłony oraz żałobne uściski.

Wszystkie elementy układanki znajdowały się wreszcie na miejscu. Śmierć była usatysfakcjonowana swoją umiejętnością przewidywania. Nawet krzyk rozpacz, który wkrótce dobył się z domu i poniósł echem po okolicy, przypawił ją o dreszcze ekstazy. Tak, dokładnie o to chodziło. Dokładnie tak to miało wyglądać.

Jeden ze stojących przy radiowozach policjantów patrzył się w jej stronę. Być może młokos podświadomie wyczuwał ciężar jej oddechu oraz potworność myśli. Może zimny pot spłynął mu po plecach. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały i spłoszony gówniarz odwrócił wzrok. Jednak najwyraźniej coś nie dawało mu spokoju. Szturchnął stojącego obok kolegę, po czym chciał wskazać upiorną postać.

Śmierć jednak już odeszła.

– Właściwie nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Boże, tak bardzo chciałbym dorwać tego skurwysyna. – Werski drgnął. Otarł twarz dłońmi i spojrzał na Halera. – Właściwie dlaczego podejrzewacie, że ktoś to zrobił? Dlaczego to nie był zwykły nieszczęśliwy wypadek? Przecież takie rzeczy się zdarzają, prawda? Mówcie, do cholery!

Poderwał się z miejsca i nerwowym krokiem przeszedł wzdłuż tarasu. Spojrzał w stronę pagórka po drugiej stronie ulicy, na którym wydawało mu się, że dostrzega w półmroku pojedynczą postać. Przymknął na chwilę oczy i zamrugał. Postać zniknęła.

– Są pewne okoliczności... – zaczęła delikatnie Halera.

– Jakie?

– Na przykład zablokowane od zewnątrz drzwi.

Werski łypnął na nią i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To absurd...

– Również mamy taką nadzieję, ale nie zamierzam pana oszukiwać. Gramy w otwarte karty, tak?

– Wspomniał pan o istotnej okoliczności... – Deryło również się podniósł z krzesła i stanął naprzeciw Werskiemu. Zaczynał się niecierpliwić. Mimo całej empatii dla rodzin ofiar nie znośił marnować czasu, a wtedy stawał się szorstki w obyciu. – Nalegałbym, aby wrócił pan do tego tematu.

– To może być tylko mój wymysł...

– Pan pozwoli, że my to ocenimy. Łatwiej odbębnić tę rozmowę tutaj niż w komendzie. Choć i bez tego się nie obydzie, ale wtedy skrócimy to do minimum. No, chyba że woli pan wałkowanie w tę i w tę, wówczas nie będziemy dziś tracić czasu, a pan będzie się przez całą noc zbierał do kupy. Powiem tylko, że ta noc nic nie zmieni. Nie zbierze się pan do kupy przez wiele miesięcy. Może nigdy.

Halera obrzuciła komisarza piorunującym spojrzeniem, ale ten nie zwrócił na to uwagi. Widział, że Werski zaciska pięści i jest bliski wybuchnięcia. Obserwował go, a mimo to mówił dalej.

– Prawdę powiedziawszy, patrząc na pana, wydaje mi się, że będzie pan to przeżywał każdego dnia do końca życia. Wciąż i wciąż mając nadzieję, że oswoi się z obrazem, który pan widział przed chwilą. Ale tak się nie stanie. – Nagle zmienił ton z cierpkiego na znacznie łagodniejszy. Spojrzał Werskiemu prosto w oczy. – Wiem o tym z własnego doświadczenia. Naprawdę doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co pan czuje. I jestem sobie w stanie wyobrazić, co będzie pan czuł jutro i za miesiąc. Jednak jeśli mogę panu cokolwiek poradzić, proszę, miejmy za sobą chociaż tę krótką, szczerą rozmowę. Jeśli dorwiemy gnoja, który za tym stoi, poczuje pan choć minimalną ulgę. Mogę pana o tym zapewnić.

Przemowa Deryły wywołała u Werskiego pełny wachlarz emocji. Zdawało się, że w pewnym momencie rzuci się z pięściami na komisarza, lecz momentalnie z jego oczu znów popłynęły łzy, a potem rozłożył dłonie, jakby chciał rzucić się Deryle w ramiona.

– Marta, moja córka, wspominała niedawno, że chce wyjechać za granicę – wyszeptał łamiącym się głosem. – Że może pożegnamy się na jakiś czas, który będzie jej potrzebny do nabrania dystansu.

– Dystansu do czego? – dopytała natychmiast Halera.

– Nie mam pojęcia. Mniej więcej tak to ujęła.

– Może wyzaliła się jakiejś przyjaciółce lub koleżance? Znał pan którąś z nich? Czy jest pan w stanie podać nazwiska?

Werski sapnął nerwowo.

– Już wam mówiłem, że niemal nie wnikaliśmy w swoje prywatne sprawy. Tak naprawdę nie wiedziałem zbyt wiele o własnej córce. Nie zrozumcie mnie źle, ona po prostu... Oddaliliśmy się od siebie.

– Nie była córeczką tatusia?

– Dla mnie oczywiście, że tak.

Deryło założył ręce za plecy i nieco się pochylił, aby nie przytłaczać swoją osobą rozmówcy.

– Przepraszam, a pańska żona? Mam na myśli matkę Marty.

Werski ponownie usiadł na ratanowej kanapie i spuścił głowę między ramiona. Przez chwilę milczał.

– Jej matka zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku – wymamrotał. – Osiem lat temu zasłabła w trakcie nurkowania. Nie miała zabezpieczeń ani partnera, który mógłby ją wyciągnąć, choć to ogólnie przyjęta praktyka.

Haler wymieniła z Deryłą znaczące spojrzenia. Pół godziny później, gdy znaleźli się przy motocyklu podkomisarz, Deryło ciężko sapnął. Nie rozmawiali już o tym, co zastali w domu Marty Werskiej ani o rozmowie z jej ojcem. Mieli dość tych obrazów i swoim zwyczajem uciekali w milczenie lub własne, odległe od pracy tematy. Komisarz widział, że odkąd znaleźli się na ulicy, Haler chce mu coś powiedzieć. Kilkukrotnie otwierała usta, niemal niezauważalnie szturchała go, lecz za każdym razem nadal milczała.

– No, co? – zapytał wreszcie. – Wal śmiało. Czuję, że jakaś żółć zalega ci w gardle.

Haler uśmiechnęła się blado. Zmarszczyła czoło i przygryzła wargę. Przeszła z nogi na nogę. Przez chwilę się nad czymś zastanawiała, wreszcie sięgnęła do kufra i wyciągnęła kask.

– Co chciałaś powiedzieć? – dopytał Deryło.

– Nic, nic. Naprawdę – odparła dziwnie zadumany tonem. – Nieważne.

Chwilę później wsiadła na motocykl i pomachała komisarzowi na pożegnanie. Odjechała z rykiem silnika.

## Dzień drugi

Po powrocie do domu Deryło nie miał już apetytu. Zmusił się do zjedzenia odgrzewanej lazanii sprzed kilku dni, po czym otworzył bezalkoholowe piwo. Wypił je niemal duszkiem. W drodze powrotnej, o dziwo, nie powracały mu do głowy obrazy okrutnej zbrodni, a przynajmniej nie stanowiły najważniejszej myśli, która skupiła się na dziwnym zachowaniu Tamary. Co chciała mu powiedzieć? Dlaczego milczała?

Dochodziła już dwudziesta trzecia, gdy komisarz wziął komórkę i niemal bezwiednie wybrał numer podwładnej. Odebrała po pierwszym sygnale, jakby czekała na telefon.

– Mamy coś nowego? – zapytała bez ogródek.

– Nie, nie...

Deryło zawiesił głos, nie do końca przekonany, po co dzwoni. Po chwili ze zwykłą sobie ostrożnością w ich wzajemnych relacjach zaczął od ogólników.

– Myślałem o tej sprawie. Kołatały mi się różne spostrzeżenia, ale właściwie nic konkretnego. W ogóle, nie obudziłem cię?

– Nie, komisarzu. Czy na pewno wszystko w porządku?

– A brzmię tak, jakby nie było?

– Po prostu... Rzadko dzwonisz o tej porze i rzadko sprawy męczą cię do tego stopnia, więc dostrzegam w tym coś wyjątkowego. Czyżbym się myliła?

– Mówiłem ci, żebyś mnie nie analizowała.

– Przypisujesz zbyt wielką wagę moim słowom. Jeśli w ogóle, to tylko... – Haler zachichotała. Jej chichot wydał się komisarzowi upiornie ponury. – No, dobrze. Ty dzwonisz, ty mówisz. Doszedłeś do jakichkolwiek wniosków?

– Nie. Męczą mnie dziwne stosunki Werskiego z córką i jeszcze ta sprawa żony. Nieszczęśliwy wypadek. Utonięcie. I teraz przez cały czas starał się sobie wmówić, że doszło do nieszczęśliwego wypadku, jakby to cokolwiek zmieniało. Trup jest trupem, i tyle. Koniec kropka.

– Dla przebiegu żałoby przyczyna śmierci ma zasadnicze znaczenie.

– Nawet jeśli, nie wydawało ci się, że zbyt mocno się tego uczeplił? No i nie odniosłaś wrażenia, że miał z córką na pieńku?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale w dzisiejszych czasach to norma. Do tego obwinianie ojca o śmierć matki z różnych powodów może doprowadzić do... Przepraszam.

Haler odchrząknęła. Komisarz doskonale wiedział, co wprawiło ją w zakłopotanie. Jego córka, Wiktoria, odcięła się od niego po tym, jak w trakcie śledztwa w sprawie Cztery Iksa zginęła jego żona. Choć wydarzyło się to na skutek wypadku samochodowego, sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia, a Deryło był przekonany, że wszystko miało związek z okrutnym seryjnym mordercą. Roztrząsanie detali wypadku wprowadziło go niemal w obłąd. Skutkiem było nawet upozorowanie śmierci córki, oczywiście wbrew jej woli, oraz roztoczenie nad nią nadopiekuńczego parasola. Dwudziestolatka nie pozwoliła sobie na to, a mając uparty charakter po ojcu, na pewien czas zerwała z nim wszelkie stosunki. Deryło postanowił nie szukać jej i bezgranicznie cieszyły go sporadyczne kontakty nawiązywane z jej inicjatywy. Ostatnim razem widzieli się przed kilkoma miesiącami, lecz Wiktoria dała mu do zrozumienia, że wraca do Mediolanu, gdzie studiowała architekturę. Od tego czasu nie odezwała się, przypinając tym komisarza o rozpacz. Mimo to niecały miesiąc temu na jego adres przysłała kartka pocztowa z Bolonii. Nakreślono na niej tylko jedno zdanie: *Città nuova, vita nuova*, co stanowiło parafrazę wersu jednego z ulubionych wierszy Wiktorii. Jedno krótkie zdanie po włosku sprawiło, że wszelkie troski zastąpiło poczucie spokoju. To jednak nie trwało długo...



– Eryku?

Deryło nie znośli, gdy zwracano się do niego po imieniu. Tolerował to tylko z ust Halera, a i tak robił to niechętnie.

– Nie chciałem ci przeszkadzać – wyszeptał. – Musimy wszystko powoli przetrwać. Widzimy się jutro, dobranoc.

Rozłączył się, ale siedział nadal z telefonem w ręce. Nie potrafił przekroczyć pewnej linii prywatności w stosunkach z Tamarą. Powinien ją zapytać o samopoczucie, o targające nią wątpliwości, o cokolwiek, co mogłoby skierować tor rozmowy na nią i jej niewypowiedziane myśli. Nie zrobił tego.

Zerknął na stojące na biurku żurawie origami, które kompulsywnie składał przez ostatnią godzinę. Wkrótce wszystkie trafią do kosza. Miały życie tak krótkie, jak jego myśli.

Nagle Deryło zamrugał. Półmrok pokoju rozjaśnił ekran telefonu. Po chwili rozległy się dostojne tony *Sarabande* Händla. Komisarz zdał sobie sprawę, że zasnął i zza okien wlewa się już mdłe światło świtu. Zaspany mózg z wolna się rozkręcał, trawiając kolejne bodźce.

Deryło zerknął na telefon. Dzwonił patomorfolog Gawiński, co natychmiast go rozbudziło.

– Masz cokolwiek? – odebrał bez przywitania. – Zająłeś się moją denatką, prawda?

Gawiński mruknął coś niezrozumiale.

– Przyjeżdżaj, póki tu jeszcze jestem. Zaraz kończę dyżur i do wieczora nie licz na żadne telefony ani raporty.

Deryło natychmiast zerwał się z fotela i sięgnął po leżące na biurku kluczyki do auta.

Tamara Haler nie przestawała myśleć o kobiecie z sauny. Makabryczny obraz wciąż tkwił przed jej oczami. Choć była odporna psychicznie i właściwie nigdy nie dręczyły jej koszmary, jej umysł uchwycił się tego ponurego wizerunku, po czym nieustannie go trawił. Wyczuwała, że podświadomość chce jej coś podpowiedzieć, lecz nie potrafiła się uchwycić żadnego konkretnego. Niczego, co niosłoby jakiś trop.

Siedziała na czerwonym, obrotowym hokerze w kuchni i patrzyła za okno. W pomieszczeniu paliło się tylko jedno światło pod okapem, więc w szybie odbijał się zaledwie zarys jej sylwetki. Widziała latarnie stojące przy alejce na terenach zielonych oraz zarys niedawno postawionego budynku, przecinającego w poprzek „płuca miasta”, jakim był jeden z lubelskich wąwozów. Podejrzana inwestycja zwróciła uwagę wielu służb, lecz jak dotąd wszelkim sprawom ukrecono łeb. Deweloperzy trzymali się mocno.

Przed jej oczy znów powrócił obraz skulonego, czerwono-fioletowego ciała poznaczonego wybroczynami oraz pęcherzami. Nie starała się go odegnąć. Schowała twarz w dłoniach i spowolniła oddech. Wyobrażała sobie, że ponownie jest w tamtym domu. Przemierzała korytarz w drodze do sauny. Drzwi były zamknięte, lecz na szybie już nakreślono napis. Zatrzymała się na moment, po czym uważnie się mu przyjrzała. Miała fotograficzną pamięć, więc nie sprawiło jej żadnego problemu przywołanie wspomnienia każdej kreski oraz rozmazania.

– Cierp... – wyszeptowała.

Wyprostowała się i odchyliła głowę. Przymknęła oczy, całkowicie zatapiając się w świecie rozgrzebywanych wspomnień. Dotknęła w wyobraźni szyby. Czuła jej ciepło oraz gładkość. Podeszła jeszcze bliżej, po czym zerknęła do środka. Pod kątem z trudem mogła dostrzec leżącą na podłodze ofiarę. Miotaną konwulsjami i tracącą przytomność. Ich spojrzenia spotkały się tylko na moment. Dziewczyna była przerażona, w jej mętnych oczach tkwił wyraz bezgranicznego cierpienia oraz przerażenia. Doskonale wiedziała, że wkrótce umrze. Ale to nie śmierci bała się najbardziej, lecz tego, że zanim umrze, nieustannie będzie towarzyszył jej ból. Nieskończony ból, jakiego nigdy nie mogła sobie wyobrazić. Skóra na jej policzkach zmieniła barwę z fioletowej na niemal brązową. Zaczęła się łuszczyć całymi płatami, spod których wypływała krew. Wysuszone, spękane wargi delikatnie się rozwarły, odsłaniając zęby. Pomiedzy nimi pojawił się obrzmiały język, na którym nie było nawet mililitra śliny.

Haler zrozumiała, że aby widzieć dziewczynę, musiałyby stać przez cały ten czas na palcach. W przeciwnym razie dostrzegłaby tylko przeciwległy kąt sauny. Zdała sobie sprawę, że mimowolnie napina łydki. Otworzyła oczy i zamruwała.

Czy sauna mogła być symbolem? A może miała jedynie ułatwić zatarcie śladów? W końcu wysoka temperatura nie sprzyja utrzymaniu biologicznej sterylności. A jeśli miejsce zbrodni było jedynie przypadkowe, stanowiąc zbieg okoliczności ułatwiający sprawcy podjęcie decyzji o pozostawieniu ciała? Większość zabójców przynajmniej usiłuje się go pozbyć, czasem robiąc to wyjątkowo skutecznie. Haler utkwiły w pamięci dwa przypadki przytaczane na międzynarodowych szkoleniach. Dwa przypadki, dwóch szaleńców. Mack Edwards pracujący w amerykańskim Departamencie Transportu zakopywał swoje ofiary w miejscach, gdzie powstawały drogi stanowe. Nadgorliwie sam nadzorował inwestycje. Natomiast Pee Wee Gaskins z Karoliny Południowej kupił karawan, którym transportował zwłoki na stworzony przez siebie cementarz. W razie kontroli nikogo nie zdziwiłaby przewożona trumna.

Myśli Haler zaczęły się płatać. Chciała raz jeszcze przyjrzeć się szczegółom wnętrza sauny, ale nie potrafiła przywołać odpowiedniego wspomnienia. Detale jej umykały. Czy siedzisko było zbudowane z trzech czy czterech desek? Czy listwa z ledowym oświetleniem była przymocowana do ściany, czy do drewnianej konstrukcji? A termometr – pamiętała podziałkę ze skalą Celsjusza – ale czy

ta kończyła się na stu dwudziestu, czy stu trzydziestu stopniach?

– Niech to – syknęła rozdrażniona. Nigdy nie umykały jej podobne szczegóły. Potrafiła odtworzyć każde wspomnienie dokładnie tak, jakby nadal była w danym miejscu.

Cofnęła się w wyobraźni i ponownie stanęła przed drzwiami. Ten obraz zapamiętała znacznie wyraźniej, odnotowując nawet każdą ze śrub przy zamku drzwi, rysę oraz przebarwienie. Splotła dłonie, przypatrując się komunikatowi od mordercy.

– Cierp... – wyszeptała po raz kolejny.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Myśl dopiero się klarowała, ale czuła, że to istotny koncept. Z całych sił skoncentrowała się na przywoływanej w wyobraźni scenie.

– Cholera.

Pstryknęła palcami.

Deryło wszedł do zakładu medycyny sądowej dokładnie o piątej dwadzieścia sześć rano. Odruchowo zerknął na wyświetlacz okrągłego zegara elektronicznego. Gawiński stał w rogu sporego pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa stoły sekcyjne, kilka emaliowanych na biało, poobtlukiwanych szafek oraz podwójny zlew. Czytał książkę. Mimo że Deryło odchrząknął, nawet nie oderwał od niej wzroku. Zdawał się całkowicie pochłonięty lekturą i dopiero, gdy przerzucił stronę, przeniósł spojrzenie na komisarza. Zastukał palcem w okładkę.

– *Idiota* Dostojewskiego – mruknął zamyślony. – Co jakiś czas powracam do tej pozycji i ciągle odnajduję nowe treści. Kiedyś chciałem przyrównywać księcia Myszkina do siebie, ale z biegiem lat widzę, że ma więcej twoich cech.

– To zawołowany sposób, aby nazwać mnie idiotą?

– Kto inny nad ranem zerwałby się z łóżka i popędził na wezwanie niemogącego spać patomorfologa? Do tego wezwanie okraszone dwuznacznikami i bez nadziei na usłyszenie jakichkolwiek konkretów.

Deryło wzruszył ramionami. Nie zamierzał tłumaczyć Gawińskiemu, że wcale nie został wyrwany z łóżka i że *Idiotę* zna doskonale, również regularnie do niego powracając. Zresztą podejrzewał, że już kiedyś z patomorfologiem o tym rozmawiał. Choć lekarz był od niego prawie o dwie dekady starszy, od dawna łączyły ich niemal przyjacielskie stosunki. W momentach słabości kilkakrotnie spotykali się na neutralnym, pozazawodowym gruncie, wychylając szklaneczkę whisky lub bourbona. Rozmawiali o literaturze, muzyce i malarstwie. Sztuka fascynowała ich obu i dla obu stanowiła płaszczyznę dyskusji, która potrafiła oderwać od najbardziej ponurych myśli. Choć mieli różne poglądy (o dziwo, sędziwy doktor reprezentował nurt znacznie bardziej postępowy od konserwatywnego komisarza), czerpali z wzajemnej wiedzy oraz trafnych spostrzeżeń.

– To moja praca.

Deryło podszedł do stołu, na którym leżało ciało Marty Werskiej. Obrócona na plecy ukazywała jeszcze dobitniej ogrom cierpień, które przeszła przed śmiercią. Potęgowały je szwy założone po przeprowadzonej autopsji. Twarz kobiety miała sinofioletowy kolor, miejscami ocierający się niemal o czerni. Lewy oczodół zapadł się, a usta były niemal niewidoczne. Jej piersi, obok których poprowadzono nacięcie w kształcie litery igrek, przypominały kawały grillowanego mięsa. Poszczególne fragmenty ciała w ogóle różniły się jedynie stopniem przysmażenia lub ugotowania. W powietrzu unosił się fetor postępującego rozkładu. Deryło mimowolnie wierzchem dłoni przysłonił nos.

– Temperatura przyspieszyła procesy gnilne. – Gawiński odłożył książkę i stanął obok komisarza.

– Na miejscu nie cuchnęło.

– Prawdopodobnie neutralizowały je olejki aromatyczne. Słyszałem, że znaleziono ją w saunie.

Deryło przypomniał sobie dusznawy, ale niedrażniący zapach mięsa. Wówczas nawet nie zwrócił uwagi na zapach aromatyzatorów.

– Bardzo cierpiała? – zapytał, nie odrywając wzroku od twarzy kobiety. Właściwie nie miał pojęcia, po co zadał to pytanie, ale najwyraźniej trzymał się jeszcze resztki nadziei.

– Jak diabli.

– Nie to chciałem usłyszeć.

– Wiem. – Gawiński podrapał się po lśniącej łysinie i westchnął. Był drobny, miał szczecinę białego zarostu oraz wąski nos w oczach komisarza upodabniający go do szczura. – Niestety, nie jestem dobry w zaklinaniu rzeczywistości.

– Wobec tego jaka jest ta cholerna rzeczywistość?

– Myślałem, że już nigdy o to nie zapytasz. Ze sprawy na sprawę stajesz się coraz bardziej delikatny, mój jaśnie oświecony książę.

– A ty utrzymujesz niegasnący poziom irytowania mnie.

Gawiński wyszczerzył w uśmiechu drobne, pożółkłe zęby. Momentalnie jednak spowaźniał i odchrząknął. Z ponurą miną spojrzął na zwłoki.

– Zgon nastąpił około trzydziestu kilku, czterdziestu godzin temu.

– Przedwczoraj wieczorem?

– Masz doskonałą orientację czasową, komisarzu. Czy mogę kontynuować?

– Wybacz. – Deryło spokojnie uniósł dłoń. – Oczywiście, czekam na kolejne ciekawostki.

Lekarz przewrócił oczami i oparł się o skraj stalowego stołu.

– Mnie osobiście nie ciekawi ugotowanie się żywcem, ale co kto lubi. Spotykam się z tym, co prawda, po raz pierwszy, ale uwierzysz, że mam do tego dziwny dystans? – Zabębnił o stół palcami. – Kiedyś pierwsze razy cieszyły, mówię o różnych ich rodzajach, wiesz, co mam na myśli. Ale w tym wieku... – mówił to bez cienia uśmiechu, jakby jednocześnie zbierał myśli. Nagle się wyprostował i założył ręce za plecy. – Ciekawe nie jest również to, że była bita, choć pewnie ty to skrzętnie zanotujesz.

Deryło odwrócił się i uważnie na niego spojrzął.

– Przed śmiercią? Bito ją?

– Dokładnie to powiedziałem. Ale nie rób takiej miny. Nie chodzi o to, że ją torturowano, lecz ktoś pobił ją jakiś czas wcześniej.

– Czyli kiedy?

Gawiński wzruszył ramionami.

– Tydzień, może dziesięć dni temu.

– I co?

Deryło wciąż liczył na istotniejsze konkrety, lecz lekarz bezradnie rozłożył dłoń.

– I jajco. To ty masz wyciągać wnioski, a sędzę, że to powinna być dla ciebie interesująca informacja.

– Gdybyś powiedział, że te kilka dni...

Komisarz przerwał. W kieszeni poczuł wibrację komórki. Zrobił kilka kroków do tyłu, jakby nie chciał naruszać powagi śmierci rozmową przez telefon, po czym odebrał. Usłyszał podekscytowany głos Tamary.

– Słuchaj uważnie – nakazała. – Chyba na coś wpadłam.

Drzwi na taras otworzyły się z cichym jęknięciem. Zawiasy od lat wymagały przesmarowania, ale Dariusz Liber nigdy nie miał na to dość czasu. Nawet po przejściu na rentę. Ważniejsza była pielęgnacja roślin, spanie albo zwykła kontemplacja ogrodu z filiżanką parującej kawy w ręce. No i lektura książek, oczywiście.

Liber miał sześćdziesiąt jeden lat, choć sprawiał wrażenie znacznie starszego. Udar sprzed roku odcisnął na nim trwałe piętno, którego nie mogły zmyć długotrwałe rehabilitacje. Wciąż ciągnął jedną nogą, momentami niebezpiecznie się chwiał, a do tego częsty tik wykrzywiał jego twarz. Mimo to robił niemal wszystko, aby udowodnić otoczeniu, że jest w pełni sprawny. Wszystko – czyli to, co po pracy robił przed incydentem, jak nazywał udar.

Teraz stał w promieniach porannego słońca i obserwował uwijającą się na modrzewiu parę gołębi. Ptaki od paru dni budowały gniazdo. Liber gorąco dopingował ich wysiłkom, lecz z przerażeniem patrzył jak nędzne gałązki donosi samczyk. Niekomfortowe wydawałoby się wyścielenie nimi choćby grzędy. Tymczasem samiczka, z początku nieufna, coraz więcej czasu spędzała na prowizorycznym lęgowisku.

– Kawy?

Monika Liber stanęła obok męża. Wzięła go pod rękę i również przypatrywała się architektonicznej operacji gołębi.

– Chętnie. – Mężczyzna chwiejnie przestąpił z nogi na nogę. – Jutro powinny skończyć.

– O ile nie zwieje ich wiatr.

– Myślę, że tysiąclecia ewolucji instynktu nauczyły ich budowania gniazd.

– Jak ludzi?

Monika Liber uniosła prawą dłoń i wskazała kciukiem za siebie. Uśmiechnęła się. W ciągu ostatnich dziesięciu lat trzykrotnie przebudowywali dom, wciąż niezadowoleni z ostatecznego rezultatu. Pierwotna bryła została zupełnie zatracona, a obecna przypominała mieszaninę stylu dworskowego z istic włoskim designem. Iście włoskim w polskim wydaniu, rzecz jasna. Poza tym przy uwzględnieniu niezbyt oszałamiających dochodów obojga małżonków. Przynajmniej, nie posiadając dzieci, mieli w co inwestować i czerpali z tego przyjemność. Mimo to ostatnia koncepcja przebudowy miała na celu maksymalne przystosowanie budynku oraz posesji do potrzeb człowieka z pewnymi ułomnościami. Albo mówiąc wprost, inwalidy.

– Ludzie mogliby się od nich jeszcze wiele nauczyć. – Liber wsparł się o ramię żony, po czym zrobił kilka kroków ku wiklinowemu fotelowi. – Wiesz, że gołębie jako jeden z nielicznych gatunków zdają test lustra?

– Chodzi ci o to, że niby rozumieją, że gapią się same na siebie?

– Potrafią również rozpoznawać twarze ludzi.

Monika Liber pomogła mężowi usiąść i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Stajesz się prawdziwym specjalistą od gołębi. Mógłbyś się zająć bardziej praktycznymi rzeczami.

– Na przykład?

– Rehabilitacją.

Mężczyzna machnął ręką. Mimo nacisków żony nie był przekonany co do efektów, jakie może dać pozbawione koordynacji machanie rękoma oraz napinanie mięśni nóg. Bzdury, które nie zmieniły nic przez dwanaście miesięcy. Jednak pokiwał głową, wiedząc, że Monice zależy na tym, by chociaż próbował.

– Podaj mi, proszę, koc. Ciągnie chłodem.

Kobieta sięgnęła po zwinięty przy fotelu pled i przygładziła go dłonią.

– Jest wilgotny. Mogliśmy zabrać go na noc do domu...

- Kiedy siadam tu w nocy, muszę mieć czym się okryć. A zapominam wziąć go z pokoju.
  - No właśnie! – Monika Liber spojrzała uważnie na męża. – Co ty tu robisz nocami?
  - Zastanawiam się, co robią gołębie – odparł mężczyzna i wreszcie się również uśmiechnął. –
- A poza tym co to za przesłuchanie? Chyba proponowałaś mi kawę?

Tuż po siódmej rano Deryło wraz z Haler przemierzał korytarz komendy. Było całkowicie jasno, mocne słońce raziło w oczy i zwiastowało rychły zaduch. Po porannym rześkim chłodzie nie było już śladu. Pojedynczy funkcjonariusze leniwie zmierzali do pokoi lub przyciszonymi głosami rozmawiali przed nimi. Niektórzy mieli w rękach gazety, inni pokazywali coś sobie na komórkach. Czasem ukradkiem trzaskały drzwi.

Gdy Deryło zatrzymał się przed automatem z kawą, mały tłumek natychmiast się rozstał. Rozległy się odchrząknięcia, a ukradkowym spojrzeniem nie było końca. Komisarz wrzucił kilka monet, po czym gwałtownie się odwrócił.

– O co chodzi?

Nikt nie odpowiedział. Nagle wszyscy spuścili spojrzenia lub udali, że są całkowicie pochłonięci swoimi sprawami.

Haler wyjęła z automatu kawę, po czym się uśmiechnęła.

– Zdaje się, że w „Kurierze” nadano ci ksywkę „Komisarz Pech”. Napisałi, że od roku starasz się odejść na emeryturę i wiecznie dostajesz kolejną sprawę.

– Już wiedzą o tej kobiecie z sauny?

– Tak. I nie pytaj mnie skąd.

– Świetnie. – Deryło popatrzył po zebranych i wybuchnął teatralnym śmiechem. – Było miło i wesoło, ale możecie dać sobie spokój.

– Życzymy powodzenia, staruszkule – mruknął ktoś za jego plecami.

Deryło błyskawicznie się odwrócił i zobaczył jednego z komisarzy, których niegdyś stawiano z nim w jednym szeregu potencjalnych kandydatów na zastępcę naczelnika wydziału. Sytuacja była otwarta, odkąd przed dwoma tygodniami z gabinetem definitywnie pożegnał się inspektor Knap. Definitywnie, nie znaczyło, że przestał pracować. Zgodził się pozostać do czasu wyłonienia następcy, tymczasem kierownictwo zdawało się w ogóle nie interesować się tą kwestią. Zbyt mocno zaprzętały je polityczne rozgrywki na szczycie.

– Coś powiedział? – Deryło zmierzył komisarza nienawistnym spojrzeniem. – Możesz to powtórzyć głośniejszym głosem? Śmiało.

– Czyżby w tym wieku tracił pan słuch?

Deryło zacisnął zęby. Zrobił kilka kroków ku komisarzowi i uniósł pięść. Momentalnie jego okrągła twarz spurpurowiała, nozdrza rozwarły się, a usta zacisnęły. Haler w ostatniej chwili pchnęła go w stronę klatki schodowej oraz wind.

– Oni naprawdę myślą, że szykuję się na jakiekolwiek stanowisko? – Deryło wybuchnął, gdy dwie minuty później znaleźli się w jego gabinecie. – Co to jest? Sejmik szlachecki z obozami i stronnictwami? Mam w dupie papierologię i szczerze marzę o emeryturze. Jestem tym zmęczony...

– Wiem.

– Ukręciłbym sukinsynowi łeb.

– Nie wszyscy wierzą doniesieniom prasy, że gdyby nie nowa sprawa, już byłbyś na Bahamach.

– Wystarczyłoby mi Salzburg lub Wiedeń.

Deryło ciężko zwałił się na fotel i odchylił do tyłu głowę. Z półprzymkniętymi oczami sięgnął po leżącą na biurku kartkę, po czym zaczął składać żurawia origami.

– Dobra – odezwał się po chwili. – Koniec głądzenia. Ja zdałem ci relację od Gawińskiego, a ty ani się do niej nie ustosunkowałaś, ani nie powiedziałaś, na co wpadłaś.

Haler upiła łyk kawy, a drugi kubek postawiła przed komisarzem. Zerknęła za okno w stronę skrzętego się w oddali starego miasta. Blaszane dachy kamienic oraz kościołów mieniły się złotym blaskiem.

– Jej dawne obrażenia zmuszają nas do szukania wśród osób, z którymi się spotykała –



stwierdziła, nie odwracając się. – Motyw jest na razie nieważny. Musimy ustalić jej facetów, kochanków lub cichych wielbicieli.

– Tyle?

– Na razie tak.

Haler usłyszała odgłos zmiętej kulki wpadającej do śmietnika. Pośpiesznie mówiła dalej.

– W nocy przez wiele godzin analizowałam ten napis z szyby sauny.

– Cierp.

– Aha.

– I na co wpadłaś? No, mów wreszcie...

Odchrząknęła. Wiedziała, że Deryło jest kompletnie bez humoru i że gdy znajduje się w takim stanie, lepiej nie stawiać zbyt pochopnych ani ogólnikowych tez. Nawet jeżeli cieszyło się jego pełnym zaufaniem.

– Psychologicznie rozsądny i przekonujący jest tylko jeden wniosek – odezwała się po chwili. – Jeżeli sprawca chciał udręczyć swoją ofiarę, powinien napisać to w formie odbicia lustrzanego.

– Trzeba najpierw na to wpaść...

– Być może. Ale i tak ze swojej pozycji zamordowana nie byłaby w stanie nic odczytać. W ogóle, aby przeczytać ten napis, musiałaby leżeć na siedzisku lub stać, a to nie wchodziło w grę.

– Może się przczołgała i umarła pod drzwiami, ale...

– To by nic nie zmieniło. Analizowałam kąt, pod jakim widać litery, i jestem pewna, że nie dałaby rady dostrzec ich z żadnego miejsca na podłodze.

– Mógł napisać to wcześniej.

– Jednak gdyby napis był na szybie zbyt długo, zdeformowałby się. Byłyby tego ślady... Sam o tym mówiłeś.

Deryło fuknął. Odchylił się w fotelu i sięgnął po kolejną kartkę.

– Co w takim razie? Mam do ciebie wystosować oficjalną notę z zapytaniem o rezultat przemyśleń?

Haler odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zabójca skierował to przesłanie do nas. To my mieliśmy je odczytać.

Do popołudnia nie pojawiły się żadne nowe informacje. Laboratorium pracowało pełną parą, ale Deryle nawet nieoficjalnymi kanałami nie udało się wyciągnąć żadnych wieści. Prognozowało to jak najgorzej, każąc mu przypuszczać, że do tej pory w domu Marty Werskiej nie natrafiono na jakiegokolwiek ślady zabójcy. Przynajmniej takie, które pomogłyby go ująć.

Koncepcja Haler dotycząca rzekomego skierowania przez sprawcę wiadomości wprost do śledczych przyprowadziła go o nieprzyjemny dreszcz. Czy mogło chodzić konkretnie o niego? Albo, co gorsza, konkretnie o Tamarę? Czy sprawca mógłby przewidzieć, że właśnie oni zajmą się sprawą? A może chodziło o jakiegokolwiek, pierwszego z brzegu śledczego i pechowo trafiło akurat na nich? Znalezienie odpowiedzi na wszystkie te pytania przynajmniej na razie było niemożliwe.

Jedyny postęp stanowiła zwięzła opinia specjalisty energetyka dotycząca zmian poczynionych w układzie elektrycznym sauny. Zgodnie z nią, zabójca musiał pojawić się w domu zamordowanej kobiety poprzedniego dnia i dokonać kilku modyfikacji, które sprawiły, że z wnętrza sauny nie dało się regulować temperatury, a po jej uruchomieniu ta nieustannie rosła aż do granic wytrzymałości urządzenia. Właśnie ten ciąg przyczynowo-skutkowy doprowadził do zwarcia, które stało się z kolei przyczyną interwencji pogotowia energetycznego. Na pytanie Deryły, czy aby dokonać owych przeróbek, potrzebna jest bardzo fachowa wiedza, specjalista odpowiedział krótko:

– Wystarczy YouTube.

I owszem, gdy Haler zaczęła sprawdzać zagadnienie, okazało się, że w internecie roi się od poradników, jak jedno z pomieszczeń zaadaptować na saunę. Kilka z nich odnosiło się stricte do zagadnień elektrycznych oraz regulacji temperatury. Czas potrzebny na wykonanie modyfikacji nie przekraczał kilkunastu minut. W dwóch filmikach podobne przeróbki traktowano wręcz jako pomysł na wyjątkowo zabawny żart. Nie obejmował on jednak zamknięcia od zewnątrz drzwi sauny. Drobnny detal, który całkowicie zmieniał sposób odbioru całości oraz jej dowcipność.

Wczesnym popołudniem, po wypiciu kolejnej kawy oraz unicestwieniu całego stada żurawi, Deryło sięgnął po telefon. Był to stary aparat ze słuchawką na kablu oraz dwoma rzędami czerwonych diodek przypisanych do wewnętrznych numerów. Komisarz wybrał właśnie jeden z nich.

– Ustaliliście coś? – zapytał, gdy tylko odebrano.

Aspirant Brzeski ciężko sapnął. Już samo to mogło służyć za wymowną odpowiedź.

– Rozgrzebujemy kompletny syf – odezwał się po chwili. – Życie tej kobiety to kompletna zagadka. W jej telefonie niemal brak kontaktów, znaleźliśmy dwie połamane karty SIM, a ViSir wciąż ślęczy nad złamaniem hasła do jej komputera. Ponoć do zabezpieczeń użyła specjalnego programu.

– Wiemy przynajmniej, gdzie pracowała?

– Nie do końca. Właściwie jest problem z ustaleniem jej rachunku bankowego... O ile w ogóle go miała, bo sądząc po gotówce znalezionej w domu...

Brzeski wymownie zawiesił głos. Tak, miał rację. Mało kto w dzisiejszych czasach trzyma pod łożkiem kilkadziesiąt tysięcy. Poza tym skrytka była tak banalna, że trafiono na nią niemal od razu. A to było symptomatyczne. Świadczyło o tym, że zabójca nie interesował się rabunkiem i jego działanie kierowało się na coś kompletnie innego. Najprawdopodobniej bezpośrednio na śmierć ofiary. To, zdaniem Haler, stanowiło najgorszy znak.

– Przyłóżcie się podwójnie – mruknął Deryło. – Nie wierzę, że nie ma po niej śladu w internecie ani na tych debilnych portalach, na których ludzie umieszczają zdjęcia swoich powykrzywianych gęb.

– Jeśli chodzi panu o Facebooka lub Instagram, to na pewno nie miała konta podpisanego imieniem oraz nazwiskiem.

– Czyli, jak to się dzisiaj mawia? Nie istniała?

– Zgadza się. Gdybym nie widział zdjęć zwłok, uznałbym, że takiej osoby po prostu nie ma.

– Jesteście dziwnym pokoleniem.

Deryło rzucił słuchawkę na bazę. Nabral powietrza i sięgnął do kieszeni. Obrócił między palcami srebrny sesterc. Jak dotąd znaczenie miały tylko dwa fakty. Po pierwsze, ofiara wydawała się niemal zjawą, a po drugie... Analizując ogół okoliczności, Haler nie miała wątpliwości, że za zabójstwo odpowiada charakterystyczny typ sprawcy. Taki, który szybko atakuje ponownie.

## Dzień następny

- Chciałbym ci tyle powiedzieć...
- Niby co?
- Nie wiem, od czego zacząć.
- Zaczynaj od tego, co ci najbardziej dopieka. Co jest wrzodem na twojej dupie.
- Nie pożegnaliśmy się. Nigdy nie powiedziałem: „cześć Roman, trzymaj się, do zobaczenia po drugiej stronie”.
- Pewnie dlatego, że nigdy nie wierzyłeś w drugą stronę.
- Kiedyś wierzyłem. Gdy byłem dzieckiem i myślałem, że nad chmurami latają aniołki. Teraz też wierzę, tylko... nieco inaczej.
- Ja nie istnieję. Nigdzie mnie nie ma.
- A jednak z tobą rozmawiam, żalę ci się i kurewsko mi ciebie brakuje. Czyli jednak jesteś gdzieś tam, we mnie. I wbrew temu, co mi się wydawało, zanim nie odłączyli cię od aparatury, nie traktowałem cię jak zmarłego. Gdzieś w podświadomości wciąż dla mnie żyłeś. Dobrze sobie, co? A chciałem, żeby szlag trafił te wszystkie rurki... Nieważne. Wciąż noszę cię w sobie.
- Zniknę razem z tobą?
- Nie wiem, Roman, do cholery, nie wiem...

Deryło przełknął ślinę i westchnął. Stał nad rodzinnym grobowcem, w którym spoczywał jego brat. Roman zmarł przed kilkoma miesiącami po wielu latach przebywania w śpiączce. Jego stan od dawna nie rokował poprawy. Właściwie lekarze uważali, że podtrzymywanie życia w tym przypadku nie ma najmniejszego sensu. Cudowne przebudzenia zdarzały się po znacznie dłuższym czasie, lecz nie z podobnymi uszkodzeniami mózgu. Przerwanie uporczywej terapii stanowiło punkt zapalny w relacji komisarza oraz rodziców. Przede wszystkim jego matka nalegała, aby za wszelką cenę podtrzymywać syna przy życiu. Nie rozumiała, że w wychudzonym, bezwładnym strzępie skóry i kości tak naprawdę nie ma już życia. Przynajmniej nie tak jak chciała je postrzegać. Tymczasem Deryło rozumiał to aż zbyt dobrze. Właściwie w dniu, w którym dowiedział się o śmierci Romana, poczuł przede wszystkim ulgę. Myśl o tym, że przez te wszystkie lata jego świadomość (bo tylko taką interpretację mógł przyjąć) przebywała w unieruchomionym ciele, przyprawiała go o dreszcze. Wielokrotnie nie mógł przez to spać bądź dręczyły go koszmary. Zastanawiał się nawet nad potajnym „wspomożeniem” przeprawy brata na drugą stronę, ale coś go powstrzymywało. Poza tym usilnie pocieszał się, że w martwym mózgu przecież nie może być świadomości. Całe lata roztrząsania tego i podobnych mu zagadnień sprawiły, że wyklarował dość jasne poglądy na śmierć oraz umieranie.

Ostatni raz poprawił znicze tak, by stały w idealnie prostej linii po obu stronach grobu. Wieniec na środku był niesymetryczny, co go drażniło, ale zostawił go tam, gdzie położyła go matka. Pal diabli. Nie chciał jej robić przykrości ani dawać powodu do kłótni.

Zerknął na zegarek i pośpiesznie ruszył w stronę kaplicy. Nabożeństwo żałobne Marty Werskiej właśnie się zaczynało. Przed tylnym wejściem stał karawan, lecz wokół niemal nie było ludzi. Deryło dostrzegł Karola Werskiego w towarzystwie trzech mężczyzn. Dwóch z nich było nieco starszych od niego, a jeden znacznie młodszy w ciemnogrnatowym garniturze i lustrzanych okularach na nosie. Po chwili całe towarzystwo weszło za trumną do kaplicy.

Deryło przystanął w cieniu rozłożystej lipy i splótł dłonie na piersi. Miał z tego miejsca dogodny punkt obserwacyjny, samemu pozostając niemal niezauważonym. Dla niepoznaki tego dnia założył szarą, nierzucającą się w oczy marynarkę oraz białą koszulę. Nie chciał sprawiać wrażenia uczestnika pogrzebu. Rozpacz zawsze przyciągała uwagę postronnych osób. Niezauważona pozostawała natomiast

nijakość.

Na cmentarzu było bardzo mało osób. Kilka kobiet zajmowało się sprzątaniem grobów, a śmieciarze opróżniali kontenery ze zniczami oraz wieńcami. Alejkami spacerowali pojedynczy przechodnie – w większości zmierzający skrótami do pracy. Mimo to po blisko półgodzinnym oczekiwaniu komisarz zdał sobie sprawę, że w pewnym oddaleniu od kaplicy wciąż tkwi postać w czarnej baseballówce, luźnych spodniach i beżowej bluzie. Osoba ta niemal się nie poruszała. Nie stała przy żadnym z grobów, lecz za załomem ceglanego muru, którego większą część wyburzono przed paroma laty, i robiła zdjęcia. Daszek czapki rzucał cień zasłaniający rysy jej twarzy. Komisarz miał wrażenie, że teraz postać obserwuje również jego. Poczł dreszcz nieprzyjemnego przecucia.

Powoli odwrócił wzrok i udał brak zainteresowania. Poprawił wieniec leżący na pobliskim grobie, po czym odruchowo się przeżegnał. Włożył dłonie do kieszeni. Siłac się na naturalny krok, skierował się w stronę postaci. Dzielilo ich nieco ponad sto metrów oraz linia gęsto ustawionych pomników. Deryło spuścił głowę, kątem oka obserwując tajemniczą osobę. Gdy wyszedł na kolejną alejkę, postać drgnęła, po czym dziarsko ruszyła w przeciwną stronę. Deryło również przyspieszył kroku, a w tym samym momencie nieznajomy rzucił się do ucieczki.

Deryło sadził długie susy, obiegając rząd kwater. Rzucił się na skróty, ścieżką wydeptaną między grobami. Osiadła na ziemi rosa sprawiała, że ślizgał się i co kilka kroków tracił równowagę. Poza tym zmuszony był biec pod niewielkie wzniesienie, co podwójnie utrudniało sprawę. Podtrzymał się pomników tak mocno, że poranił sobie dłonie. Wreszcie wypadł na szeroką ścieżkę biegnącą przez starą część cmentarza, obok cerkwi prawosławnej i w dół, ku jednej z głównych alejek.

Uciekający był pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów przed nim. Popęłnił błąd, kierując się między przeniesionymi niedawno pomnikami carskich oficerów, pomiędzy którymi ziemia, choć zarośnięta trawą, wciąż była grząska i spowolniła bieg. Gdy zdał sobie z tego sprawę, wycofał się ku brukowanej ścieżce. To kosztowało go przewagę kilkudziesięciu metrów. Mimo to od głównej bramy cmentarza dzieliło go dwa razy mniej niż komisarza. Po wybiegnięciu na zewnątrz mógł skierować się w dwie strony lub ryzykować bieg na przełaj przez dość ruchliwą o tej porze ulicę. Każde z rozwiązań wiązało się z innym ryzykiem, lecz przybliżałoby go do zmylenia pogoni. Deryło doskonale o tym wiedział, więc za wszelką cenę chciał dopaść ściganego jeszcze na terenie cmentarza. Ciężko dysząc i nie zważając na ryzyko poślizgnięcia, postanowił biec na przełaj po marmurowych grobach. Przeskakiwał z jednego na drugi, chwytając się krzyży lub tablic. Dzięki temu po kilkunastu sekundach zmniejszył dystans o kolejnych dziesięć metrów.

Uciekający pochylił się i jedną dłonią podtrzymał bejsbolówkę, jakby świadomy, że na terenie cmentarza mogą być kamery. Od bramy dzieliło go kilka metrów, które pokonał dzikim sprintem, rozpychając się między grupą staruszek. Te oburzone odwróciły się za nim, zasłaniając jednocześnie drogę Deryle. Komisarz nie chciał ryzykować stratowania którejś z kruchych kobiet i musiał obieć je, zbaczając z alejki.

– Uwaga! – krzyknął, gdy starowiny niemal zablokowały bramę. – Uwaga!

Jego słowa wywołały efekt przeciwny do zamierzonego, sprawiając, że staruszki dosłownie zdębiały. Wybałuszyły oczy, czekając na zderzenie z nieuchronnym.

„Niech to szlag” – przemknęło komisarzowi przez myśl. Uciekający wypadł już z cmentarza i Deryle wydawało się, że skierował się w lewo. Mógł to być jednak jedynie taktyczny zwód, by poza polem widzenia komisarza zawrócić w przeciwnym kierunku.

– Uwaga...

Deryło sapnęła, zwalniając niemal do truchtu. Pot lał się strumieniem po jego twarzy oraz plecach. Serce waliło w piersi jak szalone. Jakimś cudem udało mu się przebiec między staruszkami, nie wyrządzając żadnej z nich krzywdy. Za plecami usłyszał jednak szereg niewybrednych uwag co do terenu, jaki wybrał do „dziogingowania”.

„Gdybym chciał dziogingować, poszedłbym na cholerne boisko, dewotko” – była to ostatnia myśl, która przeszła przez głowę Deryły na cmentarzu. Oczywiście niemal jej nie zakodował. Ułamek sekundy później wypadł na zewnątrz i zwalniając, rozejrzał się. Po postaci w bluzie i czapce z daszkiem nie było już śladu.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Na Lipowej w porannym korku mozolnie toczył się długi sznur aut. Skoro nie słyszał chóralnego trąbienia, było mało prawdopodobne, by ktoś przebiegł pomiędzy nimi. W drodze do roboty do skrajnej irytacji potrafiły doprowadzić kierowców mniej niecodzienne rzeczy niż szalenciec przemykający sprintem przed maską samochodu.

Na przejściu dla pieszych po lewej stronie paliło się czerwone światło. To również mogło być pewną wskazówką, lecz na chodniku w prawo nie było żywej duszy. Deryło odsapnęła i ruszył wzdłuż muru cmentarnego. Przed bramą rozłożone było tylko jedno stoisko z kwiatami oraz zniczami, ale kuśtykająca blisko osiemdziesięcioletnia sprzedawczyni sprawiała wrażenie takiej, która nie zwróciłaby uwagi na uciekającego nosorożca.

– Świetnie... – mruknął do siebie komisarz.

Przeszedł kilka kroków, po czym gwałtownie zawrócił. Wpadł pomiędzy opróżnione niedawno kontenery na odpady i błyskawicznie rozejrzał się, czy nie ma pomiędzy nich innej drogi ucieczki. Zacisnął pięści.

Instynkt go nie zawiódł i tym razem. Na ziemi pomiędzy wielkimi śmietnikami dostrzegł skuloną postać. Jego twarz wykrzywił grymas zdumienia.

Samotnik rozejrzał się po swojej pustelni. Chata była prosta, sprawiała wrażenie wręcz opuszczonej. Szyba w jednym z okien została stłuczona wiele lat temu i równie dawno zastąpiona ceratą, sufit pokrywały wykwity pleśni oraz wilgoci, a drzwi odstawały od futryny. W od dawna niepalonym piecu załęgły się pająki. Wypaczona, drewniana podłoga jęczała pod każdym krokiem. Jednak Samotnik zdawał się nie zwracać na to uwagi.

Mimo mankamentów samego domostwa w środku było czysto. Na regale stanowiącym oprócz łóżka jeden z nielicznych mebli stały pod linijkę rzędy książek. Niewielkie biurko pod oknem lśniło od pasty, a na jego środku leżał laptop. Pościel została równo złożona i zasłonięta grubą, kolorową kapą. Nad drzwiami wisiała ikona przedstawiająca Chrystusa Pantokratora, a na każdej ze ścian kolejne święte obrazy – wizerunki Matki Boskiej, wizje Sądu Ostatecznego, wniebowstąpienia i rozmaite inne sceny biblijne. Pomiędzy nimi zawieszono proste krzyże oraz zdobione krucyfiksy. Do tego kilka szkaplerzy, różańców oraz wszelkiej maści dewocjonaliów.

Samotnik przeżegnał się przed ikoną i pchnął drzwi. Wyszedł na zalany słońcem ganek. Intensywnie zamrugał, po czym dziarskim krokiem przeszedł przez podwórze. Szedł boso, nie zważając na poranną rosę ani zalegające gdzieś błoto. Jego dom znajdował się na wykarczowanej, niewielkiej polanie i dawniej służył jako leśniczówka. Obecnie las coraz mocniej wdzierał się na wytyczone podwórze. Od północy wzrastało kilka świerków, a założony przez Samotnika ogródek kompletnie zdewastowały dziki. Przegniła drewnia ostatecznie uległa najazdowi korników i zawaliła się niczym domek z kart. Zimą runęła również stojąca nieopodal myśliwska ambona, z której najpierw spadł dach, a potem cała przekrzywiła się na bok, aż wreszcie wsparła o jedno z drzew.

Gdzieś nieopodal w powietrze wzbilo się stado ptaków. Liście zaszeleściły i nad lasem rozległy się zaniepokojone nawoływania. Samotnik nie zwrócił na to uwagi. Zatrzymał się niemal dokładnie pośrodku polany, po czym z kieszeni znoszonych, lecz czystych jeansów wyjął stary telefon. Powoli go rozłożył i wsunął do środka kartę SIM. Mimo konieczności ich rejestracji zdobycie nienotowanego egzemplarza (lub notowanego, ale na cudze nazwisko) nie stanowiło problemu. Jak zwykle procedury prowadziły do przerostu formy nad treścią. Niczego więcej.

Samotnik, czekając, aż telefon ponownie się uruchomi, przeszedł wzdłuż polany. Gdy upewnił się, że ma należyty zasięg, z drugiej kieszeni wyciągnął niewielką kartkę z pośpiesznie nakreślonym numerem telefonu. Wpisał go, dwukrotnie upewnił się, że nie popełnił pomyłki, i nacisnął przycisk połączenia.

- To ja – odezwał się, gdy po drugiej stronie ktoś znacząco odchrząknął.
- Wszystko zgodnie z umową? – zapytał nienaturalnie niski, wręcz grobowy głos.
- Czy mogę liczyć na jakąś zniżkę?
- Wtedy musiałbym zaniechać części czynności. A tego chyba pan nie chce.
- Nie.
- No więc, zapytam raz jeszcze, czy wszystko zgodnie z umową?
- Tak, tak. Niech będzie.
- A więc jesteśmy umówieni.
- Tyle że...

Rozmówca się rozłączył. Samotnik, z nieokreślonego powodu zły na siebie, jeszcze przez chwilę stał w miejscu. Wreszcie odsunął telefon od ucha, po czym ponownie rozebrał obudowę. Wyjął kartę SIM i złamał ją na pół. Jedną część połknął, a drugą rzucił na trawę, po czym ją przydeptał.

– Niech będzie – powtórzył znacznie bardziej stanowczym tonem niż przed chwilą. – Zostało postanowione.



Deryło rozluźnił pięści i się wyprostował. Na ziemi przed nim kulila się młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta. Miała zaciśnięte usta, wyzywające spojrzenie i rozwichrzone, kasztanowe włosy. W dłoni trzymała czarną bejsbolówkę. Zapewne usiłowała nieudolnie zmienić wizerunek, gdyż była w trakcie zakładania bluzy na lewą stronę. Być może gdyby się jej to udało, komisarz rzeczywiście by jej nie poznał. Teraz jednak nie miał wątpliwości, że ma przed sobą osobę, która obserwowała pogrzeb Marty Werskiej.

– Kim pani jest? – zapytał cierpko.

Wyciągnął rękę, aby pomóc kobiecie wstać. Ta go zlekceważyła.

– Kim pani jest i dlaczego pani, do cholery, uciekała? – zapytał ostrzej.

– Zna pan powiedzenie, że to nie człowiek ciągnie kota za ogon, lecz kot nadwyręza go, próbując biec?

– Chyba nie rozumiem.

– Nie wiem, czy jest coś dziwnego w tym, że kobieta ucieka na widok dwa razy większego od siebie faceta, który ją ściga.

Deryło sapnął. Serce wciąż kołatało mu się w piersi, a płuca paliły żywym ogniem.

– No, dobrze. Zaczniemy od drugiej strony. Czy pani wie, kim jestem?

– Nie przedstawił mi się pan. Mogłam podejrzewać wszystko...

Kobieta obrzuciła Deryłę wrogim spojrzeniem, ale widząc, że ten nie jest do niej bojowo nastawiony, chwyciła nadal wyciągniętą dłoń i wstała. Otrzeпаła się z kurzu.

Komisarz obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Była wysportowana i drobna, lecz luźne ubranie maskowało kobiecą sylwetkę. Nie miał pojęcia, dlaczego zakwalifikował ją jako mężczyznę. Miała regularne, dziewczęce rysy twarzy, prosty nos i lśniące, pełne determinacji oczy.

– W takim razie tę rozmowę będziemy musieli kontynuować na komisariacie... – Bezradnie rozłożył dłonie, jakby to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Zresztą zgodnie z rzeczywistością, wobec czego musiał improwizować. – Proszę wyciągnąć dłonie.

– Ale ja...

Kobieta cofnęła się o krok, niemal dotykając plecami do kontenera. Usiłowała ukryć przewieszony przez ramię aparat fotograficzny. Deryło wskazał na niego palcem.

– A to? Po co robiła pani zdjęcia uroczystości pogrzebowej?

– To już moja sprawa – odparła zadziornie kobieta.

– Obawiam się, że nie do końca ma pani rację. O ile nie chce pani, żebym zarekwirował ten sprzęt.

– Szeryf Deryło, prawda?

Nieoczekiwane pytanie sprawiło komisarza w zdumienie.

– Czy pani...

– Widziałam zdjęcie w gazecie. Było całkiem aktualne.

– A więc wiedziała pani, że jestem gliniarzem. A mimo to uciekała pani przede mną, co nie przedstawia takiego zachowania w najlepszym świetle. Zgodzi się pani?

Kobieta spuściła wzrok i poprawiła bluzę. Przez chwilę stała nieruchomo niczym posąg. Z zaciśniętymi ustami, rękoma splecionymi na piersi i lekko rozstawionymi nogami. Po kilku sekundach odezwała się pojednawczym tonem:

– Wyciągnął pan dłoń, żeby pomóc mi wstać, a ja mogłam mieć schowany pistolet. Dlaczego?

Deryło wzruszył ramionami.

– Myślałem, że to ja jestem od zadawania pytań. – Uśmiechnął się. – Ale w drodze wyjątku odpowiem pani. Po trzech dekadach w tej cholernej robocie trochę poznałem się na ludziach. Przynajmniej zdaje mi się, że umiem ocenić, czy ktoś chce do mnie za chwilę strzelić.

Kobieta ponownie na niego spojrzała. W jej oczach pojawiła się nuta porozumienia.

– Nazywam się Daria i... – Westchnęła. – Chciałam wyjaśnić kilka spraw związanych ze śmiercią Marty.

– Prowadzi pani własne śledztwo? Jest pani dziennikarką?

– Tak i nie.

– Więc to pani przyjaciółka?

– Nie.

– Znajoma? Kochanka?

– Nie. Nie.

Deryło nie zamierzał dać zbić się z tropu.

– Więc? – zapytał ponownie, przybierając surowy ton. – Naprawdę możemy kontynuować tę rozmowę w jeszcze mniej przyjaznym otoczeniu niż kontenery na śmieci.

Kobieta powoli wypuściła powietrze i przygryzła wargę. Jej podbródek zadrżał, a usta się wykrzywiły. Po chwili nie potrafiła powstrzymać płaczu.

Deryło wzniosł błagalne spojrzenie ku niebu. Jednak nie prosił o pomoc, a kierował pod adresem Najwyższego całą litanię wyrzutów.

– Marta była moją siostrą.

Kobieta podniosła spojrzenie na komisarza i przełknęła ślinę.

– Możemy wyjść z tego śmietniska?

Deryło skinął głową. Chwilę później znaleźli się w bocznej części cmentarza. Wokół nich nie było nikogo, a delikatny wiatr poruszał drobnymi liśćmi lip. W powietrzu unosił się dusznawy zapach gnijących kwiatów oraz dogasających po nocy zniczy. Komisarz zatrzymał się i wskazał na opuszczony grobowiec o pokruszonych krawędziach. Litery na wytartej płycie były zupełnie nieczytelne, a na środku pozostało miejsce po dawnej porcelanowej, okrągłej fotografii.

– Proszę usiąść – odezwał się rozkazującym tonem. – To chyba dobre miejsce.

– Myśli pan, że w takim otoczeniu nie odważę się skłamać?

– Myślę, że po prostu nikt nas nie podsłucha.

Daria zaśmiała się nerwowo i cicho. Przeczesała palcami włosy, po czym położyła na kolanach bejsbolówkę.

– W takim razie przesłuchanie czas zacząć. – Spojrzała Deryle prosto w oczy. Choć starała się udawać rozluźnioną, jej wzrok był ponury i zdradzał skrępowanie.

Komisarz stanął naprzeciw niej. Po chwili uznał, że nie jest to najlepsza pozycja do swobodnej rozmowy, więc kucnął. Strzeliło mu w kolanach.

– Dlaczego nie poszła pani na pogrzeb? – zapytał, ponownie się przesuwając. – Większość sióstr tak właśnie robi.

– Większość sióstr nie ma na pieńku z ojcem. Nie chciałam wywoływać w kaplicy awantury.

– Wydawało mi się, że moi ludzie ustalali członków rodziny i...

Daria machnęła ręką.

– Noszę inne nazwisko i od lat odcięłam się zarówno od ojca, jak i od Marty. To skomplikowane.

Deryło spojrzał na nią uważnie. Zmarszczył czoło i ściągnął brwi. Po chwili odezwał się żartobliwym tonem:

– Może pani nie uwierzy, ale lubię skomplikowane historie. Od dziecka rozwiązywałam łamigłówki i szło mi to całkiem dobrze. Na poziomie dla trzylatków dalej jestem nie do pokonania.

Kobieta nie zwróciła uwagi na jego próbę rozluźnienia atmosfery.

– Obawiam się, że ta łamigłówka nie ma rozwiązania – wycedziła. – Zresztą jak większość sytuacji w życiu.

– A jeśli je znajdzie?

– Wierzy pan w to? Ot tak? Bohaterski komisarz Deryło znajduje wyjście z każdej sytuacji?

– Oczywiście.

Daria oparła się dłońmi o zmurszały kamień i odchyliła nieco do tyłu.

– Zapewne wie pan już o naszej matce, prawda? Jaka wersję panu przedstawiono?

– Taką, że zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku w trakcie nurkowania.

– No, właśnie. – Kobieta parsknęła i pokręciła głową. – To tylko teoria, prawda jest taka, że poważnie rozważano próbę samobójczą. Przed wejściem do wody mama nałykała się rozmaitych tabletek, które sprawiły, że najpierw straciła orientację, a potem przytomność. Następnie oczywiście się udusiła. To taka bardziej zaawansowana wersja zeznania się spalinami samochodu odpalonego w zamkniętym garażu.

Deryło uważnie słuchał. Żałował, że nie ma przy nim Haler, gdyż mimo usilnych starań nie potrafił wyciągać tyłu wniosków z mowy ciała, co jego podwładna. Nie był pewien emocji towarzyszących opowieści Darii. Czy była rozdrażniona? Zła? A może po prostu przybita i zrozpaczona? W końcu właśnie rozpoczynała przeżywanie żałoby. Zastanawiał się również, dlaczego opowiada mu tę historię, choć powinna skupić się na czymś zupełnie innym. Na śmierci siostry.

– Proszę mówić dalej – zachęcił, gdy kobieta na moment umilkła. – Śmiało, ta rozmowa na razie zostaje tylko między nami.

Daria ponownie się wyprostowała i spojrzała gdzieś za komisarza.

– Dwa lata przed śmiercią matka odeszła od ojca. Rozstali się, choć nigdy nie wzięli rozwodu.

– Nie układało im się?

– Tym zajmiemy się za moment, dobrze? Jest pan cholernie niecierpliwy, komisarzu. Jednak najpierw przejdę do czegoś bardziej istotnego.

– Jestem młodsza od Marty o trzy lata. Gdy rodzicom na dobre przestało się układać, skończyłam czternaście lat, ale nie miałam zielonego pojęcia, co było przyczyną ich kłótni. Nie sądzę, żeby ojciec był zdolny mieć kochankę. To na pewno nie przez to, lecz gdy patrzę na to z perspektywy czasu widzę, że oboje byli doskonałymi konspiratorami...

Deryło wciąż czekał, aż Daria przejdzie do sedna. Miał wrażenie, że kobieta dozuje przed nim informacje, jednak nie robiąc tego umyślnie, a czując ulgę, że sama może komuś opowiedzieć tę historię. Być może robiła to po raz pierwszy w życiu. Jej relacja była chaotyczna, lecz oscylowała wokół pewnej osi, która coraz mocniej kreśliła się również w umyśle komisarza.

– Wydaje mi się, że Marta wiedziała więcej. W pewnym momencie zaczęła uciekać z domu, aż zniknęła na kilka dni. Wtedy matka wpadła w szal i odeszła od ojca.

– Nie czekając na odnalezienie pani siostry?

– Wręcz przeciwnie. Zrobiła to, gdy Marta tylko wróciła i zabrała ją ze sobą. Nie wiem, gdzie moja siostra przebywała przez ten czas...

– Nie rozmawialiście o tym?

– Oddaliśmy się od siebie. Kłótnie rodziców wpłynęły na nasze relacje. Ja stanęłam po stronie ojca, ona po stronie matki. Choć to bezsensowny podział, bo tak naprawdę nie miałyśmy pojęcia, jakie każde z nich ma argumenty.

Deryle coś się nie zgadzało. Poza tym nie wiedział, na ile istotna dla sprawy jest ta historia i zaczynał się niecierpliwić. Nie chciał przyznać przed samym sobą, jak dobrze rozumie atmosferę, która mogła zapanować w domu Werskich.

– A jednak powiedziała pani, że ma z ojcem na pieńku. Prawda? Tak to pani określiła...

Kobieta zaśmiała się. Krótco i cicho.

– Zawsze do sedna, szeryfie, prawda? – Osłoniła oczy przed słońcem przebijającym zza drzew. – Matka odeszła od ojca dwa lata przed śmiercią, ale wojna w domu trwała znacznie dłużej. Nim się wyprowadziła, wybuchały karczemne awantury, choć nigdy nie zdradzili się z pierwotnym powodem. Po prostu stali się swoimi największymi wrogami. Wiem, że ojciec kilkakrotnie ją uderzył, i to przelało czarę goryczy.

– U pani również?

– Chyba na równi z tym, że matka zabrała ze sobą Martę, a ja zostałam z ojcem. Później wszystko się odwróciło. Gdy skończyłam osiemnaście lat wyjechałam jak najdalej, a ona ponownie nawiązała z tatą jako takie stosunki.

– Widywałyście się?

Daria pokręciła głową. Przysłoniła usta wierzchem dłoni, powstrzymując nadchodzący spazm płaczu. Momentalnie się jednak opanowała.

– Nie. Nie widziałam jej od czterech lub pięciu lat.

– I ni stąd, ni zowąd postanowiła pani rozpocząć prywatne śledztwo w sprawie jej śmierci? – Deryło westchnął. – Coś pani przede mną ukrywa...

– Wcale nie. Po prostu...

– Tak?

Kobieta pochyliła się tak, że włosy przysłoniły jej twarz. Komisarz dostrzegł jednak, że jej ramiona delikatnie drżą. W pierwszym odruchu chciał ją objąć, lecz się powstrzymał. Coś przyszło mu do głowy. Odgadł, jaka niewypowiedziana teoria przemyciała przez całą opowieść kobiety. Nie do końca uchwycił jej sens, ale wiedział, że nie musi już o nic dopytywać. Zrobiło mu się jej potwornie żal i wreszcie wyciągnął ku niej dłoń. Pogładził ją po głowie tak, jak dawniej wielokrotnie gładził głowę swojej córki. Setki wspomnień przemknęły mu przed oczami i zwilżyły oczy.

Po rozmowie z Darią w głowie Deryły kłębiło się więcej pytań niż dotychczas. Nie zapytał jej wprost o istotę swych podejrzeń, lecz był niemal pewny niewyrażonej tezy. Kobieta między słowami sugerowała, że za śmierć jej siostry może odpowiadać ich ojciec. Tak samo, jak pośrednio odpowiadał on za śmierć ich matki. Tyle że czy największy kat psychiczny byłby w stanie dokonać morderstwa z premedytacją? Czy byłby w stanie zablokować drzwi do sauny, w której żywcem ugotuje się jego córka? A może zlecił to komuś innemu, kto po prostu przesadził z efektem końcowym?

Tyle że komisarzowi za grosz nie pasowało to do rysu psychicznego człowieka, który pojawił się w domu zamordowanej. Karol Werski bez dwóch zdań był załamany i przybity. Najlepszy aktor nie odegrałby żalu z takim autentyzmem. Choć z drugiej strony... Od początku Deryle coś w nim nie pasowało. Przesadna egzaltacja, pogubienie, brak jakichkolwiek konkretów dotyczących życia córki. To wszystko było dziwne. Być może rodzinna zagadka stanowiła klucz do rozwiązania całej sprawy, a może jedynie element poboczny, który tak często prowadzi śledztwa na manowce. Powinni to jak najszybciej rozstrzygnąć.

Daria bez dwóch zdań nosiła w sobie pierwiastek skrywanej tajemnicy. Deryło nie potrafił go jednoznacznie ocenić, lecz podczas całej rozmowy miał wrażenie, że nie mówi mu wszystkiego, co wie. Poza tym, po jaką cholere zabierała się za prywatne śledztwo? Nie uzasadniały tego żadne podejrzania. Nie miał jednak podstaw, by ją zatrzymać i formalnie przesłuchać. Robienie zdjęć na cmentarzu? Ucieczka przed policjantem, który się nie legitymował? To wszystko mogłoby jedynie zaszkodzić dalszemu śledztwu oraz formułowaniu ewentualnego aktu oskarżenia przeciw komukolwiek. Adwokaci uwielbiali wyciągać niedociągnięcia ekip dochodzeniowych. Jedna rysa na procedurach mogła przekreślić wielomiesięczne wysiłki prokuratury do przeprowadzenia frontalnego ataku na sprawcę, którego obciążały jedynie poszlaki. A w podobnych sprawach rzadko kiedy sytuacja była czysta i jednoznaczna. Dlatego musiał działać możliwie delikatnie, co przyprawiało go o piekielny ból głowy. Delikatność nie pasowała do jego natury.

Mimo wszystko na prośbę Darii obiecał, że nie wspomni o jej pojawieniu się ojcu. Czuł, że na jego zachowanie ma wpływ własna, rodzinna historia, lecz nie zamierzał tego analizować. Nie chciał patrzeć na Darię przez pryzmat własnej córki. A jednak nie potrafił się przed tym powstrzymać.

Jeszcze przed wyjściem z cmentarza zadzwonił do Brzeskiego z prośbą o ustalenie kilku faktów. Aspirant oddzwonił po niespełna godzinie, gdy Deryło, starając się zebrać myśli, włókł się pocziwym Citroënem jedną z bocznych ulic. Odebrał niemal natychmiast i po przełączeniu na tryb głośnomówiący położył komórkę na siedzeniu pasażera.

– Jest tam pan, komisarzu? – Brzeski odchrząknął. – Halo?

– Słucham cię.

– Okropnie trzeszczy, czy pan...

– Jadę samochodem. Mów, ja słyszę cię całkiem dobrze.

W Citroënie rzeczywiście trzeszczało, a silnik co chwilę wzbijał się na wysokie obroty, boleśnie przy tym warcząc. Brzeski odezwał się dopiero po chwili, niemal krzycząc.

– Werski jest czysty jak łza – relacjonował. – Sprawdziłem go i ma puściuteńką kartotekę. Nie dostał nawet mandatu, nie figuruje w bazie dłużników ani w żadnych aktach. Mogłoby dostać medal za praworzadność i tytuł człowieka, który...

Deryło wszedł mu w słowo.

– Przyczyną jego kłótni z żoną nie musiała być sprawa sądowa. Albo sam finał nie musiał trafić przed sąd, skoro nie wzięli rozwodu. Mogło chodzić o coś bardzo prywatnego, a nie wszystkie kochanki składają od razu fałszywe donosy... Pewnie wiesz coś o tym.

Brzeski odchrząknął. Jego dawne podboje miłosne, w tym prowadzone również w komendzie, były ogólnie znane, jednak od pewnego czasu aspirant się ustatkował i całkowicie oddał urokom

szczęśliwego małżeństwa.

– Nie mam pojęcia, gdzie można szukać czegoś, czego nie ma.

– Moglibyśmy spróbować go solidnie przemaglować, ale boję się, że nabierze wody w usta. – Deryło zabębnił palcami o kierownicę. – Cholera, nawet jeśli był z córką na wojennej ścieżce, dzisiaj ją pochował.

– Czyżby miał pan skrupuły? W to nie uwierzę.

– Mam je tak długo, dopóki istnieją alternatywy. A tych na razie nie widzę...

– A jednak. – Brzeski zrobił wymowną pauzę. – Szukając informacji o ojcu, natrafiłem na pewną ciekawostkę o jego córce. To nieco komplikuje sytuację, więc lepiej, gdyby pan posłuchał o tym na miejscu...

Komisarz wdepnął hamulec i gwałtownie zawrócił w stronę głównej ulicy.

– Niech cię szlag. Zamierzałeś z tym dłużej zwlekać?

Był jak pies gończy stęskniony za uchwyceniem najdelikatniejszego tropu.

Na korytarzu komendy Deryło niemal zderzył się z Haler. Zamyślona podkomisarz z półprzymkniętymi oczami snuła się, mrużąc coś do siebie. Przypominała filmową ofiarę opętania lub szaleńca z najgłębszych czeluści szpitala psychiatrycznego. Mimo to gdy Deryło w ostatniej chwili ją wyminął, gwałtownie otworzyła oczy i spojrzała na niego całkowicie przytomnie.

– Aspirant Brzeski czeka na nas...

– Czyli tobie też nic nie powiedział?

– Stwierdził, że nie chce później powtarzać, a ty i tak będziesz chciał zasięgnąć informacji u źródła.

– Świetnie. – Komisarz szybkim krokiem ruszył w stronę gabinetu Brzeskiego. – Żeby to ja musiał się fatygować do podwładnych... Swoją drogą, ustaliłaś coś?

– Mam pewne przemyślenia.

Haler, aby nadażyć, musiała za nim podbiegać.

– Co to za przemyślenia? Czy mamy dziś „dzień tajemnic”?!

– Na razie to jeszcze kompletnie niepokładane luźne myśli, ale... Swoją drogą, byłeś na pogrzebie Marty Werskiej i coś, co się na nim wydarzyło, nakłoniło cię do zadania Brzeskiemu pracy domowej. Mam rację?

Deryło zwolnił kroku i zerknął na Tamarę.

– A więc już się ze wszystkiego wygadał?

– Był... jakby to powiedzieć, dość zaabsorbowany poszukiwaniem informacji o Werskim. A przede wszystkim rozczarowany mizernym rezultatem tych poszukiwań. Ale powiesz mi, co cię skłoniło do jakichkolwiek podejrzeń?

– Brzeski miał rację...

Haler zmrużyła oczy i zabawnie przekrzywiła głowę.

– Że?

– Lepiej nie powtarzać tych samych historii.

Mimo to Deryło pokrótce opowiedział o swojej rozmowie z siostrą ofiary. Zatrzymali się po środku korytarza, nie zważając na maszerujących w tę i w tę funkcjonariuszy z naręczami akt oraz rozmaitych dokumentów. Haler słuchała uważnie, od czasu do czasu kiwając głową. Z jej twarzy była bezgraniczna, nietypowa nawet dla niej koncentracja. Gdy Deryło skończył, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła opakowanie miętowych draży. Wydusiła kilka do ust, po czym zaczęła intensywnie ssać.

– Nic nie powiesz? – Komisarz ponownie skierował się w stronę gabinetu Brzeskiego.

– Muszę to wszystko uporządkować.

W momencie, kiedy zbliżali się do drzwi, te otworzyły się i ze środka wyjrzał aspirant. Był to elegancki, trzydziestokilkuletni mężczyzna o jasnych włosach i sympatycznym wyrazie twarzy.

– Już myślałem, że się was nie doczekam...

Przepuścił Deryłę i Haler w progu, po czym wskazał na zawalone szpargałami oraz rozmaitymi wydrukami biurko.

– Mów – nakazał komisarz. – Nie przedłużaj tego cyrku choćby o sekundę, bo cię wywalę na zbitą mordę.

Aspirant usiadł, po czym splótł dłonie na piersi. Najwidoczniej groźba Deryły nie robiła na nim żadnego wrażenia. Od lat byli przyjaciółmi.

– Marta Werska pracowała jako luksusowa dziwka – mruknął, po czym łypnął na Haler i natychmiast się poprawił. – To znaczy, dama do towarzystwa lub pracownica seksualna. Zwał jak zwał.

Deryło zerknął na Tamarę. Właściwie nie był nawet specjalnie zdumiony, podobnie jak podkomisarz.

– To mogłoby tłumaczyć ślady bicia... – mruknął. – I właśnie to jest to twoje wielkie odkrycie?



Brzeski uśmiechnął się chłopięco. Skinął głową.

– Miała wielu klientów, ale ostatnio pod jakimś lokalem, w którym działała, doszło do awantury.

Właściwie bójki. Obstawiam, że w mordę dostał ten, kto ją uderzył. Sutener zapewne się wkurwił.

– Zaczynasz mówić coraz ciekawiej...

– A najważniejsze dopiero przed nami.

– Zaraz ty mnie wkurwisz – wycedził Deryło.

Brzeski pospiesznie dodał.

– Nie zgadnie pan, kto został pobity.

Monika Liber odstawiła do zlewu dwie filiżanki po kawie zbożowej i zalała je wodą. Wytarła ręce kraciatą ściereczką, po czym podeszła do kuchenki. Skręciła palnik pod wielkim garnkiem. Przesunęła pokrywkę, a ze środka dobył się przyjemny zapach duszonego mięsa. Zadowolona uśmiechnęła się i z uznaniem pokiwała głową. Wołowina w sosie marchewkowo-cebulowym była jednym z ulubionych dań jej męża. Babcina receptura wymagała wielu godzin gotowania oraz sporo zachodu, lecz efekt był imponujący. A przede wszystkim liczył się wyraz zadowolenia na twarzy Dariusza.

Jednak kobieta kierowała się w życiu systemem gratyfikacji. Przygotowywane od samego rana danie miało stanowić łapówkę w zamian za przynajmniej kilkudziesięciminutową rehabilitację. Odwróciła się w stronę salonu. Drzwi do kuchni były otwarte i widziała, że jej mąż nadal siedzi w wysłużonym, skórzanym fotelu.

– Zamierzasz dziś cały dzień czytać? – zapytała tonem przygany.

Mężczyzna najwyraźniej wiedział, co się święci. Przez chwilę nie odpowiedział, rozważając zgrywanie głuchego, jednak wkrótce najwyraźniej uznał to za słaby pomysł.

– Ćwiczę oczy – odparł zadowolony z pośpiesznie wymyślonej odpowiedzi.

– Lepiej wyjdź się przejść.

– Jest za gorąco. W telewizji przestrzegali przed upałami.

Monika Liber wyszła z kuchni i stanęła obok okrągłego, dębowego stołu. Splotła ręce na piersi. Spojrzała ponuro na męża, po czym bezradnie westchnęła.

– Na podwórzu jest cień. Mógłbyś wyjść chociaż do ogrodu.

– Po południu położę się na leżaku, ale teraz...

– Dariusz...

Poważna mina i gniewnie splecione ręce były wymowniejsze niż wiele nawet najostrzejszych słów. Sześćdziesięciolatka zagryzła wargę. Była przekonana, że zatrzymanie się poprawy stanu jej męża wynika z jego własnych zaniedbań. Gdyby nie odprawił rehabilitanta i sam ćwiczył, mógłby wrócić do pełnej sprawności. Przynajmniej chciała w to wierzyć. Cierpiąc na przewlekłe zapalenie stawów, zdawała sobie sprawę, że gdyby wystąpiło choćby minimalne pogorszenie, nie byłaby w stanie się nim zajmować. Ta myśl dręczyła ją każdego dnia. Już po udarze, gdy spędził kilka tygodni w szpitalu, wyrzucała sobie, że opieka nad chorym może okazać się ponad jej siły. A przecież ślubowała mu oddanie aż do śmierci. Dlatego starała się trzymać dietę, ukradkiem ćwiczyła i wypełniała mnóstwo zaleceń lekarzy, byle tylko pozostać jak najdłużej sprawną. Nie dla siebie, ale dla niego. A on? Nie dawał od siebie niemal niczego.

Mężczyzna odłożył książkę i z trudem podniósł się z fotela. Przez chwilę stał, zbierając siły. Wreszcie, nie patrząc na małżonkę, skierował się ku drzwiom tarasowym.

– Obejdę dom.

– Obejdz go chociaż parę razy. I zrób przy tym kilka ćwiczeń, które pokazywał ci lekarz.

Dariusz Liber nie odpowiedział. Z grobową miną wyszedł na taras i nieporadnie wsunął stabilizujące, rehabilitacyjne buty. Wsparł się na gumowej lasce. Rzeczywiście ogród tonął w cieniu, wiał delikatny wiatr, a słońce nie paliło tak mocno, by mogło stanowić argument za natychmiastową ewakuacją do domu. Wszystko przeciwko niemu...

Kobieta z ukontentowaniem popatrzyła, jak mężczyzna robi kilka wymachów ramionami i kuśtykając, rusza na obchód ogrodu. Wróciła do kuchni. Spodziewała się, że Dariusz po zniknięciu za załomem domu zatrzyma się, po czym będzie gapił się w niebo, ale nawet zwykłe stanie było lepsze od siedzenia przez cały dzień w fotelu. Polepszało krążenie i rozciągało mięśnie. Zadowolona wyjęła z szafki worek kartofli, po czym zaczęła je obierać. Nim skończyła z drugim, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Niech go cholera... – syknęła. – Kawalarz jeden.

Wrzuciła kartofel do wiaderka, po czym otarła ręce w szmatkę. Wzdychając przeszła do sieni. Przekręciła zamek i gniewnie parsknęła. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do pomieszczenia mocne światło.

– Już wróciłeś? Nie chciało ci się nawet wrócić przez taras?

Jednak w drzwiach nie pojawił się jej mąż. Był to ktoś inny. Ktoś, kto nie zamierzał słuchać jej reprimend.

– Wróciłem – wycedził szorstko. – Po ciebie.

– Mariusz Dębski.

Brzeski wypowiedział te dwa słowa wręcz z namaszczeniem. Odchylił się w fotelu i odwrócił do komisarza. Uśmiech zadowolenia natychmiast zniknął z jego twarzy. Ani Deryło, ani Haler najwyraźniej to nazwisko nic nie mówiło.

– Kto to, u licha, jest Mariusz Dębski? – zapytał cierpko komisarz. – Mówisz o nim z ekstazą, jakby to był twój kochanek.

– Sierżant Mariusz Dębski. – Brzeski wypowiedział to, siląc się teraz na obojętny ton.

– Dalej nie dzwoni mi w żadnym kościele.

– A powinno, tylko dwa piętra niżej.

Deryło zmarszczył brwi. Zerknął na Haler i bezradnie rozłożył dłonie.

– Nakłoń go do precyzyjnego wypowiadania się albo, jak Boga kocham, zaraz podzielę go po gębie. Tak mocno, że zleci z tego fotela szybciej, niż na nim usiadł.

Haler zerknęła w ekran monitora stojącego na biurku Brzeskiego. Błyskawicznie analizowała wszelkie twarze, które mogła powiązać z wymienionym nazwiskiem. Nagle, nim aspirant zdążył wyjaśnić, pstryknęła palcami.

– To sierżant, który kiedyś był wzmiankowany w raporcie z naganami – oznajmiła, przymykając oczy. – Gdy tylko pojawiłam się w Lublinie, wybuchła jakaś afera w związku z przekrętami w wydziale narkotykowym. Rozmawiałam z kimś o nim. To znaczy nie o nim, ale o całej tej sprawie i gdzieś przewinęło mi się jego nazwisko. Podejrzewano go bodajże o kontakty ze środowiskiem sutenerskim.

– Brawo! – Brzeski szeroko się uśmiechnął. – Widzi pan, komisarzu? Po co te nerwy?

– Nawet nie zaczynaj.

– Chciałem tylko wprowadzić pewną nutę tajemnicy. Tym bardziej że...

Deryło uciszył go machnięciem ręki. Przyciągnął krzesło i wskazał Tamarze, by usiadła. Sam ciężko klapnął na fotelu z oberwanym oparciem.

– Skoro go pobito – odezwał się zamyślony – to znaczy, że z dużym prawdopodobieństwem to on mógł wcześniej pobić Werską. Ta powiadomiła alfonsa i ten, jak mu tam...

– Dębski.

– Właśnie, Dębski. W ramach rewanżu przetrącono mu kulasy.

– Pomyślałem o tym samym. – Brzeski z poważną miną skinął głową. Uśmiech już całkowicie zniknął z jego twarzy. – A później w ramach zemsty mógł...

Niewypowiedziana sugestia zawisła w powietrzu. Deryło zerknął na Haler, a ta głęboko zamyślona rozgryzła drażę. Wciąż z przymkniętymi oczami coś analizowała.

– Wezwijcie go do mnie – zdecydował komisarz.

Brzeski ponuro zwiesił głowę.

– Z tym będzie pewien problem... – wymamrotał.

– Nie, proszę, nie...

Monika Liber starała się powstrzymać oprawcę, ale nie miała dość sił. Ten bez problemu wepchnął jej do ust kraciasty ręcznik kuchenny i zawiązał go z tyłu głowy kobiety. Materiał rozciął kąciaki jej ust. Kobieta poczuła słodki posmak krwi. Usiłowała walczyć, lecz nie miała szans. Napastnik działał szybko i sprawnie, całkowicie nie zważając na jej opór. Bez problemu powalił ją na podłogę, skrępował czymś nogi, po czym przeciągnął ku salonowi.

– Pree...

Z jej ust wydobył się jedynie charkot. Szmata hamowała dźwięki, odbierając przy tym możliwość oddychania. Liber z całych sił starała się opanować na tyle, by nabrać powietrza przez nos. Dusila się. Krew pulsowała jej w skroniach, a przed oczami lawirowały kolorowe kropki. Bolały ją stłuczone o podłogę kolana oraz lewy łokieć. Oprawca nie zamierzał jej jednak pozwolić odpłynąć. Niespodziewanie wziął ją na ręce i bez problemu przeniósł na stół. Chwycił odłożoną niedawno książkę.

– *Zimny chirurg?* – zapytał upiornym, niskim tonem. – Interesują was zbrodnie oparte na faktach? No proszę...

Zaśmiał się, po czym rzucił książkę na podłogę. Liber usiłowała się czołgać, ale wiedziała, że jeśli spadnie ze stołu, zapewne się połamie. Uniosła ręce, gotowa walczyć do upadłego. Pojawił się w niej bunt, a buzująca adrenalina dodawała odwagi do obrony za wszelką cenę. Nadaremno. Napastnik chwycił ją jak małe dziecko i jedną dłonią przytrzymał jej prawe przedramię. Nie zważał na nieporadne ciosy zadawane lewą ręką. Przywiązał sznur do nogi stołu, po czym poprowadził go wokół nadgarstka kobiety. Następnie zajął się jej drugą ręką, którą obezwładnił z jeszcze większą łatwością. Wreszcie wyprostował się i otrzepał ręce, jakby ubrudził je niewidocznym pyłem. Albo jakby się jej brzydził.

– Gdz...st D...jus...

– Gdzie jest Dariusz? – Oprawca jakimś cudem zrozumiał stłumiony bełkot. Być może potwór czytał w jej myślach. – Powinnaś chyba martwić się o siebie.

– Ee... saa... o.

– Nie rozumiem, kochanie. Ale o nic się nie martw. Twój mąż ma się dobrze.

Oprawca schylił się na moment, znikając z pola widzenia kobiety. Strach już nie pobudzał jej mięśni do działania, lecz paraliżował całe ciało. Powoli docierała do niej pełna groza sytuacji. Głęboka świadomość oraz przerażenie zastępowały instynkt kierujący przez ostatnie sekundy jej ruchami. Szarpnęła rękoma, lecz więzy były zaplecione zbyt mocno, by zdołała się poruszyć. Poza tym sznury były na tyle grube, że nie miała możliwości ich zerwać. Mimo to szarpnęła jeszcze raz.

I znów. Walcząc o każdy milimetr swobody ruchów.

Nadaremno.

Oprawca nieoczekiwanie pojawił się tuż przy jej głowie. Pochylił się tak, że przez moment spoglądali sobie prosto w oczy. Monika Liber dostrzegła najbardziej oszalałe spojrzenie, jakie widziała w życiu. Dziki wrzask zamarł w jej gardle, a z oczu popłynęły łzy.

Napastnik ponownie się zaśmiał. Tym razem krótko i drwiąco. Chwilę później obrócił coś w dłoni. Powoli podnosił jakiś przedmiot tak, że kawałek po kawałku pojawiał się w jej polu widzenia.

Był to duży, budowlany młotek.

Boże...

Serce waliło w jej piersi jak oszalałe, a w głowie coraz mocniej się kręciło. Jakby była na statku podczas okropnego sztormu.

– Czas na ciebie...

Napastnik uniósł drugą dłoń i pokazał długi, gruby gwóźdź. Zastygł w bezruchu, chłonąc rozpacz oraz cichy jęk dobywający się z zakneblowanych ust kobiety. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność. Nagle drgnął, po czym dopadł do jej ręki. Momentalnie, jakby wyćwiczonym ruchem, przyłożył gwóźdź,

po czym uderzył go młotkiem. Metal wszedł w skórę i z chrobotem przebił się przez kość. Piekielny ból rozlał się po całej ręce Liber. Zdawało się jej, że jej ciało rozpada się na kawałki. Poczowała falę gorąca, a potem lodowaty dreszcz przebiegł po jej karku.

Oprawca ponownie uderzył, przybijając ją do stołu. Chciała się szarpnąć, lecz gwóźdź wbił się już w dębowy blat. Ból wykrzywił jej palce. Uszkodzenia nerwów oraz ścięgien sprawiły, że przyjęły nienaturalną, przerażającą pozycję, jakby je połamano. Czoło kobiety zrosił zimny pot, a fala gorąca ponownie wpłynęła we wszelkie zakamarki jej ciała. Drgnęła spazmatycznie. Zacisnęła zęby tak mocno, że kilka z nich się ukruszyło i ich szczątki zmieszały się z gęstą śliną oblepiającą jej gardło. Usiłowała odchrząknąć, jednak nie mogła.

Szaleniec uderzył raz jeszcze.

I znów.

A kiedy dzieło było skończone, zabrał się za drugą rękę.

Kobieta już się nie broniła. Półprzytomna z bólu przyjmowała ciosy z całkowitą rezygnacją. Jej papierowo blada twarz wykrzywiła się w upiornym grymasie, a łzy mieszały się z potem oraz krwią. Obraz świata powoli się zamazywał, jakby coraz bardziej się od niego oddalała. Jakby łączyła ją z nim już jedynie jakaś mglista, niezrozumiała więź.

– To nie koniec...

Napastnik otarł czoło i odłożył młotek. Jego kroki rozległy się gdzieś w kącie salonu, choć dla Moniki Liber był to całkowicie inny świat, odległy o dziesiątki, a może setki kilometrów. Nie zmienił tego nawet widok drutu, na którym dziergała niedawno sweter dla męża. Drut ten przebił jej serce.

Wiadomość o tym, że sierżant Mariusz Dębski przed trzema dniami wziął wolne i od tamtej pory nikt go nie widział, nie wywarła na Deryle specjalnego wrażenia. Właściwie spodziewał się usłyszeć coś podobnego. Jeżeli wszystko po kolei brało w łeb, to nie wypadało spodziewać się szczęśliwych przebłysków. Owszem, nie był optymistą, lecz realistą. Gdyby kazano mu obstawiać po porannej komplikacji i sugestii wyrażonej między wierszami przez siostrę ofiary, obstawiałby ciąg dalszego pecha. Kolejne komplikacje oraz problemy. A jakiś sierżant, który ma jasne powiązanie z zamordowaną i do tego niespodziewanie znika? Nic niezwykłego. Tyle że żadnego z tych tropów nie mógł zlekceważyć.

– No więc, Mariusz Dębski czy Karol Werski? – zapytał, po czym rzucił ku sufitowi żurawia origami.

Siedział w swoim gabinecie, w mieszkaniu, z którym wiązało się zbyt wiele wspomnień. Od roku nie sypiał w łóżku, które dzielił ze zmarłą żoną. Kładł się albo po prostu na podłodze przy biurku, albo zasypiał w fotelu. Jego ciało przyzwyczało się do tego na tyle, że rankami nie czuł już nawet zdrętwienia. Poza tym sypiał chorobliwie mało. Tak mało, że czasem zdawało mu się, że przez to dręczą go rozmaite omamy.

A jeżeli na cmentarzu nie spotkał żadnej kobiety? Jeżeli gonił za wytworem własnego umysłu, który podświadomie kierował go w ślepy zaułek? A może podświadomość podsuwała mu właściwy trop i właściwego podejrzanego? Dziwne, że większość pytań nie kwestionowała wytworów fantazji, a starała się jedynie dokonać ich interpretacji.

– Mariusz Dębski czy Karol Werski? – zapytał ponownie.

Chwytał opadającego żurawia i zmiął go w dłoni. Cisnął kulką papieru do kosza. Odchylił głowę do tyłu. Przymknął oczy, po czym zaczął rozmasowywać skronie. Starał się zebrać wszystkie zdobyte w ciągu tego dnia wiadomości w logiczną całość. Równocześnie prowadził w głowie tabelę, w której umieszczał ewentualne motywacje, jakie mogły stać za zamordowaniem Marty Werskiej. Przez cały czas nie potrafił sobie wyobrazić, by odpowiedzialny za jej śmierć mógł być jej ojciec. Może właśnie dlatego, że sam miał córkę i czegoś takiego po prostu nie potrafił objąć rozumem. Nie, absolutnie nie. Zbyt wiele spraw rozpatrywał ostatnio przez pryzmat własnego postrzegania. Chciał się tego wyzbyć, a jednak nie potrafił.

– Cholera...

Nagle otworzył oczy. Kilka metrów przed nim w półcieniu stała jakaś postać i uważnie się mu przyglądała. Komisarza przebiegł zimny dreszcz. Chciał się zerwać ku leżącej na biurku kaburze, lecz ta zniknęła. Musiał zostawić ją w przedpokoju lub...

Postać wyszła z półmroku i ruszyła w jego stronę. Wyciągnęła kościste ręce. Cztery Iks wrócił. Zafalowały poły długiego, czarnego płaszcza, a maska zasłaniająca twarz wygięła się w uśmiechu. To skupiło uwagę Deryły. Jakim cudem maska mogłaby się wygiąć...?

Jak to, u licha, zostało zrobione?

To pytanie łomotało mu w głowie, gdy otworzył oczy. Zza okna wpadały promienie porannego słońca. Rozpoczął się nowy dzień.

## Kolejny dzień

160.

170.

Przy 180 kilometrach na godzinę obciążony kuframi motocykl robił się niebezpiecznie nadsterowny. Haler popuściła gaz i delektowała się prędkością. Ekspresówka była niemal pusta, mijała jedynie pojedyncze auta. Gdyby wykonała teraz delikatny zwrot kierownicą, wszystko by się skończyło. W ułamku sekundy znikłyby myśli o postępującej chorobie, poplątane domysły oraz uczucia. Znikłaby też analizowana przez nią na wszelkie strony zagadka nowej sprawy. Znikłby również komisarz Deryło. To właśnie te dwa ostatnie elementy równoważyły chęć zakończenia wszystkiego, przytrzymując ją w cielesnej skorupie.

Uciekła z Krakowa do Lublina, a teraz nie była w stanie wywinąć się nigdzie dalej. Lublin okazał się Syberią i biegunem północnym jej możliwości. Jasne, mogłaby się zaszyć w jakiejś dzikiej głuszy, zdać na umiejętności przetrwania oraz łut szczęścia. Tylko czy to miałoby sens? Równie dobrze mogłaby zamknąć się w mieszkaniu i jak małe dziecko zatkać rękoma uszy. Przeleżałaby tak wiele godzin, a potem nieokiełznane myśli znów doszłyby do głosu. Skazanie się na długotrwałe umieranie było głupie. Zrobiła już to za nią choroba. Zrobił to los.

Zwolniła do przepisowej prędkości. Zjechała na prawy pas, przepuszczając mknące po lewym auta. Niektórzy bezmyślnie jechali tak szybko, jak ona przed chwilą. Dlaczego by nie? Strach przed śmiercią istnieje tylko wtedy, gdy się o niej myśli.

Jednak przecież to nie śmierci się bała. Chodziło o umieranie i towarzyszącą mu bezsilność. O obarczenie innych swoim losem. W tym momencie z podświadomości wydobyła myśl, która dręczyła ją od dawna.

Czy Deryło opiekowałby się nią? Czy doglądałby, jak bezwładnie leży w łóżku, wpatrując się rozpaczliwie w sufit i z wszystkich sił usiłując coś powiedzieć? Czy starałby się ją zrozumieć albo pocieszyć?

Nie chciała odpowiadać na te pytania, lecz umysł robił to automatycznie. Nie mogła go zagłuszyć. Na wszystkie z nich odpowiedź brzmiała twierdząco i to wprawiało ją w konsternację. Z jednej strony ta projekcja przyszłości sprawiała jej pewną perwersyjną przyjemność, dawała poczucie bezpieczeństwa i ukojenie, a z drugiej... Obwiniała się, że zachowuje się egoistycznie i głupio. Że obarczyła swoimi problemami oraz życiem kolejną osobę. Jakie miała do tego prawo? Nie znajdowała żadnego uzasadnienia ani usprawiedliwienia. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, gdy będzie jeszcze w stanie, powinna skończyć z sobą. A jeśli poplątanie myśli zjawi się niespodziewanie i pewnego ranka obudzi się w łóżku bezwładna, całkowicie zdana na pomoc innych?

A gdyby tak teraz...

Ponownie dodała gazu, ale w tej samej chwili wydało się jej, że czuje wibrację telefonu. To natychmiast przywołało ją do rzeczywistości. Do tego, jak na zawołanie, tuż przed nią pojawił się zjazd na stację benzynową. Właściwie nie wiedziała, jak daleko od Lublina się znajduje. Czy jechała pięć minut, czy godzinę? Wydawało się jej, że ta stacja benzynowa jest oddalona od miasta o jakieś siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt kilometrów, jednak mogło się jej coś tylko pomieszać. Może myliła ją z jakąś inną? Nie powinna wątpić we własny osąd, póki ten był trzeźwy. A jednak...

Zatrzymała motocykl i ściągnęła kask. Nie zdejmując rękawiczek, wyciągnęła z kieszeni telefon. Miała nieodebrane połączenie od komisarza. Pod spodem wyświetliła się krótka wiadomość.

*Jest kolejna ofiara.*



Deryło nie zgodził się, żeby jechać razem z Haler. Nigdy się do tego nie przyznał, ale bał się jazdy motocyklem. Niektórzy boją się pajaków, inni wysokości, a jego przerażeniem napawało przemieszczanie się z dużą prędkością pojazdem, w którym nic nie chroniło go przed zderzeniem choćby z podłożem. Ilekroć Tamara przekonała go do przejażdżki, miał przed oczami obraz siebie jako mokrej plamy, mieszaniny bebeczków i flaków roztartych na kilkuset metrach asfaltu.

Dlatego gdy niespełna pół godziny po tym, jak wysłał Tamarze esemes, spotkali się na parkingu komendy, kategorycznie odrzucił propozycję jazdy jako pasażer. Nie był w humorze do prowadzenia negocjacji, więc Haler posłusznie zgodziła się jechać razem z nim, tym bardziej że służbowy opel rzeczywiście był wygodny. A jeżeli do zbrodni doszłoby przy podobnej drodze jak ostatnio... Motocykle turystyczne nawet z najlepszym zawieszeniem nie nadawały się w teren.

– Skąd wiemy, że to kolejna ofiara? – zapytała, gdy Deryło włączył się do ruchu na głównej ulicy.

– Zamordowano sześćdziesięcioletnią kobietę. Zabójstwo zgłosił jej mąż, który został obezwładniony i skrępowany tak, że dopiero po kilkunastu godzinach udało mu się oswobodzić.

– Wiemy, że sam się nie skrępował?

– Jesteś kobietą małej wiary, Tamaro.

– A jednak to pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

Komisarz dodał gazu i włączył stroboskop. Poranny korek miejscami zaczynał się zagęszczać. Nawigacja pokazywała, że do wyznaczonego punktu pozostało dwadzieścia sześć minut drogi. Na sygnale powinni pokonać tę trasę dwa razy szybciej.

– Do zabójstwa doszło na Sławinie – wyjaśnił, gdy minęli ruchliwe skrzyżowanie. – W domu jednorodzinnym położonym na uboczu. To nie jest menelska okolica.

– Okej, to jest jakiś argument. Tylko tyle?

– Nie. Mąż ofiary jest inwalidą. Nie wiem jakiego typu, ale chłopaki z patrolu powiedzieli, że naprawdę jest w nędznym stanie.

Haler się zamyśliła. Zerknęła na ulicę i nagle dostrzegła mknące wprost na nich auto. Kierowca najwyraźniej zamyślił się lub rozmawiał przez telefon. Nie dostrzegł pędzącego na sygnale radiowozu.

– Uwważaj!

Deryło kątem oka dostrzegł niebezpieczeństwo. Trzeźwo, zamiast nacisnąć hamulec, jeszcze mocniej wdusił gaz. Silnik ryknął i auto wyrwało do przodu. Z tyłu rozległo się trąbienie oraz pisk opon. Samochody minęły się o centymetry. Haler odsapnęła i jakby nigdy nic odwróciła się do komisarza. Ten zacisnął zęby, lecz również starał się nie dać po sobie poznać zdenerwowania. Był skupiony na czymś innym.

– Mamy więcej szczegółów? – Tamara położyła dłonie na udach. – Na przykład coś o ofierze poza jej wiekiem?

– Wybacz, ale uznałem, że wszystkiego dowiemy się na miejscu, i zająłem się wydzwanianiem do ciebie...

– Nadal nie mam pojęcia, dlaczego przypuszczasz, że to kolejna ofiara naszego sprawcy.

– Mam przeczucie. Po prostu.

Deryło zamilkł, a Haler nie ciągnęła tematu. Rzeczywiście, komisarz posiadał szósty zmysł, który rzadko wprowadzał go w błąd. Zdołała się o tym przekonać już wystarczająco wiele razy. Poza tym liczyła się nawet zwykła statystyka. W Lublinie dochodziło do kilkunastu zabójstw rocznie, z czego większość przypadła na środowiska menelskie. Jakakolwiek aberracja od tego schematu kazała przypuszczać, że morderstwa są powiązane. Ot, co.

Deryło zerknął na ekran nawigacji. Do celu pozostały ledwie trzy minuty. Minęli dawne rogatki Lublina i kierowali się na zachód. Po obu stronach ciągnęły się osiedla domków jednorodzinnych oraz szeregowców. Komisarz nieco zwolnił.

– Po Dębskim wciąż nie ma śladu – mruknął, skręcając w boczną, dziurawą ulicę. – Zapadł się pod ziemię.

– Ludzie na urlopach czasem tak robią...

– Wiem, ale na wszelki wypadek zleciłem, żeby paru chłopaków miało na oku Werskiego.

– Bez podkładki?

– Bez. Nie potrzebuję ani zezwoleń prokuratora, ani całego tego cyrku. W razie czego wezmę wszystko na siebie.

– Skoro jesteś tak...

Haler nie dokończyła. W tym momencie zatrzymali się przed murowanym ogrodzeniem, przy którym stały dwa radiowozy oraz pojazd techników.

– Znowu są pierwsi – skwitował komisarz. – Niech ich cholera.

– Co za różnica?

– To przynosi pecha, nie zwróciłaś uwagi?

Pchnął drzwi, po czym skierował się wprost do otwartej furtki. Haler podążyła za nim. Pierwsze słowa, jakie usłyszała po wyjściu z samochodu, wypowiedział jeden z kryminalistów:

– Skurwysyn zrobił tu prawdziwy sajgon. W domu jest gorzej niż w piekle.

– Musicie chwilę poczekać. – Techniczka zagroziła im przejście. – Robimy właśnie dokumentację fotograficzną i wolę, żebyście w trakcie sesji zdjęciowej nie nabałaganili.

– Dobrze cię widzieć. – Deryło puścił do niej oko. Mimo to jego twarz pozostała śmiertelnie poważna. – Naprawdę, stęskniłem się przez te dwa dni jak cholera.

– Z wzajemnością. I ja za tobą.

Haler jedynie skinęła jej głową. Zatrzymała się kilka metrów od wejścia do domu i uważnie się rozejrzała. Budynek liczył paręnaście lat, reprezentując przykład niezbyt wyróżniającej się architektury początku wieku. Mały taras, wejście po kilku schodkach, dwa balkony – jeden z giętą metalową barierką nad gankiem oraz drugi od boku, a do tego łamany dach z ciemnej blachodachówki.

Ogród był niewielki. Zbyt duża trawa wyłożyła się i widniały w niej wydeptane ścieżki, którymi najczęściej poruszali się domownicy. Poza tym... Uwaga Tamary skupiła się właśnie na jednej ze dróżek biegnących najwyraźniej dokoła domu. Wskazała w jej stronę.

– Sprawdźcie ewentualne ślady na trawniku.

Techniczka z sarkastyczną miną uniosła kciuk.

– Zawsze to robimy, ale dzięki za przypomnienie.

– To tylko prośba.

Deryło spojrział ponad ramieniem kryminalistyk i machnął ręką.

– Zdaje się, że już porozstawialiście swoje tabliczki w przedpokoju? Sprawca wszedł głównym wejściem?

– Wiele na to wskazuje. – Kobieta przesunęła się, przepuszczając dwóch mężczyzn w kombinezonach ochronnych, z których jeden niósł specjalistyczny, wysoki reflektor. – Drzwi były otwarte, a na podłodze leżał but ofiary, jakby to właśnie tam została obezwładniona. Jednak na razie to oczywiście tylko domysły. Nie wyciągaj żadnych wniosków...

– A mąż?

– Pogotowie zabrało go tuż przed waszym przyjazdem. Ma rozwaloną głowę i kilka siniaków, ale ponoć to nic poważnego. Całą noc męczył się z węzłami na linie, którą go skrępowano...

Deryło przestąpił z nogi na nogę. Haler również zaczynała się niecierpliwić i spojrzała w stronę okna. Odbijało się w nim światło słoneczne, a wewnątrz zasłaniała gruba firanka.

– Nie byłaś w środku, prawda? – zapytała nagle, przenosząc wzrok na technik.

Kobieta na moment się zmieszała, wreszcie wzruszyła ramionami.

– A ty co, masz szósty zmysł?

Tamara delikatnie się uśmiechnęła.

– Nierozszerzone źrenice, całkowicie opanowane dłonie oraz skoordynowane ruchy, brak śladów potu, mowa oględna i zdystansowana, formułowane zdania pełne, a jednocze...

Techniczka odwróciła się w stronę domu i krzyknęła, zagłuszając Halera.

– Szybciej tam, wpuście do środka gończe psy albo zaraz poznam wpływ ojca na moje relacje z facetami!

Niemal w tej samej chwili ze środka wynurzył się mężczyzna w kombinezonie. Pomachał do Tamary oraz Deryły i gestem zaprosił ich do środka.

– Znacie procedury – bąknął, po czym rzucił w ich stronę opakowania z workami ochronnymi.

– Spokojna głowa.

Komisarz pośpiesznie zabezpieczył buty i wszedł do domu. Nie czekając na Halera, rozejrział się po niewielkim przedpokoju. Obok damskiego kapcia ustawiona była tabliczka dowodowa. Dwie kolejne stały w rogu pomieszczenia, choć nie miał pojęcia, co oznaczają. Jeden z techników zabezpieczał ślady na kłamec do dalszej części domu.

Deryło już stąd wyczuł intensywny zapach krwi oraz śmierci. Mieszaniny, której nie można było

z niczym pomylić. Kątem oka dostrzegł, że Tamara idzie za nim. Miała lekko przymknięte oczy i swoim zwyczajem mamrotała coś do siebie. Natychmiast skierowała się do salonu. Komisarz przepuścił ją w progu, lecz zaraz zatrzymał się w pół kroku.

– Jezu...

Na blacie ustawionego na środku pokoju stołu leżało ciało kobiety. Była zupełnie naga, a jej dłonie rozłożone na boki. Stopy bezwładnie zwisały poza krawędzią blatu. Złożone w kostkę ubrania, wyraźnie ubabrane krwią, zostały odłożone na jedno z krzeseł. Z piersi kobiety sterczał metalowy drut zakończony czerwoną kulką. Widać, że zostało zadanych kilka pchnięć wymierzonych w okolice serca. Głowa zamordowanej była odchylona, jakby chciała spojrzeć za siebie. Przez poderżnięte gardło wyciągnięto język ofiary. Wyglądał jak długi, wołowy ozór na stoisku mięsnym. Dokoła wszędzie widniały rozbryzgi krwi. Błada, sinofioletowa skóra kontrastowała z purpurową czerwienią.

Halerz powoli zbliżyła się do stołu i nachyliła się nad kobietą. Z bliska obejrzała wyciągnięty język. Obróciła głowę i pochyliła się tak blisko, że niemal dotykała go uchem.

– Nie wyczuwam jakiegokolwiek ciepła – oznajmiła. – Zgon musiał nastąpić wiele godzin temu. Czyli zgodnie z tym, co twierdzi jej mąż...

Deryło drgnął. Powoli chłonał całą scenę, lecz makabryczny widok na moment go sparaliżował. Ludzkie bestialstwo często wpędzało go w chwilową inercję, która gwałtownie zamieniała się w pragnienie działania. Tamara, jakby chcąc wyrwać go z zadumy, wymownie skinęła głową.

– Podejdz tu, proszę. Mamy do czynienia z kimś kompletnie chorym...

Deryło podążył za jej wzrokiem. Po chwili bezgłośnie zaklął.

Samotnik szedł wiele godzin. Od lat nie miał samochodu, a zamiast przejechać się rowerem, wybrał pokutniczy marsz. Był przyzwyczajony do pokonywania wielu kilometrów właśnie w ten sposób. To pomagało zebrać myśli i dawało złudne poczucie drobnego zadośćuczynienia. W jego życiu przecież liczyło się tylko odkupienie win. Jednak mimo to nieustannie grzeszył. Człowiek jest słabą istotą – dudniło mu w głowie przez ostatni kwadrans. Pielęgnował tę myśl i smakował ją, choć wiedział, że to marne usprawiedliwienie.

Przeszedł przez niewielką wieś rozciągniętą wzdłuż drogi krajowej i skręcił w stronę pól. Po pokonaniu dalszych kilkudziesięciu metrów nieco zwolnił. Stary, mechaniczny Tissot pokazywał, że zbliża się południe. Nadchodziła godzina spotkania, a od celu dzieliło go już co najwyżej kilka minut drogi. Liczył, że będzie pierwszy. Właściwie wolał schować się gdzieś na uboczu i obserwować otoczenie, lecz marsz zajął mu nieco dłużej, niż zaplanował. Teraz to już nie było istotne.

Słońce paliło go w twarz, a pot ściekał po plecach. Zapomniał wziąć ze sobą wodę, a na domiar złego nie miał portfela. Chciało mu się pić. Zboczył z drogi w stronę sadu owocowego. Przeżegnał się, zerwał dwa, niedojrzałe jabłka i natychmiast wessał się w jedno z nich. Nie chciał go jeść, a potrzebował jedynie zwilżyć wargi oraz nieco się nawodnić. Popenił właśnie kradzież i był tego całkowicie świadomy. Gdy wyrzucił jabłka, przystanął w pełnym słońcu, po czym z całej siły uderzył się otwartą dłonią w policzek. Poczł pieczenie. Uderzył się jeszcze dwa razy tak mocno, że uznał to za wystarczającą pokutę. Przeżegnał się raz jeszcze.

Powoli ruszył w dalszą drogę. Odległy dzwonił obwieścił, że właśnie nadeszło południe. W tym samym momencie zauważył, że w miejscu, w którym był umówiony, już stoi samochód. Czarny, kilkuletni SUV z przyciemnianymi tylnymi szybami.

– A więc przyjechał wcześniej – szepnął do siebie. – Może to i dobrze...

Przyśpieszył kroku, maszerując w stronę auta zaparkowanego przy starej, drewnianej kapliczce z drewnianą figurą Matki Boskiej. Osoba, z którą miał się spotkać, najwyraźniej wciąż była w samochodzie. Wokół nie dostrzegł żywego ducha. Kapliczka znajdowała się na uboczu, na rozwidleniu polnych dróg prowadzących do lasu. Sady oraz pola zostały w tyle. O tej porze nie powinno tu być nikogo. Już przed wieloma miesiącami, gdy w trakcie spaceru opatrność pchnęła go w te rejony, odnotował ów charakterystyczny punkt jako miejsce ewentualnego spotkania. Gdyby ktokolwiek chciał się z nim spotkać. Okazja nadarzyła się dopiero teraz, lecz to nie było istotne. Na zbawienie można czekać nawet całą wieczność, choć to dwa wyjątkowo względne pojęcia.

Gdy zbliżył się do samochodu, mimowolnie napiął mięśnie i stał się czujny. Nie wiedział, czego powinien się spodziewać. W zasadzie w ogóle wolałby uniknąć tego spotkania, lecz przecież właśnie to było jego dziedzictwo. Jego droga do uzyskania odpustu. Musiał stawić czoło wszelkim obawom oraz domysłom. O tym, co się wydarzy, i tak zdecyduje Bóg. Chyba że ludzka wolna wola...

Nie dokończył tej myśli. Przerwał ją obserwując otwierające się drzwi samochodu i wysiadającego ze środka kierowcę. Mężczyzna miał nasunięte na nos duże, czarne okulary, ale nie pozostawiało wątpliwości to, że pilnie mu się przyglądał. Pewnie zresztą robił to od kilku minut. Droga, którą przebył wędrowiec, była prosta i dobrze widoczna z daleka. To również odnotował, lecz nie wiedział, czy należy to zakwalifikować jako wadę, czy może raczej zaletę tego miejsca. Nie zamierzał teraz tego roztrząsać.

– Czy to pan... – zaczął nieznajomy.

– Tak, to ja.

– Będziemy nadal zwracać się do siebie bezosobowo?

– A co za różnica? Chyba że woli pan nazywać mnie po prostu „Samotnikiem”.

Samotnik uśmiechnął się ponuro. Jego znoszone ubranie musiało zrobić mało korzystne wrażenie, bo mężczyzna zza okularów nadal lustrował go wzrokiem. Wreszcie wyciągnął dłoń i się uśmiechnął.

– Mariusz Dębski – przedstawił się formalnie. – Ja nie mam się czego wstydzić.

Deryło pochylił się nad zwłokami. Już z odległości kilku kroków domyślił się, co Haler miała na myśli, mówiąc o kimś chorym. Wystarczyło, aby dostrzegł, że krwawy maziaj na blacie stołu układa się w litery CI... Resztę sam sobie dopowiedział.

Teraz z bliska przyglądał się nakreślonymu koślawo słowu.

CIERP

Przełknął ślinę i przeniósł wzrok na makabrycznie rozprute gardło kobiety.

– No, to teraz już nie mamy chyba wątpliwości, że stoi za tym ten sam świr, który zamordował Werską.

Haler w zamyśleniu pokręciła głową.

– Właściwie to nie – odezwała się po chwili. – Nigdy nie można wykluczyć pojawienia się naśladowcy lub że sprawca działał w grupie. Poza tym nawet jeżeli to jedna osoba, nie nazwałabym go świrem.

Komisarz parsknął.

– Nie, no skąd! Ktoś, kto gotuje żywcem i przybija do stołu ludzi, jest całkowicie normalny.

– Nie drwij. Po prostu widzę w tym określony schemat, determinację oraz jasną koncepcję. Tu nie ma przypadkowości.

– Dobra, dobra. Mów dalej...

Haler odsunęła się od stołu i rozejrzała po pomieszczeniu. Sięgnęła po draże, ale nie wydusiła ich z opakowania. Zamyślona analizowała kolejne szczegóły wnętrza.

– Sprawca nie pojawił się tu ot tak – odezwała się po chwili. – Wybrał konkretnie ten dom i tych ludzi. Zaażował swoją scenę, której najważniejszym elementem jest właśnie ten krwawy napis. Jednak przyszedł tu doskonale przygotowany, tak jak wcześniej przygotował saunę Werskiej. Miał ze sobą linę, którą skrepiował tę kobietę, miał młotek oraz gwoździe.

– I nadal twierdzisz, że nie jest świrem?

– Twierdzę, że jest piekielnie dobrze zorganizowany. Nie zdziwiłabym się, gdyby pogrywał sobie z nami, nie tylko kreśląc słowa. Poza tym – Tamara zatoczyła palcem krąg nad głową ofiary – to nie jest jego podpis. Nie traktuje tego jako swojego znaku rozpoznawczego. Zwróć uwagę, że litery są nierówne, wręcz nabazgrane. Nie delektował się ich spisywaniem, a raczej w tym jednym momencie pozwalał emocjom wziąć górę nad zimnym opanowaniem.

– Przypomnę, że nazywasz opanowaniem wbicie komuś w pierś druta oraz przybicie ofiary do stołu.

– Oczywiście. To wszystko było zaplanowane jak dzieło sztuki. Jak kadr filmu, który...

Haler odwróciła się i spojrzała na techniczkę, która stanęła w progu pomieszczenia. Kobieta wskazała na ukryty pod kombinezonem nadgarstek.

– Wasz czas minął. Wybaczcie, ale mamy od czorta roboty...

– A więc jednak nie obawiasz się o psychikę swojego dziecka?

Techniczka z zaciekawieniem łypnęła na Tamarę.

– Kto ci powiedział, że jestem w ciąży? Marek?

– Nie znam żadnego Marka.

– Więc...

– Po prostu. Strzelałam.

Haler uśmiechnęła się ponuro i ruszyła do wyjścia. Deryło podążył za nią. Zrobił minę przepraszającą techniczkę za zachowanie podwładnej. Bezradnie rozłożył dłonie, dając jej do zrozumienia, że nie wie, co ją ugryzło. Dogonił Tamarę już na dworze.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytał cierpko.

Haler przystanęła i odwróciła głowę. Mimo to Deryło natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak.

Zmrużył oczy i położył dłoń na jej ramieniu. Tamara drgnęła.

– Powiesz mi, co się stało? Nie rób ze mnie idioty, który nie widzi, że...

– Po prostu. – Haler bezpardonowo weszła mu w słowo. – Wybiła mnie z toku myślenia i zapomniałam, co chciałam powiedzieć. A to była jakaś istotna myśl.

Deryło z rezygnacją pokręcił głową.

– Chyba będziemy musieli poważnie pogadać.

– Czego się dowiedziałeś?

Deryło wrócił do citroëna, w którym na szpitalnym parkingu przez ostatnią godzinę czekała Haler. Postanowił porozmawiać z Dariuszem Liberem w cztery oczy. Lekarze mogli robić problemy, a i natłok przesłuchujących nie służył swobodnej wymianie zdań. Tym bardziej że mężczyzna miał prawo być w szoku.

Zgodnie z przypuszczeniami komisarz zastał człowieka pogrążonego w stanie ocierającym się o katatonię. Liber ledwie reagował na polecenia lekarzy, jego oczy były mętne jak u trupa, a skóra twarzy dziwnie żółta. Miał obandażowaną głowę. Został obezwładniony pojedynczym ciosem w potylicę, który pozbawił go przytomności. Co istotne, wszystko wskazywało, że sprawca umyślnie zachował go przy życiu. Uderzając nieco mocniej, zdruzgotałby mu czaszkę i uszkodził mózg. Cios zadany najprawdopodobniej tępą stroną młotka był stosunkowo delikatny. Również więzy, z których ktoś będący inwalidą zdołał się oswobodzić, zdradzały intencję napastnika.

Liber miał przeżyć. Taki był plan.

Po podaniu serii leków, kroplówki oraz po rozmowie z psychologiem mężczyzna jedynie w znikomym stopniu powrócił do rzeczywistości. Zgodził się porozmawiać z komisarzem, a lekarze dali Deryle do zrozumienia, że musi się pośpieszyć. W związku z tym pytania, które padły, mogły się wydać niedelikatne i zbyt bezpośrednie, lecz dla komisarza najważniejszy był cel. A tego chyba nie udało się mu osiągnąć.

Właściwie dowiedział się niewiele. Małżonkowie nie mieli żadnych wrogów, sporów sąsiedzkich ani spraw sądowych. Nie byli zamożni, poza tym nic nie wskazywało, by z domu zniknęły jakiegokolwiek cenne rzeczy. Byli zgranym małżeństwem, które zgodnie z półsłówkami Libera żyło swoim rytmem drobnych, lecz nieistotnych kłótni. Od prawie trzech dekad.

Mężczyzna nie zauważył twarzy napastnika. Po wyjściu do ogrodu został przez niego zaatakowany od tyłu, uderzony i zarzucono mu na głowę płócienny worek, przez który na szczęście mógł oddychać. Wcześniej sprawca wepchnął mu w usta knebel. Po tym, jak się ocknął, przez długi czas – nie wiedział nawet w przybliżeniu, jak długo – szarpał się ze sznurem. Wreszcie zaczął nim pocierać o szorstki fragment elewacji domu, co po kilku godzinach przyniosło wyczekiwany efekt. Później sytuacja potoczyła się zgodnie z przypuszczeniami komisarza. Cały odrętwiały wczłogał się do domu, gdzie szybko natrafił na zwłoki żony. Wtedy wezwał policję, choć nie był pewny, czy wcześniej na chwilę ponownie nie stracił przytomności.

Nagle Liber zamilkł i osunął się w swój świat. Jego oczy zaszyły mgłą, a oddech znacznie spowolnił. Przestał reagować na jakiegokolwiek bodźce. Deryło, klnąc w duszy na czym świat stoi, pośpiesznie wezwał lekarzy. Był wściekły. Choć medykom dość szybko udało się względnie opanować sytuację, kontynuowanie rozmowy było niemożliwe. I być może miało takim pozostać na wiele dni – co dopowiedział już szpitalny psycholog.

Tak pokrótce przedstawiały się fakty. Gdyby uznać opowieść Libera za całkowicie zgodną z prawdą, nie wnosila ona do śledztwa kompletnie niczego. Przynajmniej zdaniem Deryły, który określił to nieco dosadniej.

– Jesteśmy w czarnej dupie – mruknął, uruchamiając silnik. – Głęboko w dupie.

Haler wygodnie rozsiadła się w fotelu, po czym zaczęła skubać palcami wargę. Intensywnie nad czymś myślała. Odezwała się dopiero po chwili, gdy silnik citroëna rozgrzał się i przestał warczeć jak stary kombajn.

– Właściwie jest jeden istotny fakt. – Uchyliła szybę, starając się zaczerpnąć świeżego powietrza. Robił się duszny, parny wieczór, a w aucie musiało być co najmniej trzydzieści stopni. – Napastnik nie tylko zaplanował morderstwo, ale też skrzętnie wybrał ofiarę. Mógł zamordować albo ją, albo jego. Wybrał ją. Dlaczego?



- Może jest mizoginem.
- Ofiary mają różny wiek, status społeczny i wygląd. Właściwie nie łączy ich niemal nic.
- Poza płcią.

To wyraźnie nie przekonywało Haler. Wciąż skubała palcami wargę i od czasu do czasu cicho coś szeptała. Deryło już się do tego przyzwyczaiał, więc nie zwracał na nią uwagi. Zresztą sam był pogrążony w myślach. Trzy dekady doświadczenia podpowiadały mu, że sedno jest na wyciągnięcie ręki. Przy dwóch zbrodniach sprawcy musieli popełnić jakiś błąd, a jednocześnie odsłonić się na tyle, by można ich było dorwać. Choć niestety zdarzały się wyjątki. Komisarz doskonale pamiętał sprawę Fotografa, Mistrza Gry, a przede wszystkim nieuchwytnego przez miesiące Cztery Iksa. Ofiary ich obłąkanych umysłów można było liczyć w dziesiątkach. Jednak wszyscy zostali ujęci i w ten bądź inny sposób doprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości. Ludzkiej lub boskiej.

Haler poruszyła się w fotelu i opuściła dłoń.

- A jeżeli „cierp” to anagram? Albo skrót?
- Masz jakieś pomysły?
- Po angielsku *perce* to przebijać, przekłuwać... Wymownie pasowałby do tego drut wbity w pierś tej kobiety. Ale nijak nie widzę odniesienia do Werskiej.

Deryło zwolnił. Zamyślony nie zważał na trąbienie kierowcy auta z tyłu.

- A może „ciągle irytuję ego rewelacyjnego policjanta”?

Zaśmiał się własnego dowcipu i dodał gazu. Wcale nie było mu do śmiechu.

Było już po dwudziestej drugiej, gdy Haler zatrzymała motocykl pod przebudowanym po raz kolejny Pedetem. Choć nieco odświeżono bryłę, odmalowano ją i nadano nową nazwę, budynek pasował do okolicznej, starej zabudowy jak pięść do nosa. Zajmował piękną działkę niemal w samym centrum miasta obok reprezentacyjnego lubelskiego deptaka. Kiedyś Deryło wspominał jej o luksusowym przedwojennym hotelu, który znajdował się właśnie w tym miejscu. Zgodnie z jego opowieścią miał w nim przebywać rząd polski ewakuujący się w trzydziestym dziewiątym roku do Rumunii. Kilka godzin po wyjeździe jego przedstawicieli budynek został obrócony w gruzy w trakcie niemieckiego nalotu. Po wojnie po swoim zajęli się nim komuniści, więc wyszło jak na załączonym obrazku. Ludowo, siermiężnie i topornie. Ale to była tylko ta brzydsza strona okolicy.

Chwilę później Tamara przeszła obok gotyckiego kościoła powizytkowskiego, który wznosili jeńcy krzyżacy ujęci w bitwie pod Grunwaldem. Ot, polski kontrast. Skupiała na nim całą uwagę, chcąc zapomnieć o nieprzyjemnym wrażeniu, jakie wywołało w niej kilkukrotne dziś zagubienie myśli. Wciąż nie mogła sobie przypomnieć, co przyszło jej do głowy, gdy z rytmu analizy wyrwała ją techniczka. Nie powinna potraktować jej obcesowo i męczyły ją wyrzuty sumienia. To był tylko jej problem. Co z tego, że nigdy dotąd maszyna jej umysłu się nie zacięła? Że potrafiła cytować fragmenty książek przeczytanych przed dwudziestu laty? Teraz było inaczej i powinna się do tego przyzwyczajać.

Minęła grupkę mężczyzn palących papierosy i pchnęła ciężkie drzwi. W progu niemal zderzyła się z dwójką zataczających się dziewcząt. Zeszła po kilku schodkach, zanurzając się w ciężkiej atmosferze klubu. Dudniła w nim muzyka elektroniczna i błyskały kolorowe światła. Mimo środka tygodnia w lokalu było sporo ludzi. Większość wyginała się na parkiecie w pozach przypominających spazmy opętanych. Przy długim barze siedziało lub stało kolejnych kilkanaście osób.

Haler zamówiła piwo bezalkoholowe i siadła na obrotowym hokerze podobnym do tych, jakie miała w mieszkaniu. Muzyka zagłuszała jej myśli. Mimo że jej ciało niemal drżało w kakofonicznym rytmie, pragnęła, by ta grała jeszcze głośniej. Podniosła się od baru, po czym ruszyła w stronę parkietu. Na jej szyi natychmiast uwiesił się podchmielony trzydziestolatek, który na migi zapraszał ją do tańca. Tamara z butelką w ręku zrobiła kilka kroków, usiłując złapać rytm muzyki. Wyraźnie rozochocony mężczyzna położył ręce na jej biodrach i spoglądał jej prosto w oczy. Ciągle coś mówił, lecz Haler nie słyszała żadnego ze słów. Uśmiechała się. Postanowiła być miła. Właściwie czy nie przydałby się jej przelotny romans? Dlaczego nie miałaby zapewnić sobie miłosnej rozrywki na jedną noc? Może wtedy chociaż przez chwilę poczułaby się lepiej? Powinna czerpać z życia, póki była sprawna i atrakcyjna. To mogło zmienić się diametralnie niemal z dnia na dzień.

Świadomość, że jest w stanie zadawać sobie te pytania, wprawiła ją w przygnębienie. Nie po to przyszła do klubu, aby myśleć. Zdecydowanym ruchem odcepiała od swoich bioder ręce mężczyzny i pokręciła przecząco głową. Cokolwiek do niej mówił, odpowiedź brzmiała jednoznacznie: „nie”. Przynajmniej teraz. Nie zważając na jego błagalne spojrzenie oraz rozczarowaną minę, ruszyła w stronę podestu, na którym były ustawione ogromne kolumny. Od dobywających się z nich dźwięków drżała podłoga. W tym miejscu całe jej ciało przeszywały wibracje i miała wrażenie, że nawet jej serce drży w rytmie basów.

Weszła na podest, a następnie, nie bacząc na znaki dawane przez didżeja, skierowała się ku głośnikom. Stała o krok od nich. Ogłuszający ryk rozsadał jej głowę. Teraz wreszcie czuła się szczęśliwa. Była jedynie wibracją i to do niej sprowadzały się wszelkie problemy oraz uciechy. Świat zamykał się w eksplozji dźwięków przenikających jej ciało. Nie istniało nic poza nimi.

Z przynoszącej ulgę nicości wyrwało ją szarpnięcie. Klockowaty ochroniarz bez pardonowo ściągnął ją z podestu i pchnął w stronę parkietu. Coś krzyczał, lecz Haler nie rozumiała ani słowa. Odstawiła na stolik butelkę niemal nienapoczętego piwa, po czym skierowała się do wyjścia. Mięśnie jej nóg wciąż pulsowały w jazgotliwym takcie.

Gdy wyszła na zewnątrz, z ulgą nabrała dusznego powietrza. Nawet parna noc była przyjemniejsza niż mieszanina smrodu potu, alkoholu i pokątnie palonej trawki. Uśmiechnęła się. Powoli, spacerowym krokiem ruszyła z powrotem do motocykla.

Wciąż otumaniona muzyką, nie zwróciła uwagi na postać podążającą jej śladem. Nie czuła, że czyjeś spojrzenie świdrowało jej plecy.

Dochodziła północ, gdy Deryło z zamyślenia wyrwał dzwonek telefonu. Tony *Sarabande* powoli, lecz przyjemnie przywoływały go do rzeczywistości. Mniej przyjemny był krótki komunikat przekazany mu przez Gawińskiego. Jak zwykle, jeśli chciał dowiedzieć się czegokolwiek przed otrzymaniem oficjalnego raportu (który miał powstać dopiero za dzień lub dwa), powinien natychmiast stawić się w zakładzie medycyny sądowej.

Komisarz znalazł się na miejscu niespełna pół godziny po odebraniu telefonu. W pustym, oświetlanym jarzeniówkami korytarzu jego kroki niosły się głuchym echem. Odrapane, od lat niemalowane ściany sprawiały upiorne wrażenie. Do tego miejsce przywoływało obrazy dziesiątek zwłok, które Deryło oglądał tu przez ostatnie lata. Samobójców, ofiar morderstw oraz wypadków. Rzadko kiedy po śmierci ci ludzie wyglądali, jakby spali. Zazwyczaj po lub w trakcie sekcji przypominali raczej obiekty wprost wyrwane ze stoiska w sklepie mięsnym albo nawet rzeźni.

Bez pukania pchnął drzwi pracowni i natychmiast zaciągnął się tak mu znajomym zapachem śmierci oraz środków dezynfekcyjnych. Białe światło skierowane było wprost na stół sekcyjny, który przypominał przez to rekwizyt umieszczony na scenie teatralnej. Tuż obok stał Gawiński. Wyprostował się, lecz się nie odwrócił.

– Szybki jesteś – skwitował i odłożył metalowe narzędzie do rynienki. – Naprawdę.

– Nie tak szybki, jak ty.

– Ostatnio chyba nieco zbyt pochopnie biorę na siebie robotę. Ale z drugiej strony po co mam wracać do domu? – Gawiński odwrócił się i spojrzał na komisarza sponad okularów. – Chyba też coś o tym wiesz, prawda?

Przed dwoma laty zmarła żona patologa i od tego czasu ten jowialny, serdeczny człowiek kompletnie się zmienił. Według większości – na gorsze. Odciał się od ludzi, niemal przestał z nimi rozmawiać, a znaczna część dawnych znajomych miała go za kompletnego dziwaka. Jednak Deryło od początku doskonale go rozumiał. Być może dlatego ich relacja mimo pewnego przewartościowania zasadniczo pozostała taka sama jak dawniej. A nawet się zacieśniła.

– Wiem, że coś takiego jak dom istnieje tylko, gdy masz rodzinę. – Komisarz podszedł do stołu sekcyjnego. – Cztery ściany to mieszkanie. Ewentualnie willa lub rezydencja. Ale nigdy nie dom.

– A więc jesteśmy ludźmi bezdomnymi? – Patolog cicho parsknął. – Choć ty, przynajmniej masz Wiktorię. Swoją drogą, odzywała się ostatnio?

– Od zbyt dawna już nie.

– Odezwie się. Szybciej, niż sądzisz.

Deryło z lekką irytacją wzruszył ramionami. Największą zaletą ich relacji była całkowita bezpośredniość. Nigdy nie owijali w bawełnę tego, co leżało im na wątrobach.

– Przejdziemy do rzeczy? – zapytał nieco rozdrażniony. – Wystarczy mi, że przez cały czas analizuje mnie Tamara.

– Uwielbiam ją. – Gawiński szeroko się uśmiechnął. Westchnął, po czym obrócił się w stronę stołu sekcyjnego. Jego twarz momentalnie przybrała poważny wyraz. – No, dobrze. Od czego chcesz zacząć?

– Ty tu rządzisz.

Deryło rzucił okiem na okaleczone, zaszyte po autopsji ciało. Jednak skóra z głowy denatki nadal była rozcięta i zawinięta na podbródek. Drugi płat ściągnięto za potylicę. Pokrywa czaszki została już przyklejona, choć wyraźnie widać było równe, koliste cięcia wykonane, aby odsłonić mózg. Pobrane preparaty leżały w specjalnym naczyniu na stole pomocniczym. Obok, w metalowym pojemniku moczyły się skalpele, ostrza piły oraz nożyce. Gawiński podążył za wzrokiem komisarza i pchnął na bok stolik. Zazwyczaj pracował bez pomocy techników, co stało się niemal jego filozofią oraz punktem zawodowego etosu, ale przez to zawstydział go bałagan, który robił wokół siebie. Jego zdaniem nie

licował z powagą miejsca. Był jednym z tych lekarzy, którzy okazywali zmarłym najwyższy szacunek. Co więcej, wymagał tego od wszystkich wokół.

Odwrócił się do Deryły i ściągnął ubrudzoną rękawiczkę.

– Śmierć nastąpiła na skutek uszkodzenia mięśnia sercowego – odezwał się rzeczowym tonem. – Była dość szybka i sama w sobie nieszczególnie bolesna. Używając twojej nomenklatury, można by ją nazwać mało ciekawą.

Deryło westchnął.

– Kiedy zmarła?

– Zgon nastąpił około trzydziestu sześciu godzin temu. Plus minus dwie.

– Czyli chociaż to się zgadza. Przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę...

Gawiński uniósł dłonie w geście nakazującym komisarzowi niezgłębianie tematu. Niemal nigdy nie chciał nic wiedzieć o prowadzonych przez niego sprawach.

– Jasne, już się zamykam. – Deryło machnął ręką. – Mów dalej.

– Odtwarzając wszystko w kolejności, w jakiej się wydarzyło, zabójca ukrzyżował ją, kiedy jeszcze żyła. Od tego zaczął. Oczywiście pominąwszy siniaki oraz otarcia po wcześniejszym obezwładnieniu.

– A podeźnięte gardło?

– Tym zajął się na końcu. Choć właściwie wydaje mi się, że na wielki finał zostawił sobie coś jeszcze.

– Co takiego? – Deryło zmrużył oczy. – O jakim wielkim finale mówisz?

Gawiński zsunął okulary i włożył je do kieszeni fartucha. Z konsternacją pokręcił głową.

– Masz szczęście do kompletnych dewiantów. Zobacz, co ten sukinsyn zrobił.

Po wizycie w zakładzie medycyny Deryło wiedział, że nie zaśnie. Mimo że wrócił prosto do domu, kusiło go, by zadzwonić do Haler. Uznał to jednak za zły pomysł. Nie wiedział, co dokładnie działo się z Tamarą, ale miał nadzieję, że w końcu się przed nim otworzy. Bez podpytywania. Z własnej woli i inicjatywy. Pewne prywatne płaszczyzny stanowiły między nimi tabu, którego sam nie chciał przełamywać. Jednak doskonale wiedział, że od dłuższego czasu coś ją gnębi. Zazwyczaj pogodna i rezolutna, ostatnio spochmurniała i kompletnie zamknęła się w sobie. Uzbroiła się w jakąś nieznaną mu dotąd skorupę. Mimo to kilkakrotnie wychwycił jej skierowane ku sobie spojrzenie, którym bez słów błagała o pomoc. Może jednak powinien ją o to zapytać? Brutalnie i bez zbędnych tłumaczeń? Po prostu: „moja droga, wyduś to z siebie, bo nie mogę już na to patrzeć”. Bez emocji i niecenzuralnych słów. Po ojcowsku.

No, tak. Po ojcowsku. W tym wypadku ich relacja zastępowała mu tę, którą niemal całkowicie utracił. Mijał kolejny dzień bez znaku życia od Wiktorii. A może coś jej się stało? Nie, nie, nie. Nie mógł tak myśleć. Dał jej słowo, że nie będzie męczył jej telefonami i nigdy nie odezwie się pierwszy. Do momentu, aż da mu na to wyraźne pozwolenie. Taki był ich układ i tylko dlatego dała mu swój numer telefonu. Na wszelki wypadek. A może właśnie po to, aby go przetestować? W końcu doskonale wiedział, że jego córka potrzebowała czasu, aby poukładać sobie w głowie pewne kwestie. Musiała zrozumieć, że wszystko, co zrobił, robił dla jej dobra. A przede wszystkim, że nie może obwiniać go o śmierć matki. Czy, aby doszła do tego wniosku, nie był jej potrzebny? Czy nie powinien się wytłumaczyć?

Zmiał żurawia origami i cisnął go do kosza. Sięgnął po telefon, po czym go odblokował. W książce kontaktów wyszukał odpowiedni numer (który, wiedziony szaleństwem, opisał zupełnie innym imieniem) i przesunął palec nad zieloną słuchawkę. Po chwili jednak się rozmyślił. Chciał rzucić komórką, chciał zniszczyć wszystko wokół siebie, ale jednocześnie z tyłu głowy otrzeźwiała go myśl o bezsensie takiego zachowania. Już wyrósł z wieku, gdy robił to, co nakazywał mu pierwszy impuls. Zniszczył w życiu zbyt wiele rzeczy i osób.

Przed oczami ponownie przewinął mu się obraz sprzed nieco ponad godziny. Niewielka lalka, którą pokazał mu Gawiński. Była to właściwie figurka nagiej, jasnowłosej dziewczynki z ruchomymi nogami oraz rękoma. Nie została nawet przemyta ze skrzepów krwi oraz płynów ustrojowych. Patolog wyciągnął ją z dróg rodnych Moniki Liber. Została tam wepchnięta wkrótce po jej śmierci i, jak przypuszczał Deryło, tylko w tym celu kobieta została rozebrana. Dlatego też zabójca wyjął drut, którym przebił jej serce, a następnie po zdjęciu ubrań wbił go ponownie. Gawiński uznał taki scenariusz za w pełni prawdopodobny, ale nie zamierzał ustosunkowywać się do niczego więcej.

Co miała znaczyć ta cholerna lalka? Czy była jedynie elementem profanacji zwłok? Aktem oskarżenia? Nawiązaniem do nielegalnej aborcji? Przeprowadzenie jej przez Liber patolog wykluczył z niemal stuprocentową pewnością. Chyba że wiele lat temu wykonano perfekcyjnie czystą robotę, co oczywiście się zdarzało, ale stanowiło margines marginesu podobnych operacji.

Lalka voodoo? Atrybut satanistów? Nawiązanie do jakiegoś bóstwa płodności? Te wszystkie warianty buzowały w głowie Deryły. Rozpatrywał je, sącząc ulubiony Cydr Chyliczki, który przynajmniej w jakimś stopniu przynosił ulgę od duchoty. Popijał go małymi łykami nieświadomy, że w ciągu pół godziny wypił niemal całą butelkę.

Lalka wepchnięta w drogi rodne sześćdziesięciolatki... Gawiński obiecał do rana przesłać komisarzowi szczegółowe, wysokojakościowe zdjęcia. Sam przedmiot miał trafić do analizy kryminalistycznej.

Deryło wyrzucił kolejnego żurawia i niemal kompulsywnie wybrał numer Tamary. Nie chciał czekać z przekazaniem jej nowych wieści. Jeśli wyrwie ją ze snu, znaczyłoby to, że może niepotrzebnie się o nią martwił. Jeśli nie będzie spała, nowa zagadka powinna jak zwykle pozytywnie nakręcić ją do

działania.

    Nie przewidział opcji trzeciej.

    Haler nie odebrała.

## Dzień następny

Dzień rozblysnął krwawym brzaskiem. Po raz kolejny Deryło nie wiedział, czy choćby przez chwilę spał. Otworzył oczy i się przeciągnął. Był cały obolały. Wstał z fotela i stracił z biurka dwa złożone papierowe żurawie.

Zerknął na ekran telefonu, lecz nie miał żadnych wiadomości. Uznał, że Haler nadal śpi i poczuł przez chwilę swego rodzaju rozczarowanie, ale natychmiast się zreflektował. Była to osoba zasługująca na sen jak nikt inny. Znacznie bardziej niż on sam.

Powlókł się do kuchni i zaparzył mocną kawę, której przyjemny aromat rozniósł się po mieszkaniu. Zapach z kawiarki zawsze kojarzył mu się z Włochami. Wąskie uliczki, bulgoczące zaparzynki oraz warkot ekspresów. Miłe wspomnienia wakacji sprzed wielu, zbyt wielu lat. Może właśnie tego mu brakowało? Odpoczynku i resetu od rzeczywistości?

Wypił kawę niemal haustem. Dopiero minęła szósta, więc postanowił z niczym się nie śpieszyć, a jednak energia wręcz go rozpierała. Chciał jak najprędzej porozmawiać z Tamarą i usłyszeć jej opinię na temat odkrycia dokonanego przez Gawińskiego. Poza tym samotne poranki w mieszkaniu przyprawiały go o ponury nastrój. Nawet, gdy budził się wyspany i ze wspomnieniem przyjemnego snu, wkrótce uginał się pod ciężarem przeszłości. Przyłapał się na tym, że omija wzrokiem pokój Wiktorii oraz sypialnię, w której spał z Ewą. Do tego drugiego pomieszczenia nie zaszedł zresztą od wielu tygodni. Nawet sprząając mieszkanie, nie odważył się pchnąć zamkniętych drzwi, a kilkakrotnie opierał się o nie plecami i z trudem powstrzymywał płacz. W jego kodeksie honorowym nie było miejsca na rozczulanie się nad sobą. A jednak zdarzały się chwile słabości.

Gdy dochodziła siódma, był już całkowicie gotowy do wyjścia. Haler nadal nie oddzwoniła i zaczął się niepokoić. Jeżeli zamierzała zdążyć na czas do pracy, powinna już wstać. Nigdy nie zdarzyło się jej spóźnić i nigdy nie pozostawiła jego telefonów lub wiadomości bez odpowiedzi.

Punktualnie kwadrans po siódmej Deryło wyszedł z klatki, po czym skierował się w stronę parkingu. Po drodze uklonił się mieszkającemu po sąsiedzku staruszkowi, który spacerował przygięty do ziemi z równie starym pekińczykiem o oczach wytrzeszczonych jak dwa spodki. Staruszek uśmiechnął się do niego szeroko. Sięgnął ku głowie, ale nagle przypomniał sobie, że nie ma kapelusza, więc wymamrotał jedynie słowa powitania. Deryło, również siląc się na uśmiech, minął go, pobrzękując kluczykami od auta. Gdy tylko wszedł do Citroëna, wyciągnął telefon. Zanim uruchomił silnik, wybrał numer Haler i odczekał sześć sygnałów, jednak Tamara nie odebrała.

– Co jest... – syknął.

Zaczął pisać do niej wiadomość. Nie był wprawiony w esemesowaniu i chwilę zajęło mu, nim odnalazł znak zapytania, który zwięździł dwuwyrazowe zdanie: *Wszystko ok?*

W momencie, gdy chciał nacisnąć przycisk wysyłania, telefon zaczął dzwonić. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Haler, które przypisała do swojego numeru, robiąc mu przed paroma tygodniami niespodziankę. Deryło odetchnął z ulgą i przez myśl przeszło mu, czy nie powinien przynajmniej udać obrażonego. A może powinien się z nią podroczyć? Powiedzieć, że Gawiński ustalił coś bardzo ważnego, ale powie jej o tym dopiero, gdy spotkają się w komendzie? Albo nawet później? Zadowolony z tego pomysłu pospieszenie odebrał.

– Halo? – rzucił, siląc się na obojętny ton.

– Dzień dobry, komisarzu.

To nie był głos Tamary.



– Kto mówi?

Odpowiedziało mu milczenie. Sekundę, dwie, trzy...

– Kto mówi, do cholery?

– Dlaczego się pan denerwuje, komisarzy?

Dziwny, jakby zdeformowany przez jakieś urządzenie głos. Nieco skrzekliwy, a jednocześnie chropawy. Deryło lewą ręką oparł się o kierownicę, jakby dla równowagi dla prawej, ściskającej z całej siły telefon. Jednocześnie rozejrzał się wokół. Na parkingu było kilkanaście samochodów, w większości doskonale mu znanych. Kojarzony przez niego z widzenia elegancik rozmawiał przez telefon przy nowym mercedesie. Do paroletniego kombi ładowała się cała rodzina sąsiadów. Poza tym w okolicy nie widział żywego ducha. Dopiero znacznie dalej, w pobliżu klatek schodowych przechadzało się kilka osób. Każda z nich najwyraźniej skupiona na konkretnym celu i idąca szybkim krokiem. Nie dostrzegł nikogo ani nic podejrzanego.

– Tamaro, jeśli robisz sobie żarty... – odezwał się, ale nie wiedział, co miałyby się stać, gdyby rzeczywiście były to tylko żarty.

– Zapewniam pana, że jestem śmiertelnie poważny – odparł głos. – I nie mam na imię Tamara.

– Skąd masz jej telefon?

– To już moja tajemnica. Chciałby pan od razu wszystkiego się dowiedzieć?

Deryło wściekle zabębnił palcami w kierownicę. Nagle oderwał od niej dłoń i pchnął drzwi.

– Z kim rozmawiam?

– Może pan mnie nazywać, jak tylko zapragnie.

– Jesteś złamanym kutasem. Daj mi do telefonu Tamarę, muszę zamienić z nią kilka słów.

Mężczyzna po drugiej stronie linii wybuchnął śmiechem. Właściwie komisarz nie był pewny, czy jakieś urządzenie nie maskuje również płci jego rozmówcy.

– Dlaczego pan myśli, że pani Haler chce z panem... zamienić kilka słów? Dlaczego miałyby w ogóle móc to zrobić?

– Daj ją do telefonu.

W Deryle narastała wściekłość. Nie tylko martwił się o Tamarę, ale jednocześnie odczuwał irracjonalny strach oraz zagubienie. O co w tym wszystkim chodziło? Z kim rozmawiał? W jaki sposób ten ktoś modyfikował swój głos?

– Niestety, nie mogę tego zrobić.

– Bo? Słuchaj, gnojku, masz telefon funkcjonariusza policji, który...

– Niech się pan nie wymądrza. Doskonale wiem, czyj telefon mam w dłoni, i jakie konsekwencje mnie czekają, jeśli bym tę osobę zabił, zgwałcił lub obrabował. Przygotowałem się.

Deryło poczuł suchość w gardle. Wyszedł z samochodu i na drżących nogach stanął obok niego. Ponownie uważnie lustrował okolicę, lecz nadal nie dostrzegł nic niezwykłego.

– Powiedz mi, kim jesteś i dlaczego dzwonisz.

– To pan zadzwonił. Ja tylko oddzwaniam na wypadek, gdybym miał coś przekazać pani Haler.

– Czyli jest obok ciebie? Tamaro! – Deryło krzyknął tak głośno, że z pobliskiego drzewa poderwał się gołąb. – Jesteś tam?

– Proszę się uspokoić, komisarzy. Na razie na panią podkomisarz spłynęła łaska miłosierdzia.

– O czym ty...

Deryło nie dokończył. Usłyszał dźwięk zakończonego połączenia, a potem nastała cisza.

– Cholera – zaklął pod nosem.

Drżała mu ręka, ale bez problemu ponownie wybrał numer Haler. Przytknął telefon do ucha. Niemal natychmiast odpowiedział mu głos automatycznej sekretarki:

– Szlag...

Zadzwoił raz jeszcze i sytuacja się powtórzyła. Wtedy pośpiesznie wyszukał numer Brzeskiego. Dwukrotnie się mylił i wybierał niewłaściwy kontakt. Wreszcie udało mu się nacisnąć odpowiedni guzik. Aspirant odebrał niemal od razu.

– Czy w komendzie jest już Tamara? – Deryło zapytał, nim ten zdążył się odezwać. Brzeski odchrząknął. Odezwał się dopiero po chwili, lecz nie miał wesołego tonu.

Śmierć przechadzała się po pomieszczeniu bez okien. Gdyby nie kilka drobnych punkcików świetlnych mrugających na rozmaitych sprzętach, wokół panowałaby kompletna ciemność. Słychać było jedynie brzęczenie komputerów oraz bulgotanie wody. Wyciszona specjalną matą podłoga doskonale tłumiała kroki.

Śmierć wyszeptała coś do siebie. Zawróciła, po czym zaczęła odliczać.

Cztery.

Trzy.

Zrobiła kilka szybkich kroków, a następnie ponownie się odwróciła.

Dwa.

Jeden.

Kolejny zwrot, tym razem w stronę ściany. Śmierć po omacku wyciągnęła dłoń, ale palce bezbłędnie natrafiły na włącznik.

– Niech się stanie.

Pomieszczenie natychmiast oświetliło kilka lamp reflektorowych podobnych do tych, którymi na miejscach zbrodni posługiwali się kryminaliści. Była to duża, przestronna sala. Ustawiono w niej kilka kamer, aparatów fotograficznych oraz komputerów. Wszystkie obiektywy zostały skierowane w stronę dekoracji przeniesionej z jakiegoś upiornego dziecięcego przedstawienia. Kartonowe bezlistne drzewa, języki ognia strzelające w powietrze, szubienice, a nawet gilotyna, przy której leżała głowa lalki. To właśnie do niej podeszła Śmierć. Chwyciła sznurki imitujące włosy, po czym przesunęła głowę bliżej tektury oklejonej folią aluminiową, która naśladowała ostrze.

– Pięknie.

Śmierć cofnęła się o kilka kroków w stronę kamer. Zaczęła klaskać. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej naśladując rozentuzjasmowaną widownię. Zagwizdała. Przeciagle i głośno. Chwilę później z jej gardła dobył się charkotliwy, szorstki śmiech.

– No, dobrze, już dobrze. – Wykonała gest niczym fałszywie skromny aktor uspokajający szalejącą publikę. Następnie przytknęła palec do ust. – Tsss.... Proszę o ciszę – wyszeptała.

Ukloniła się i podeszła do jednej z kamer. Pośpiesznie nacisnęła kilka przycisków. Zadowolona z efektu ponownie się zaśmiała. Tym razem krócej i ciszej. Na jednym z laptopów wyświetlił się obraz nagrany przed kilkudziesięcioma sekundami. Z głośników dobiegły oklaski oraz gwizd.

– Wszystko gotowe – oznajmiła Śmierć.

Była zadowolona.

– Nie mam dobrych wieści... Lepiej natychmiast przyjedź.

Te słowa Brzeskiego sprawiły, że po plecach komisarza przebiegł lodowaty dreszcz. Aspirant z pewnością nie był w nastroju do żartów. Miał grobowy ton, co niemal mu się nie zdarzało. A nawet jeśli, to tylko w naprawdę kryzysowych momentach.

– Co się stało? – Deryło wsiadł do auta i włożył kluczyk do stacyjki.

– Musisz to zobaczyć.

– Do cholery...

– Po prostu nie da się tego opisać i to na tyle świeża sprawa, że... – Brzeski westchnął. – Ale pytałeś o Tamarę.

Deryło natychmiast podłapał temat.

– Tak, co z nią? Cokolwiek ci wiadomo?

– Przyjechała niedawno do komendy. – Aspiranta wyraźnie zdziwił nerwowy ton komisarza. – Co miało się stać?

– Jesteś pewny, że jest w robocie?

– Zapewniam, że nie mam omamów, a alkohol ostatnio miałem w ustach wiele dni temu. Nie mam też gorączki.

Deryło odsapnął. W takim razie co to wszystko miało znaczyć? Z kim rozmawiał i dlaczego ten ktoś miał telefon Haler? Czy robiono sobie z niego żarty, czy może to on miewał omamy? Biorąc pod uwagę, że najwyraźniej zaliczył kolejną z rzędu nieprzespaną noc, wszystko było możliwe. Ponoć zmęczony umysł odpoczywał, śpiąc na jawie. Tyle że w najgorszym koszmarze nie wyśniłby tak demonicznego głosu oraz pokrętnej rozmowy. Nie wyśniłby przesywającego na wskroś strachu.

Powoli wypuścił powietrze i uruchomił silnik. Warkot przez chwilę był tak głośny, że zagłuszył słowa aspiranta. Ostrożnie wycofał citroëna, po czym wyjechał z parkingu.

– Możesz powtórzyć? – poprosił. – Nic nie słyszałem.

– Mówiłem, żebyś się pośpieszył. Nawet ViSir nie ma pojęcia, co z tym zrobić i naprawdę...

Komisarz odruchowo zabębnił palcami w kierownicę. Przyciskał telefon ramieniem do ucha, co utrudniało mu koncentrację. Nie zamierzał ponownie dopytywać Brzeskiego o powód zdenerwowania. Na ulicach nie było jeszcze przesadnego ruchu, więc na komisariacie powinien zjawić się dosłownie za kilka minut. W najgorszym razie, gdyby czerwone światła zwyczajowo chciały utrudniać mu życie, za kwadrans. Oczywiście, o ile citroën nie miał w planach rozkraczenia się w połowie drogi.

– Niech Tamara do mnie zadzwoni! – rzucił. – Jak najszybciej.

Po prostu chciał usłyszeć jej głos. Nic więcej.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego nie oddzwaniaasz ani nie odpisujesz na esemesy? No i co to za idiotyczne żarty z tym głupkowatym facetem?

– Jakie żarty?

– Ha, ha. Pośmialiśmy się, więc już możesz przestać się wygłupiać. Było miło, ale się skończyło.

– Ale...

– Nawet nie próbuj. Gdybyś...

Haler wreszcie weszła mu w słowo.

– Zgubiłam telefon. Jeśli chcesz znać całą historię, tatuśku, poszłam wczoraj do klubu i gdzieś go posiałam. – Westchnęła. – A może nawet dałam się okraść. Podejrzewam jednego chłystka, który bardzo namiętnie się do mnie kleił. Myślałam, że podnieca go moje ciało, ale chodziło mu tylko o mój tyłek. W tylnej kieszeni jeansów miałam komórkę.

– Jesteś pewna, że to on? Potrafiłabyś go opisać?

– Jasne. Tylko po co? Telefon pewnie już trafił na bazar.

– Może wcale nie.

Deryło pokrótce opowiedział o swojej rozmowie. Pomiął przy tym wrażenie, jakie na nim wywarł upiorny głos oraz śmiech dzwoniącego. Kiedy skończył, od komendy dzieliło go raptem kilkaset metrów. Stał na czerwonym świetle, szykując się do skrętu w lewo i odruchowo przyglądając się twarzom niewyspanych kierowców.

– Myślisz, że ten gość z klubu może mieć związek z zabójstwami? – Haler cicho mlasnęła. Komisarz przypuszczał, że właśnie przygryzła wargę lub wyssała drażę z opakowania. – Nie, to raczej nie wchodzi w rachubę – odezwała się po chwili. – To musiał być ktoś inny. Poza tym na cholere miałby cię straszyc?

– W takim razie skąd wiedział, jak się nazywasz? Przedstawiałaś mu się?

– Nie. Nawet z nim nie rozmawiałam.

– A portfel?

– Mam go przy sobie, jeśli o to ci chodzi.

Deryło wjechał na parking i zatrzymał się na pierwszym lepszym miejscu. Citroën wciąż był przed poprawkami lakierniczymi, więc właściwie nie bał się obicia przez kierowców aut stojących tuż obok. Poza tym nowy suv hondy oraz nissan juke były znacznie bardziej wartościowe. To inni brali jego pocziwy, zabytkowy wóz za złom.

– Przypomnij sobie, kogo widziałaś w tym klubie. Masz przecież, do cholery, fotograficzną pamięć.

– Ale ja...

Komisarz wziął telefon do ręki i wyszedł z samochodu. Szybkim krokiem skierował się w stronę głównego wejścia.

– Dobra, nad tym będziemy myśleć za chwilę – mruknął. – W klubie powinien być monitoring.

Haler najwyraźniej nie była do tego nastawiona entuzjastycznie.

– Równie dobrze mogłam ten telefon stracić gdzieś indziej. Naprawdę nie wiem, w którym momencie miałabym...

Tamara urwała w pół zdania. Deryło zerknął na wyświetlacz, sprawdzając, czy nie stracił zasięgu. Jednak połączenie trwało dalej, a po chwili usłyszał, że Haler z kimś rozmawia.

– Co ty tam robisz? Gdzie w ogóle jesteś?

– W biurze... Lepiej nieco wyluzuj i weź głębszy oddech.

– Bo?

– Szykuje się rozpierducha od samego ministerstwa.

Deryło niemal biegł. Rozłączył się i kilkanaście sekund później wpadł do gabinetu. Przy biurku

obok Halera stał Brzeski. Oboje jak zahipnotyzowani wpatrywali się w ekran komputera. Dołączył do nich, ale nie rozumiał, dlaczego nieruchomy obraz tak bardzo pochłania ich uwagę.

Odruchowo przeszukiwał palcami kieszeń w poszukiwaniu srebrnego sesterca. Czuł, że tego dnia będzie prześladował go pech.

– Co to jest, do cholery? – zapytał oschle.

Odpowiedziała mu wymowna cisza.

Karol Werski maszerował prosto przed siebie. Wydawało się, że ma jasno wyznaczony cel i czym prędzej do niego zmierza. W rzeczywistości po raz trzeci lub czwarty obchodził teren parku Saskiego, podążając dokładnie tą samą ścieżką oraz dokładnie w tym samym tempie. Był całkowicie pogrążony w myślach. Zdawało się, że nie dostrzega spacerujących wokół ludzi.

Miał na sobie czarne wełniane spodnie oraz białą koszulę. Plamy potu ciemniały pod jego pachami i na plecach. Nie zwracał na nie żadnej uwagi. Nie zwracał również uwagi na strużki potu spływające z jego czoła po nosie oraz ku oczom. Niemal nie mrugał.

– Sukinsyn, cholerny sukinsyn – powtarzał co jakiś czas, lekko wymachując rękoma. – Niech go...

Spoglądał momentami w górę, jakby kierował te słowa do kogoś skrytego w koronach drzew lub jeszcze dalej, za pojedynczymi białymi obłokami. Jego nieogoloną twarz przebiegał tik bólu. Co rusz zaciskał zęby i rozszerzał nozdrza. Czasem kompulsywnie przeczesywał palcami zmierzwione, szpakowate włosy. W kącikach jego oczu zebrały się łzy. Choć szedł bardzo szybko, poruszał się nieco chwiejnie, jakby w nocy co najmniej o kapkę przesadził z pochłoniętym alkoholem. W rzeczywistości nie wypił jednak nawet łyka.

Z zamyślenia wyrwał go cichy krzyk. Skrzywił się i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Wszelkie odgłosy go drażniły. Denerwował go jęk kótek dziecięcych wózków pchanych przez matki, płacz bachorów oraz głośny śmiech nastolatków idących do szkół jeden z ostatnich razy w tym roku. Koił go jedynie szum liści, lecz wiatr wiał rzadko i zbyt lekko. A tak przyjemnie byłoby czuć jego powiew na twarzy...

Cichy, rozpaczliwy krzyk się powtórzył.

Werski pochylił się i włożył dłonie do kieszeni. Chciał zapaść się w sobie i odciąć od jakichkolwiek zewnętrznych bodźców, a jednocześnie nie potrafił wysiedzieć sam w domu. Żyrandol przywodził mu na myśl linę i pętlę, szafka z lekami kojarzyła się tylko z fiolką dawno niebranych środków nasennych, a w lustrze widział ogrom fragmentów szkła – odpowiednich, by poharatać żyły. Natomiast piekarnik gazowy oraz kuchenka nie pozostawiały wątpliwości. Już po piątej rano zmusił się do ucieczki od tych wszystkich sprzętów. Od tego czasu wędrował po starówce, a ostatnie półtorej godziny spędził w parku. O pustym żołądku i nie zważając na pragnienie.

Stłumiony krzyk zamienił się w szloch. Do szlochu dołączył czyjś głos pełen nagany. Werski odwrócił się i dostrzegł dziewczynkę pochyloną nad brzegiem niewielkiego, brudnego stawu. Pływały w nim kaczki, obok których na wodzie unosiła się szmaciana lalka.

– Co zrobiłaś? No, po co to zrobiłaś? – dopytywała wściekła matka dziewczynki. Z niedowierzaniem kręciła głową. – Trudno, powiedz Tosi „papa” i tyle. Trzeba było myśleć, a nie się wygłupiać.

Dziewczynka starała się powstrzymać płacz, ale jej broda drżała, a z oczu ciekły wielkie łzy.

– Mamusiu, proszę... – jęknęła.

– Powiedziałam już, trzeba było myśleć.

– Ale ja...

Blondyneczka nie dokończyła. Wybuchła cichym, żalonym płaczem. Szybko się opanowała i otarła rączką buzię.

– Nie chciałam, nie chciałam, nie chciałam... – pisnęła. – Mamusiu, naprawdę... Obiecuję...

Kobieta zdała sobie sprawę, że Werski się im przygląda i zrobiła do niego minę, jakby przepraszała za całą tę scenę. Wreszcie odwróciła się do dziewczynki. Wyciągnęła do niej dłoń i wymownie poruszyła palcami.

– Idziemy. Koniec tego. Jak Tosia pójdzie na dno, przynajmniej sobie zapamiętasz, że trzeba myśleć.

Werski nie wiedział, czy to powtórzony po raz kolejny nakaz myślenia, czy po prostu łyż dziewczynki sprawiły, że odruchowo skręcił ze ścieżki w stronę stawu. Bez zastanowienia zanurzył się w wodzie. Była ciepła i śmierdząca. Na wierzchu zebrał się kożuch brudu, a kaczki, kwacząc rozpląnęły się na boki. Mężczyzna nie zanurzył się nawet do pasa. Właściwie lalkę można było wyciągnąć choćby przy użyciu dłuższego kija, ale nie tracił na to czasu. Chwycił Tosię, po czym wyszedł na brzeg. Woda ściekała mu ze spodni i wypływała z butów.

– Proszę. – Podał lalkę dziewczynce. – To chyba twoje.

Blondyneczka bez słowa wyciągnęła dłoń po zabawkę. Z jej oczu momentalnie zniknęły łzy, a na buzi pojawił się szeroki uśmiech. Jej matka dopiero po chwili odzyskała rezon.

– Co się mówi?

Dziewczynka cicho podziękowała. Kobieta nie odezwała się już ani słowem. Podała córce dłoń i nie zaszczyciwszy Werskiego choćby spojrzeniem, odeszła w stronę drewnianego mostku. Po chwili stamtąd doleciał go jej głos.

– Widzisz, jakie kaczki brudasy? Kapać się w takiej wodzie...

Werski patrzył tęsknie za odchodzącą dziewczynką. Nie zważając na to, że jest przemoczony, odprowadził ją wzrokiem, aż razem z matką zniknęły za linią drzew. Wtedy sam wybuchnął płaczem.



– Co to, do cholery, jest? – Deryło powtórzył pytanie zadane przed kilkoma sekundami.

Razem z Haler i Brzeskim wpatrywał się w ekran komputera. Wyświetlało się na nim okienko przeglądarki internetowej, w której uruchomiło się nagranie. Pokazywało coś przypominającego teatralną scenografię – tekturowe drzewa, ogniska oraz narzędzia tortur rodem ze średniowiecza lub rewolucyjnej Francji. Nie było głosu ani nie pojawiła się żadna postać. W prawym górnym rogu wyświetlały się cyfry odliczania przeskakujące co sekundę. W lewym rogu czerwony napis informował, że transmisja jest prowadzona na żywo.

– Może mi ktoś powiedzieć na co się gapicie?

Brzeski drgnął i oderwał wzrok od ekranu. Wykonał nieokreślony ruch w stronę Haler. Tamara była całkowicie pochłonięta analizowaniem obrazu. Ssąc drażę mrużyła oczy i przekrzywiła głowę, jakby to miało jej pomóc dostrzec jakieś szczegóły. Z głowy Deryły momentalnie uleciało całe zmartwienie o podkomisarza, a zastąpiło ją pragnienie zmuszenia jej do odezwania się. Właściwie tylko jej osąd go interesował. Choć cenił Brzeskiego, w każdym towarzystwie Tamara stawała się obiektem, ku któremu kierował pytania i od którego oczekiwał odpowiedzi. Do tego odpowiedzi natychmiastowych.

– Na razie widzieliśmy dokładnie tyle, co i ty – odezwała się po chwili. – To jakaś scenografia albo dekoracja filmowa. A przynajmniej zdaje się, że za taką ma robić.

– Dlaczego więc gapicie się w to gówno jak zaczarowani? Bardziej fascynuje mnie tapeta Windowsa lub te kretyńskie wygaszacze ekranu z pływającą rybką.

Brzeski odchrząknął. Zerknął porozumiewawczo na Haler, po czym odwrócił się do komisarza.

– Uprzedzając pytania... – Odchrząknął ponownie. – Jak już mówiłem, ViSir zajął się tym tematem. Od rana siedzi i wszystko bardzo skrzętnie analizuje.

– Zmotywowałam go do roboty – zapewniła Tamara.

– Właśnie. Wystarczyło, że puściła do niego oko i pobiegł do swojej nory, aż się kurzyło...

– Dlatego mamy pewność, że się przyłożył.

– Nadawcy nie da się namierzyć, bo ta platforma jest... Jak on to ujął?

– Streamowana.

– Tak, właśnie tak. Streamowana z Gwatemali przez serwery nikaraguańskie.

– Albo na odwrót...

Deryło wściekle sapnął, przerywając dwugłos podwładnych. Oparł się o skraj biurka tak mocno, że metal przeciągle jęknął. Spojrzał w oczy Brzeskiego, a potem przeniósł wzrok na Haler.

– No dobra. Teraz spokojnie wytłumaczcie mi, o co w tym chodzi, i dlaczego zwracacie mi dupę pieprzoną scenografią wprost z teatryku dla dzieci.

Brzeski skłonił się, oddając palmę pierwszeństwa Tamarze.

– Właśnie w tym cała rzecz...

Haler oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na komisarza. Przez chwilę zbierała myśli. Wreszcie założyła włosy za uszy, po czym zaczęła relacjonować. Zwięźle i rzeczowo.

– Przed godziną dostaliśmy zgłoszenie o nowej witrynie internetowej. Ktoś gorliwy zwrócił uwagę na jej treści i uznał, że lepiej przekazać sprawę policji. Po załadowaniu głównej strony – Tamara odwróciła się i kilkakrotnie kliknęła, zmieniając obraz wyświetlający się na ekranie – pojawia się coś takiego. To stronka z krótkimi notkami biograficznymi o ofiarach, Monice Liber oraz Marcie Werskiej. Nie są to jednak typowe notki...

Deryło pochylił się i zmrużył oczy. Przebiegł wzrokiem kolejne linijki białego tekstu na czarnym tle.

*Marta Werska – córka i ofiara. Dziwka, lafirynda, jawna dupodajka z cennikiem zawyżonym przez przetrącone ego. Robiła, co zapragnęłaś, jeżeli miałaś dość szmalu. Umarła za darmo tak, jak zaplanowałem to ja. Ugotowana żywcem, wijąc się z bólu i błagając o litość.*

– Co za bełkot...

Komisarz chwycił myszkę i nieco przewinął stronę. Przyjrzał się zdjęciu, na którym uwieczniono Martę Werską z drinkiem w ręce siedzącą w stroju kąpielowym na skraju basenu. Była to pewnie fotografia z jakichś wakacji.

– To zdjęcie stało w salonie – wyjaśniła Haler. – Doskonale je pamiętam, choć zostało odwrócone bokiem do ściany. Nie znaleziono na nim żadnych odcisków palców, ale sprawca musiał je ruszać. Na stronę internetową wrzucił skan lub, co bardziej prawdopodobne, jego zdjęcie wykonane telefonem komórkowym. Wydaje mi się, że dostrzegam refleksy świetlne od szkła, ale ma się tym zająć ViSir.

– Ten sukinsyn działa według szczegółowego planu – wtrącił się Brzeski. – W jego działaniach nie ma nic przypadkowego...

– Cytujesz słowa Tamary?

– Właściwie to...

Deryło machnął ręką. Natychmiast pożałował tej opryskliwości i nie chciał drażnić tematu, zbytecznie tracąc czas. Ponownie przewinął stronę. Pojawiła się kolejna notka.

*Monika Liber – kura domowa i niewolnica. Umarła już dawno, całkowicie podporządkowując się swojemu mężowi. Niegdyś kobieta pełna życia oraz rozmaitych pasji. Odeszła z tego świata, nie pozostawiając po sobie niczego.*

Pod spodem wyświetliło się kolejne zdjęcie. Figurowała na nim Monika Liber z mężem, oboje uśmiechnięci i przytuleni do siebie. Fotografię wykonano zapewne w jakimś studio, bo za nimi rozciągało się jednolite, błękitne tło. W rogu widniała data sprzed niespełna dwóch lat. Mimo to Dariusz Liber wyglądał na zdjęciu znacznie zdrowiej i o wiele młodziej niż obecnie. Pomijając nawet to, czego doświadczył.

– Natomiast to zdjęcie stało na parapecie w kuchni. – Haler przymknęła oczy wyraźnie zadowolona, że pamięta te szczegóły. – Zwrócono je bokiem do okna, co wydało mi się dziwne już w trakcie naszych oględzin. Z żadnego miejsca w pomieszczeniu nie byłoby widać twarzy. Pomyślałam, że może przesunięto je w trakcie ścierania kurzy lub przez przypadek...

Deryło westchnął. Wyprostował się i włożył dłonie do kieszeni. Potrzebował kolejnej kawy, ale nie chciał marnować czasu na wędrówkę do automatu.

– Po co to zrobił? – zapytał najprościej, jak było można. – Macie jakieś pomysły?

Haler bezradnie wzruszyła ramionami.

– Zastanawia mnie rozdźwięk pomiędzy opisami ofiar. Z jednej strony morderca upokarza Werską, a z drugiej jedynie drwi z Liber. To subtelna różnica, ale po raz kolejny uderza mnie zaburzenie w jego *modus operandi*. Sprawca nie ma konkretnego stosunku do ofiar. Nie czuję w nim bezpośredniej

złości lub nienawiści.

– I o czym miałyby to świadczyć? Że wybiera ofiary przypadkowo?

– Nie. W jego działaniach nie ma ani krztyny przypadku. Tego jestem stuprocentowo pewna.

– Może te kobiety wcale go nie interesowały, a chodziło jedynie o wyrażenie własnych chorych emocji... Potrzeba mu do tego ofiar, ale te nie są ważne same w sobie. Musi zabijać, aby...

Deryło zauważył, że Haler przygryzła wargę i wbiła w niego dziwnie świdrujące spojrzenie. Zamrugła, jakby starając się przywołać do rzeczywistości.

– Co jest? Mam coś na twarzy?

Tamara pstryknęła palcami.

– Właśnie uchwyciłeś kolejne sedno! Niech to cholera, mamy mało czasu!

Brzeski oraz Deryło spojrzeli na nią zdezorientowani. Haler nerwowo poderwała się od biurka.

Śmierć uważała, aby nie przekroczyć czerwonej linii nakreślonej sprayem na podłodze. Oznaczała ona granice obszaru uchwyconego w obiektywach dwóch kamer oraz aparatu. Zielone diodki informowały, że właśnie trwa relacja na żywo. Wszystko szło zgodnie z planem.

Po pracowitym ranku należało się jej odrobinę odpoczynku, ale lada moment czekało ją mnóstwo pracy. Powoli podeszła do jednego z laptopów, po czym zerknęła na ekran. Licznik odwiedzin witryny powoli wzrastał. Zapewne wśród gapiących się w nieruchomą scenografię byli już śledczy. Może nawet sam Deryło oraz ta nadgorliwa siksa.

Musieli zabawnie wyglądać, wpatrując się w obrazek, który równie dobrze mógł być zdjęciem. Żaden szczegół nie mógł im pomóc zlokalizować miejsca nagrania. Poza tym zhakowanie zabezpieczeń łącza było niemal niemożliwe. Nawet gdyby udało się ustalić lokalizację serwera, musiało to potrwać bardzo długo. Tymczasem wszystko miało rozegrać się już wkrótce. Właściwie mogli zaczynać lada moment. Pozostały tylko ostatnie przymiarki oraz próba dźwięku.

No i jeden istotny element.

Śmierć zatrzymała się przed metalową klatką, w której znajdował się szary szczur z grubym łysym ogonem. Pierwotnie miał stanowić jeden z elementów przedstawienia, ale był zbyt oporny na szkolenie. Właściwie okazał się sporym rozczarowaniem.

Śmierć otworzyła drzwiczki i wyciągnęła szczura. Zwierzę wiło się jak oszalałe, cicho przy tym popiskując. Długie zęby co rusz przecinały powietrze.

– Jesteś przeszłością – wycedziła. – Tylko nieważnym wspomnieniem.

Zacisnęła dłoń, miażdżąc szczura w uścisku. Czuła, jak łamiące się kości wbijają się w organy wewnętrzne gryzonia. Jego pyszczek rozwarł się i wyciekła z niego krew. Oczy wytrzeszczyły się, jakby miały wystrzelić. Zwierzę po raz ostatni przeciągle pisnęło. Śmierć z odrazą cisnęła nim o podłogę.

– W końcu o tobie zapomnę – szepnęła.

Chwilę później upewniła się, że sprzęt działa i skierowała się do wyjścia. Do zrobienia została jej tylko jedna rzecz. A później będzie można wszystko zaczynać.

Zatarła ręce, ciesząc się z tego, jak bardzo ci gnoje się zdziwią. Będzie miała z tego niezły ubaw. Jednak nagle, jakby tchnięta niespodziewanymi wątpliwościami, położyła dłoń na kłamce i spuściła głowę. Przez moment trwała w bezruchu. Po dwóch sekundach energicznie pchnęła drzwi, po czym wyszła na polowanie.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie działania zabójcy są skrzętnie planowane, zastanówcie się, po co mógł uruchomić tę stronę.

Haler wyzywająco popatrzyła po Deryle oraz Brzeskim.

– Chyba nie mamy wątpliwości, że uruchomił ją właśnie morderca, prawda? – dopytała, jakby sama nie miała co do tego żadnych wątpliwości. – Nie tylko przyznał się do autorstwa, podpisując fotografię Werskiej, ale co więcej, tylko on mógł zdobyć oba zdjęcia.

– Do sedna, Tamaro...

– Uznajmy, że zarówno sauna, jak i pokój, w którym przybito do stołu Monikę Liber, to swego rodzaju scenografie. Oczywiście zaaranżowane dla konkretnego odbiorcy. Stąd napis „cierp”.

– Świetnie, tylko dalej nic mi to nie mówi.

Haler pstryknęła palcami.

– Czym się różnią tamte scenografie od tej transmitowanej w internecie? – zapytała tryumfalnie. Wobec nerwowego milczenia po chwili sama sobie odpowiedziała: – Ta z internetu nie ma swoich bohaterów. Morderca dopiero będzie potrzebował aktorów – czyli kolejnych ofiar.

Słowa podkomisarz zawisły w powietrzu. Deryło cicho wypuścił powietrze i zacisnął pięści. Dopiero teraz coś mu się przypomniało. Jak oparzony dopadł do komputera i kilkakrotnie kliknął. Niezadowolony z rezultatu pchnął myszkę ku Brzeskiemu.

– Uruchom ten filmik sprzed chwili. Nie wiem, jak się obsłużyć tym cholerstwem.

Aspirant posłusznie wykonał polecenie. Na ekranie pojawiła się ta sama scenografia, którą wiedzieli przed paroma minutami.

– Mówisz o aktorach i bohaterach? – Deryło łypnął na Halera. – Widzisz to? – Wyciągnął palec, niemal dotykając opuszką monitora.

– To chyba lalki. Albo leżące marionetki.

– Tak, to cholerne lalki.

– Nic niezwykłego w scenografiach, które...

Deryło przerwał jej, kręcąc głową z nerwowym uśmiechem. W kilku zdaniach streścił rezultaty sekcji przeprowadzonej przez Gawińskiego, a przede wszystkim opowiedział o odkryciu, którego patolog dokonał w drogach rodnych Moniki Liber.

– Miałem ci o tym opowiedzieć już kilka razy i w końcu kompletnie zapomniałem.

Haler sięgnęła do kieszeni, lecz wyciągnęła z niej jedynie puste opakowanie po drażach. Rzuciła je do kosza na śmieci. Na jej twarz wystąpił wyraz bezgranicznej koncentracji. W podobnych chwilach promieniała niespotykaną energią, jej oczy lśniły, a policzki nabierały naturalnego koloru. Delikatne, niemal dziewczęce rysy nabierały ostrzejszego, wyzywającego wyrazu.

– Drogi rodne to nie tylko symbol kobiecości, ale również nowego życia – odezwała się po krótkim namyśle. – W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku w Chicago działał niejaki Kurt Welcer, który wycinał sromy swoich ofiar. Robił to wściekły na świat, że jego żona trzykrotnie poroniła. Natomiast Kuba Rozpruwacz... – Halera odchyliła głowę, jakby patrzyła w sufit, jednak miała przymknięte oczy – on również profanował ofiary. Choć teorii co do jego motywacji było mnóstwo, dopuszcza się chęć dodatkowego pohańbienia prostytutek. Tyle że Werska była prostytutką, ale Liber z pewnością nie...

– Może wypadałoby staranniej zgłębić jej biogram.

– Nie sądzę. Jemu chodzi o coś innego, choć wepchnięta lalka na pierwszy rzut oka symbolizuje dziecko. Może mieć na celu jedynie upokorzenie ofiary... Pamiętajmy, że nie potraktował w ten sposób Werskiej.

Brzeski, który przez ostatnie minuty chodził w tę i w tę po gabinecie, zatrzymał się w pół kroku.

– Być może nie chciał psuć scenografii. Zamknięte drzwi sauny, trup w środku... Gdyby miał wsadzić w nią lalkę, musiałyby wszystko naruszyć.

Haler z uznaniem pokiwała głową. Nagle otworzyła oczy i spojrzała nieobecny wzrokiem przed siebie.

– Mamy dwa wnioski. Po pierwsze, aby osadzić w tym widowisku aktorów, trzeba ich do tego nakłonić. Podejrzewam, że nakłonienie może polegać albo na przyciągnięciu trupów – Tamara wymownie zawiesiła głos – albo – podjęła po chwili – na porwaniu i skrępowaniu żywych. Wedle uznania sprawcy.

Deryło nerwowo podrapał policzek. Przesąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie potrafił beczynnie przysłuchiwać się tej teorii, która niestety układała się w logiczną całość.

– Po drugie... – ciągnęła Haler – dopiero teraz coś sobie przypomniałam. Werski, gdy rozmawialiśmy z nim na tarasie domu jego córki, powiedział jedno ciekawe zdanie. Niepasujące do reszty, cholernie sztuczne i teatralne.

– Co masz na myśli?

– „Skoro nie ma Boga, nie ma kary”, mniej więcej tak to ujął. Pamiętasz?

– Uznajmy, że tak.

– Nikt się nie wypowiada w ten sposób. Tym bardziej w chwili, gdy parę metrów dalej leżą zwłoki czyjejś córki. Dziś rano poszperałam co nieco i znalazłam coś ciekawego. To wolny cytat z *Braci Karamazow*. – Haler przeniosła spojrzenie na komisarza. – A Dostojewskiego często adaptuje się na sztuki teatralne, prawda?

– Powiedzieli o co chodzi?

– Nie. Mamy tylko zachować najwyższą ostrożność.

– Nigdy tak nie mówią.

– Zapewne, to wyjątkowa sytuacja. Ponoć polecenie z wydziału kryminalnego...

– Bardziej martwiłbym się, gdyby chodziło o narkotyki. Nie wyobrażasz sobie, co te naćpane gnojki potrafią zrobić. Są całkowicie nieobliczalni.

Sierżant Kluzik rozparł się w fotelu i na potwierdzenie swych słów wymownie pokiwał głową. Zerknął na starszą posterunkową, która prowadziła auto. Joanna Rybicka miała dwadzieścia sześć lat, rdzawe włosy zebrane w kitę i kształtny nos. Jedynie jej wargi były nieco zbyt cienkie, jakby przez cały czas je gniewnie zaciskała. Sprawiała przez to wrażenie nieco ponurej. W rzeczywistości była wyjątkowo pogodnym policyjnym żółtodziobem, co Kluzikowi bardzo się podobało. Po paru latach spędzonych na służbie wreszcie miał przed kim się popisować. Do tego widział, że posterunkowa chłonie jego słowa niczym prawdę objawioną.

– Nigdy nie miałam do czynienia z kimś kompletnie naćpanym – odezwała się, dodając gazu. Prowadziła zaskakująco dynamicznie i pewnie. – Wiadomo, spotykało się osoby palące trawkę, nawet wciągające jakieś proszki, ale nikt z nich nie odlatywał na ponuro lub agresywnie.

– Czyżbyś broniła powszechnego dostępu do ziółka?

– Nie. Mówię tak, po prostu...

– W takim razie posłuchaj. – Kluzik poprawił pas i ponownie przybrał mentorski ton. Jego pyzata twarz z wyłupiastymi oczami upodabniała go do średniowiecznego mnicha wygłaszającego kazanie. – Jakiś rok temu, może nieco więcej, dostaliśmy zgłoszenie o stłuczce. Rozumiesz? Zwykła stłuczka. Byłem wtedy z sierżantem Grolskim, ale to nieważne. Przyjechaliśmy na miejsce, rzeczywiście nic nadzwyczajnego, jedno auto wjechało drugiemu w tyłek. Trochę pogiętej blachy, trochę szkła, ale żadnych rannych. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Kluzik zamilkł, upewniając się, że posterunkowa uważnie go słucha. Gdy oderwała na chwilę wzrok od drogi i zerknęła na niego z zaciekawieniem, kontynuował opowieść:

– Jeden z kierowców od razu wydał mi się podejrzanym. Chodził wokół swojego auta, nieco bełkotał, ale nie było czuć od niego alkoholu. Balonik też nic nie pokazał. – Sierżant odchrząknął znacząco. – Słuchaj uważnie, właśnie przechodzę do sedna.

Rybicka z żywym zainteresowaniem pokiwała głową.

– Pamiętam go doskonale. Miał dwadzieścia lat, krótkie, kręcone włosy i pociągłą twarz z dołkami w policzkach. Na pewno kojarzysz ten typ amorka w nieco włoskim wydaniu. Na sto procent podobał się dziewczynom. Swoją drogą, lubisz facetów z kręconymi włosami?

– Ja... Chyba tak... Lubię.

Kluzik z zadowoleniem odnotował, że jego pytanie wprowadziło posterunkową w zakłopotanie. Starał się zapamiętać, aby wrócić do tego tematu za jakiś czas. Teraz najważniejsza była historia.

– Staraliśmy się uprzątnąć cały ten syf. Przyjechała pomoc drogowa, ktoś zbędnie wezwał karetkę, zrobiło się zamieszanie. Nagle zobaczyłem, że ten chłopak łapie się za głowę, jakby dopiero zdał sobie sprawę, co się stało. I wiesz co?

– Nie mam pojęcia.

– Wybiegł na jezdnię, żeby podnieść jakiś kawałek, który odpadł z jego auta. Fragment zderzaka albo reflektora, już nie pamiętam. To zresztą nieważne. – Kluzik parsknął. Milczał przez kilka sekund, budując napięcie. – Kobieta prowadząca volvo, aby go ominąć, gwałtownie skręciła w lewo, wjechała na chodnik i przygwoździła do latarni matkę niosącą na rękach dziecko.

– O Boże...

– Jatka totalna. Oczywiście okazało się, że chłopak był na haju. Poza tym... Jesteśmy na miejscu?

Kluzik z niechęcią przerwał opowieść. Wyszli z auta i skierowali się w stronę szeregowego domu, którego adres podano w zgłoszeniu. Tabliczka z numerem wisiała obok wejścia do przeszklonej klatki. Był to budynek z lat osiemdziesiątych, niedawno odświeżony, ale ponury wątpliwym urokiem czasów PRL-u. Drzwi stały uchylone, więc Kluzik odruchowo je pchnął.

– Mieliśmy tylko zadzwonić.

– Jednak skoro już jesteśmy na miejscu...

Sierżant dziarskim krokiem ruszył przodem. Wszedł po kilku stopniach dość jasnej klatki schodowej. Wokół ustawiono mnóstwo kwiatów oraz egzotycznych roślin – juk, dziwnych paproci, niewielkich palm. W powietrzu unosił się duszny zapach podgrzanej przez wpadające zza okna słońce wilgotnej ziemi.

– Ładny ogród. – Kluzik skierował się na piętro. – Zdaje się, że tu będą drzwi do części mieszkalnej.

Zapukał w metalową poręcz i głośno zakaszłał.

– Halo, jest tu kto?

Kolejne drzwi były otwarte na oścież. Gdy policjant zajrzał do środka, natychmiast sięgnął ku kaburze. Jego palce niezgrabnie przeczeszały powietrze.

– O, kurwa...



Deryło wciskał pedał gazu citroëna do oporu. Nie był przekonany, czy w obecnej sytuacji pośpiech był niezbędny, lecz pędził siłą irytacji. ViSir oraz Brzeski zostali na komendzie zawaleni robotą. Informatyk otrzymał zadanie sprawdzenia serwerów strony z nagraniem, próbując ustalić, skąd prowadzona jest transmisja. Miał również informować komisarza o wszelkich zmianach w scenografii. Jego kolejnym krokiem miało być namierzenie miejsca, skąd zadzwoniono do komisarza z telefonu Haler.

Tymczasem aspirant miał sprawdzić kamery w klubie, w którym była Tamara, oraz ewentualnie z miejskiego monitoringu obejmującego trasę, którą przebyła. To mógł być sposób na bezpośrednie uchwycenie tropu sprawcy. Choć nawet, gdyby jakimś cudem to się udało, Deryło spodziewał się zobaczyć człowieka w obszernej bluzie z kapturem i szalikiem szczelnie zasłaniającym twarz. Nie wierzył w fuksa.

Cień podejrzania, który padł na Werskiego, przyprawiał go o lawinę pytań. Czy ktokolwiek był zdolny zamordować – i to w taki sposób – własną córkę? Co mogłoby go do tego pchnąć? Wreszcie, jaki był związek między dwudziestokilkuletnią luksusową prostytutką a stateczną gospodynią domową?

Jako odległy nierokujący powodzenia trop, Deryło wysłał dwóch funkcjonariuszy, by rozpytali światek sutenerski, z którym była związana Marta Werska. Spodziewał się jednak, że każdy zagadnięty będzie miał alibi. Jednocześnie nieustannie zastanawiał się nad rolą sierżanta Dębskiego, po którym kolejny dzień nie było śladu. Mężczyzna nie miał żadnych bliskich, których można by o cokolwiek wypytać. Po prostu zapadł się pod ziemię. Uwagę zwracała jedynie jego przeszłość – nie tak przejrzysta, jaką powinien się cieszyć każdy policjant. Kontakty ze światkiem przestępczym, pobicie, niezbyt pochlebna opinia przełożonych – aż dziw brał, że jedyną restrykcją, która go spotkała, była nic nieznacząca nagana.

Wszystkie te myśli sprawiały, że Deryło czuł się sfrustrowany. Nie lubił spraw, które powodowały w jego głowie tak wielki chaos. Nie chodziło o brutalność lub ciężar gatunkowy popełnianych zbrodni, a właśnie o liczne wątki poboczne, które mogły okazać się ślepych uliczek. Choćby teraz, jadąc do mieszkania Werskiego, być może po prostu marnowali czas. Policjant, który dotarł na miejsce, wezwał wsparcie i to było wszystko, o czym wiedział. No, poza tym, że wezwanie nie opierało się na kodzie bezpieczeństwa wymagającym przysłania antyterrorystów.

Komisarz kątem oka zerknął na Tamarę. Haler siedziała wyprostowana z półprzymkniętymi oczami i międląc palcami wargę. Wydawało się, że coś do siebie szepcze, lecz warkot silnika citroëna zagłuszał jej słowa. W przedpołudniowym, miękkim świetle jej rysy nawet mimo skupienia wydawały się wyjątkowo łagodne. Przypominała dobrze ułożoną dziewczynę przygotowującą się do egzaminu. Nieco zestresowaną, lecz jednocześnie pewną swojej wiedzy. Dziewczynę, z której biło wewnętrzne dobro i od której każdy wokół beczelnie by zżynał, nie zamierzając się niczym odwdzińczyć.

Deryło znów pomyślał o porannej rozmowie. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz i jeszcze mocniej złapał kierownicę.

– Uważaj na siebie – powiedział, siłąc się na obojętny ton.

Wyrwana z zamyślenia Haler otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Co takiego, tatuśku?

– Zmartwił mnie ten sukinyński telefon, więc powiedziałem, żebyś się pilnowała. Poprosiłem cię o to.

– Mhm.

– To cała odpowiedź? Mhm?

– Przepraszam... Staralam się uporządkować wszystkie dane.

Deryło dał sobie spokój z dalszym moralizatorstwem. Doskonale wiedział, że nic nie jest w stanie wyrwać Haler ze stanu katatonicznego zamyślenia nad detalami sprawy. Poza tym wielokrotnie jej

analizy okazały się nadzwyczaj trafne i przyczyniały się do przełomu.

Kilka minut później, gdy wysiedli z auta, dziarsko ruszył przodem. Na miejscu czekała już dwójka policjantów. Młoda posterunkowa natychmiast wskazała im pucołowatego sierżanta, który niczym cerber stał na schodach.

– Drzwi były otwarte – jęknął usprawiedliwiająco. – Weszliśmy do środka, a tam... Niech pan sam zobaczy, komisarzu, nie chcieliśmy niczego ruszać. Nie wiem, co to za sprawa i...

Deryło minął go bez słowa. Wbiegł po kilku schodkach, po czym zatrzymał się w progu przedpokoju. Spojrzał na podłogę, po której poniewierały się ubrania strącone z przewróconego wieszaka, leżał rozbity telefon oraz widniały krwawe, drobne rozbryzgi. Jednak nigdzie nie było widać ciała. Za to na samym środku leżała szmaciana lalka z oberwaną głową. Głowa została położona bliżej wejścia, tuż obok wycieraczki. Deryło pochylił się, aby się jej uważniej przyjrzeć. Nagle coś przykuło jego uwagę.

– Niech to cholera... – wyszeptał.

– „Nadszedł czas, by cierpieli podwójnie”.

Haler odczytała zdanie napisane markerem na twarzy lalki i zerknęła na Deryłę. Oboje byli całkowicie zbici z tropu. Komisarz przytknął palec do ust, po czym gestem pokazał, że powinni sprawdzić mieszkanie. Sięgnął po służbowego glocka i cicho przestąpił próg. Tamara jeszcze raz zerknęła na lalkę. Po chwili podążyła za nim.

Rozejrzeli się po niewielkim, zabałaganionym przedpokoju i skierowali ku pomieszczeniu po lewej stronie. Była to kuchnia, niemal pozbawiona sprzętów, z lodówką oraz kuchenką gazową. Na parapecie okiennym stały dwa wysokie kaktusy.

Deryło cofnął się i z zaskakującą sprężystością skierował ku niewielkiej sypialni. Drzwi do niej były otwarte, więc już z przedpokoju rzucało się w oczy niepościelone łóżko. Również to pomieszczenie było zaskakująco puste. Poza łóżkiem znajdowała się w nim jedynie niewielka szafa. Komisarz podszedł do niej i zdając się na asekurację Haler, delikatnie otworzył drzwi. W środku wisiało kilka koszul oraz marynarek. Na półce poniewierały się nieposkładane skarpetki i bielizna. Część sprawiała wrażenie noszonych, lecz nieupranych.

– Tss...

Deryło wskazał, by wyszli z sypialni i skierowali się do następnych drzwi. Haler skinęła głową, po czym bezgłośnie wycofała się do przedpokoju. Wyciągnęła przed siebie broń. Nie miała wątpliwości, że podążali bezpośrednio za sprawcą. Zabójca dwóch kobiet musiał być w tym mieszkaniu całkiem niedawno i zostawił im jasną wiadomość. Wiedział, że również tu dotrą. Przewidział ich działania, a jednocześnie nie bał się, że go ubiegną. Do tego pogrywał z nimi, zostawiając jasną wiadomość...

Haler zmusiła się, by przestać myśleć o lalce. Musiała się skupić na osłanianiu Deryły, który właśnie szykował się do otwarcia kolejnych drzwi. Szarpnął je, po czym wpadł do kwadratowej łazienki z kabiną prysznicową oraz niewielką wanną. Nagle serce podeszło Tamarze do gardła. Dostrzegła jakiś cień przemykający tuż obok komisarza. W ułamku sekundy jej palec musnął spust pistoletu, a mięśnie się napięły. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że za szarym ręcznikiem wisi spore lustro, które odbijało światło. Odetchnęła. Nieco się rozluźniła i opuściła broń.

– Pusto... – szepnęła sama do siebie.

Już wcześniej oceniła, że w widocznym z przedpokoju salonie nikt nie mógł się zaczaić. Nie było też miejsca, by mogli przegapić zwłoki. Znajdowały się w nim jedynie okrągły stół, dwa krzesła oraz dwa regały z szufladami. Całe mieszkanie przypominało lokum ascety z minimalną liczbą potrzebnych przedmiotów.

Deryło cicho wypuścił powietrze i spojrzał na nią uważnie.

– Tam na podłodze leży twój telefon, prawda? – zapytał cierpko.

Haler skinęła głową.

– To znaczy, że ViSir i Brzeski mogą nie tracić czasu na sprawdzanie, skąd do mnie dzwonił.

– Podejrzewam, że tak.

– Cholera... Był tu kilka godzin temu i zażartował sobie, dzwoniąc z komórki, którą wczoraj ci ukradł.

Deryło zacisnął zęby. Ciężko oddychając, powiódł wzrokiem po wnętrzu. Jego spojrzenie spoczęło wreszcie na lalce leżącej przy drzwiach wejściowych.

– I co on chce tym pokazać? – Syknął wściekle, po czym nagle ponownie łypnął na Tamarę. Zmarszczył czoło. – A jeśli to rzeczywiście zrobił Werski? Jeśli pozoruje swoje zniknięcie i cała ta sceneria to kolejny żart?

Haler znów odpląnęła w myślach. Schowała pistolet do kabury. Z półprzymkniętymi oczami rozglądała się wokół, cicho coś mamrocząc. Jedną ręką skubała przy tym wargę, a w drugiej międlila znalezione w kieszeni puste opakowanie po drażach. Deryło pomyślał, że gdyby nie wiedział, jaki proces

rozgrywa się w jej mózgu, uznałbym ją za niespełna rozumu.

– Halo, Tamaro, mówię do ciebie...

– Tak, tak...

– Słyszałaś, co powiedziałem? Co myślisz o mojej błyskotliwej koncepcji?

Haler powoli otworzyła oczy. Jej spojrzenie wciąż było pozbawione ostrości, jakby wpatrywała się w coś daleko poza murami budynku.

– „Nadszedł czas, by cierpieć podwójnie” – wyrecytowała w zadumie.

– Tak tam napisał. Masz jakiś pomysł?

– Chyba... Daj mi chwilę pomyśleć.

Jeszcze raz rozejrzała się wokół. Nie zwróciła uwagi na dwójkę policjantów przyglądającą się jej z progu mieszkania. Zachowywała się, jakby była całkowicie sama. Nagle pstryknęła palcami i przeniosła spojrzenie wprost na komisarza. Teraz jej oczy skrzyły się ożywione jakąś nagłą myślą.

– Od początku byliśmy w błędzie – szepnęła. – Pomyliliśmy się, Eryku. Bardzo się pomyliliśmy...

Haler zbiegła po schodach i wypadła na dwór. Myśli kłębiły się jej w głowie, powodując duszności. Czowała się, jakby zaraz miała zemdleć. Szybko i łapczywie nabierała powietrza. Zbladła, a na jej czole pojawiły się kropelki potu. Oczy skrzyły się jak u chorego trawionego wysoką gorączką.

– Wszystko w porządku? – Deryło pośpiesznie podążył za nią.

Stanął obok i z troską chwycił ją pod ramię. Powoli, pozwalając wesprzeć się na swoim ramieniu, odprowadził ją na bok. Kątem oka dostrzegł, że dwójka policjantów, którzy przyjechali pierwsi do mieszkania Werskiego, wymienia między sobą szeptem jakieś uwagi. Na ulicy zachrząściły koła ciężkiego auta. Komisarz pomyślał, że ktoś wezwał wóz techników, lecz była to jedynie śmieciarka. Prócz nich jeszcze nikt nie wiedział, że to miejsce jest ściśle związane z zabójcą dwóch kobiet. Że nazaczył je swoją obecnością, z rozmysłem pozostawiając ślady.

– Przepraszam...

Haler zatrzymała się i powoli uspokajała oddech. Była wyraźnie zmieszana. Spuściła wzrok, po czym odwróciła się bokiem do komisarza.

– Za co? – Deryło taktownie trzymał się nieco na uboczu. – Nie masz za co przepraszać.

– Pomyliliśmy się... Powinnam pomyśleć o tym od razu.

– O czym ty mówisz?

Tamara wyprostowała się i ponownie spojrzała na komisarza. Wierzchem dłoni otarła pot z czoła, po czym poprawiła zebrane w kitę włosy. Była ponownie opanowana. Po słabości sprzed chwili pozostały tylko lekko zaróżowione policzki. Jej oczy odzyskały naturalną bystrość.

– Dla zabójcy nie liczyło się cierpienie ofiar – odezwała się markotnym tonem. – To, co im zaserwował, miało na celu sprawić, by cierpieli ich bliscy. Jego przesłanie nie było skierowane ani do zamordowanych kobiet, ani tym bardziej do nas. Rozumiesz?

Deryło wbił w nią uważne spojrzenie. Ze zrozumieniem pokiwał głową i cicho zaklął.

– „Nadszedł czas, by cierpieli podwójnie...” – szepnął.

– Właśnie. To jego przesłanie.

– Teraz zamierza zapolować na ich bliskich.

Haler ponuro przytaknęła.

– Na jedną osobę już zapolował. Nie mam wątpliwości, że Werski nie spreparował własnego uprowadzenia. Nie wiem, co ma wspólnego ze światem sztuki i skąd ten cytat z Dostojewskiego, ale on jest kolejną ofiarą. Zresztą może doszukiwałam się drugiego dna tam, gdzie go nie było.

– Daj spokój...

Deryło lekceważąco machnął ręką i pośpiesznie skierował się do Citroëna. Z kieszeni wyciągnął kluczyki. Po chwili ponownie je schował, po czym sięgnął po komórkę.

– Co zamierzasz? – Haler dogoniła go już na podjeździe. – Musimy...

– Tak. – Deryło wybrał numer Brzeskiego i odczekał, aż ten odbierze. – Musimy odnaleźć bliskich Moniki Liber. Niech ktoś pilnuje jej męża oraz ewentualne inne osoby. Przyjaciół, krewnych, wszystkich... No i – otworzył drzwi auta – niech ktoś sprawdzi siostrę Marty Werskiej. Zdaje się, że ma na imię Daria.

Rozłączył się, po czym wsiadł do samochodu.

– To wszystko potrwa – warknął. – A my nie mamy czasu do stracenia.

Posterunkowa Nowak odstawiła kubek kawy i przetarła oczy zmęczone od wpatrywania się w ekran komputera. Od trzech godzin prowadziła kwerendę dla komisarza. Szukała jakichkolwiek informacji, które mogłyby wskazywać na związek pomiędzy Martą Werską i Moniką Liber. Cokolwiek. Wspólni znajomi na portalach społecznościowych, ta sama ulubiona knajpa, zespół muzyczny, jakkolwiek zbieżny im element. W internecie teoretycznie można było znaleźć wszystko. Teoretycznie. Jak dotąd Nowak nie odnalazła nic, co mogłoby łączyć obie kobiety. Poszukiwania były o tyle utrudnione, że Monika Liber miała co prawda konto na jednym z portali społecznościowych, ale najwyraźniej korzystała z niego bardzo sporadycznie.

Nowak zerknęła do zeszytu, w którym zanotowała adresy stron, które powinna sprawdzić. Wykreśliła kolejny z nich. Zostało już tylko kilka spośród tych najmniej rokujących. Serwisy dla pracowników oraz pracodawców w przypadku obu kobiet raczej nie miały prawa cieszyć się zainteresowaniem. Mimo to posterunkowa z pełnym zaangażowaniem kontynuowała poszukiwania. Nie bez kozery pokątnie nazywano ją „Posterunkową Gestapo”. Przemawiała za tym nie tylko jej fizjonomia dość postawnej blondynki z błękitnymi oczami, ale przede wszystkim legendarna wręcz skrupulatność. Deryło żartował, że gdyby miał sporządzić listę osób do rozstrzelania, powierzyłby to zadanie właśnie Nowak.

W momencie, gdy posterunkowa wpisywała kolejne hasło, ktoś pchnął drzwi gabinetu. Do środka wszedł aspirant Brzeski. Miał ponury wyraz twarzy i zaciśnięte usta. Zatrzymał się w progu, jakby nie wiedział, czy powinien zbliżyć się do posterunkowej. Oparł się o ścianę.

– Daj sobie spokój z szukaniem – odezwał się markotnie. – Zdaje się, że nie znajdziesz związku między tymi kobietami.

Nowak odsunęła się nieco od biurka i spojrzała na niego pytająco.

– Zmiana koncepcji?

Aspirant wzruszył ramionami.

– Już sam nie wiem. Komisarz chce, żebyśmy teraz szukali informacji o ich bliskich oraz związków właśnie między ich bliskimi.

– To może potrwać...

– Wiesz, że on chce wszystkiego na wczoraj. Tyle że sprawa dostała najwyższy priorytet, więc nawet ViSir ma rzucić swoją robotę i zająć się szukaniem tych informacji.

– Skoro tak... No to do roboty.

Nowak rezolutnie odsunęła kubek po kawie i złożyła zeszyt. Przeciągnęła się, po czym na powrót sięgnęła po myszkę.

– Swoją drogą... – ciągnął Brzeski – zapewne masz gdzieś zanotowany numer do domu Liberów?

Posterunkowa zerknęła na niego z ironią. Po chwili pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Niemiecka skrupulatność, co? Zdaje się, że ciągle się z tego nabijacie.

– Nabijanie to chyba złe słowo... Zbyt mocne.

– Nie obrażam się. Po prostu mówię.

Nowak ponownie otworzyła zeszyt i przekartkowała go, co rusz zwilżając opuszkę palca śliną. Po chwili odnalazła właściwą stronę.

– Przepisać ci ten numer?

– Zadzwoń i poinformuj Libera, żeby czekał na komisarza oraz Tamarę w domu. Niech zamknie drzwi i uważa na siebie.

– Czy on...

– Zadzwoń, nie pytaj. Mieliśmy zrobić to jak najszybciej.

Nowak, zaskoczona zdenerwowaniem aspiranta, sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała

numer. Odpowiedziała jej cisza. Oczekała tak długo, aż połączenie zostało rozłączone. Wymownie zerknęła na Brzeskiego.

A więc zabójca rozpoczął dziś swoje prawdziwe łowy... Właśnie tego obawiał się Deryło.

– Niech to szlag...

Deryło zaklął, gdy tylko wysiedli z Citroëna. Już przed bramy było widać, że drzwi do domu Liberów są otwarte. Przed chwilą dostali również wiadomość od Brzeskiego, że ten bezskutecznie próbuje się skontaktować z mężem zamordowanej kobiety.

– Musiał tu być zupełnie niedawno... – Haler pobiegła za komisarzem. – Ze szpitala wypisali go dopiero po dziewiątej. Rozmawiał jeszcze z psychologiem, który zamówił mu taksówkę...

– On wszystko obliczył. – Deryło wściekle pchnął furtkę, która uderzyła o metalowe ogrodzenie. – Doskonale wiedział, że najpierw wybierzemy się do Werskiego. Zdawał sobie sprawę, że stracimy tam nieco czasu...

Zatrzymał się w połowie ścieżki do domu i uważnie rozejrzał wokół. Tamara stanęła tuż obok niego.

– Sądzisz, że on...

– Nie wiem. Niech technicy sprawdzą ślady opon na podjeździe i po drugiej stronie ulicy.

– Pewnie powiedzą, że i tak robią to za każdym razem.

– Mimo wszystko wyraźnie im to nakaż.

Deryło powiódł wzrokiem po niewielkim ogrodzie. Od sąsiedniej posesji oddzielał go gęsty szpaler wysokich tui, za którymi wściekle ujadał jakiś mały pies. Podobna granica biegła na kolejnych dwóch bokach działki. Tuje były zbyt gęste, by sąsiedzi mogli przez nie cokolwiek zobaczyć. Natomiast na bocznej uliczce niemal nie jeździły samochody. Ani ostatnim razem, ani teraz Deryło nie widział na niej nawet pojedynczego przechodnia. Cholerne zapyziałe, osiedlowe uliczki.

Nagle drgnął i niemal biegnąc, ruszył do domu. Naciągnął na dłonie rękawy marynarki, po czym wszedł do środka. Nie zważał, że ma niezabezpieczone niczym buty. Wciąż tliła się w nim nadzieja, że...

– Panie Liber, jest pan tu?

Odpowiedziała mu cisza. W przedpokoju wszystko pozostało dokładnie tak, jak ostatnim razem. Znikły jedynie tabliczki z numerami dowodów.

– A może on wcale tu nie wrócił? – Deryło zrobił kilka kroków w stronę salonu.

Stół nadal znajdował się pośrodku pomieszczenia. Znaczyły go ślady krwi oraz odczynników kryminalistycznych. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, mdły zapach. Od poprzedniego dnia jedyną zmianą był brak ciała Moniki Liber i narzędzi kryminalistyków. Mimo to przed oczami komisarza stał obraz okaleczonych, skrępowanych zwłok. Na chwilę zamarł w bezruchu, wpatrując się w blat stołu. Przełknął ślinę i zacisnął zęby.

– Tego tu nie było...

Głos Haler wyrwał go z zamyślenia.

– Czego tu niby miało nie być?

Tamara podeszła do komody i wskazała na kartkę leżącą na jednej z półek. Deryło podszedł w jej stronę. Wiedział, że fotograficzna pamięć Tamary jest niezawodna. Sam starał się sobie przypomnieć, czy poprzedniego dnia cokolwiek znajdowało się na komodzie, lecz nie potrafił wydobyć tego obrazu z pamięci. Wiek coraz mocniej przytębiał jego zmysły.

– To zwykła kartka... – Haler nachyliła się tuż obok. – Dziwne.

Komisarz wziął ją przez rękaw koszuli i obejrzał pod światło. Nie zauważył żadnych śladów atramentu. Podszedł do stolika, na którym stała lampka, po czym ją zapalił.

– Co robisz? – Haler zmrużyła oczy. Nagle przez jej twarz przemknął wyraz olśnienia. – No, tak! – Entuzjastycznie klasnęła, po czym przesunęła się do Deryły. – Myślisz, że pogrywa sobie z nami w ten sposób?

– Kto wie? Zaraz się przekonamy.

– Pokaż...



Deryło niemal przyłożył kartkę do żarówki. Po chwili jego usta wykrzywił ponury uśmiech.

– No, proszę. Iście teatralna sztuczka...

Pod wpływem ciepła na nieco pożółkłym papierze pojawiły się litery.

*Będzie cierpiał, taki jego los. Czy po śmierci żony sam zapragnie umrzeć? Czy nie powinienem zrobić tego na odwrót, mówiąc mu, że wkrótce po nim umrze najbliższa mu osoba?*

Deryło jeszcze raz w myślach przeczytał tę wiadomość. Niektóre litery były słabiej widoczne, lecz poszczególne słowa nie budziły wątpliwości. Spojrzał na Haler, po czym odłożył kartkę tam, gdzie leżała.

– Pogrywa sobie z nami, czy się tłumaczy? – Tamara przygryzła wargę. – Niby tylko oznajmia, ale zamiast po prostu napisać „będzie cierpiał”, dodaje „taki jego los”. A los zazwyczaj miesza się w rozważania wtedy, gdy chce się znaleźć usprawiedliwienie...

– Nie wiem, czy mnie teraz przekonujesz.

– Stwierdzam fakt. Statystycznie nawet w trakcie mów pogrzebowych wśród najczęściej używanych słów jest „los”. Zaraz obok życia i śmierci. Bóg jest dopiero dalej.

– Może to dane ogólnoswiatowe. Chińczycy zaburzają statystyki.

Haler wzruszyła ramionami. Jeszcze raz zerknęła na kartkę. Coś przyszło jej do głowy.

– Jak myślisz, czym to napisał?

– Sokiem z cytryny? Nie wiem, muszą to przeanalizować technicy.

– A jednak wpadłeś, że mógł zostawić tak zaszyfowaną wiadomość.

– Atrament sympatyczny to jeden z gadżetów teatralnych. Poza tym... Co ty robisz?

Deryło obserwował, jak Haler nachyla się nad komodą i głęboko wciąga powietrze. Wreszcie wyprostowała się, po czym bezradnie rozłożyła ręce.

– Aromat jest niewyczuwalny, lecz mam swoją koncepcję. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że on napisał to moczem.

– Co takiego?

– Moczem oddanym w strachu przez jego ofiary. To doskonale mi pasuje do obrazu tego człowieka i do tego, na czym się skupia.

Deryło westchnął.

– Lepiej niech sprawdzą to kryminalistycy. Mam szczerą nadzieję, że się mylisz...

– Uwierz mi, że ja też.

– Zresztą, biorąc pod uwagę...

Komisarz poczuł wibrację komórki. Sięgnął po nią, nim rozbrzmiały dźwięki *Sarabande*.

– Brzeski... – wycedził do Tamary i odebrał. Przytknął telefon do ucha. – Powiedz, że coś macie.

I że nie są to złe wieści...

– Zgadza się. Chyba trafiliśmy na coś naprawdę istotnego.

Aspirant brzmiał naprawdę entuzjastycznie.

Na zakończenie rozmowy z Brzeskim komisarz nakazał mu, by wysłał pod adres Liberów kryminalistyków. Spodziewając się, że większość ekipy była zajęta w mieszkaniu Werskiego, zażądał, by natychmiast przyjechał jakiś patrol, który zabezpieczyłby okolicę. Na wszelki wypadek.

Następnie, lekceważąc pytające spojrzenie Halera, ostrożnie obszedł dom. Zgodnie z przypuszczeniami nie było w nim nic, co mogło świadczyć, że pojawił się w nim Dariusz Liber. Poza kartką z wiadomością zdawało się, że zabójca również nie zostawił więcej tropów.

– Brak jakichkolwiek śladów walki... – Deryło ponownie zatrzymał się w przedpokoju i zerknął na pozostawiony przez techników rozgardiasz. – Co o tym sądzisz?

Tamara powstrzymała się przed dopytywaniem o rozmowę z Brzeskim. To i tak było bezcelowe. Splotła ręce na piersi i przyjrzała się leżącemu na podłodze wieszakowi, ubraniom oraz butowi, który musiał spaść ze stopy wleczonej kobiety.

– Tym razem nie chciał popełnić błędu i wdać się w szarpaninę. To było ryzyko również dla niego. Wybrał czystą robotę.

– Zastraszenie bronią?

Haler cofnęła się i stanęła przy głównych drzwiach. Przyglądała się im w milczeniu. Wreszcie, gdy Deryło zaczął niecierpliwie drepcić w miejscu, spojrzała na niego wyzywająco.

– *Qui pro quod.*

Komisarz delikatnie się uśmiechnął.

– Zawsze znajdziesz sposób, aby wyrównać stan posiadania?

– Chyba na tym polega nasza praca.

– Niech będzie. Ale ty zaczynasz zwierzenia.

Haler w zamyśleniu skubnęła wargę, lecz zaraz opuściła dłoń.

– Sądzę, że dopadł go przed wejściem do domu – powiedziała po chwili. – Chciał uniknąć zostawienia kolejnych śladów poza konkretnie tym, który zaplanował. Nie wiem, w jaki sposób spacyfikował Liberę ani czy napisał wiadomość jego moczem, lecz jestem pewna, że nie pozwolił mu wejść do domu. Po powrocie ze szpitala pijesz coś lub jesz. Nawet jeśli nie masz ochoty, co by było zrozumiałe, zabierasz się za sprzątanie krwi zamordowanej żony. Większość ludzi wywietrzyłaby mieszkanie. Tymczasem nie ma nic co wskazywałoby, aby Liber zrobił cokolwiek podobnego. Nic. Kompletnie, żadnego śladu jego obecności w domu po powrocie.

– Gdyby zaatakował go w progu, nie musiałby też daleko wlec ciała. Samochodem mógłby podjechać pod samą furtkę.

– Właśnie. A on nie miał czasu. Spodziewał się, że możemy pojawić się tu w każdej chwili.

Deryło pstryknął palcami.

– Może gdzieś w pobliżu jest monitoring? Gdyby udało się nam namierzyć samochód... A może uchwycił na przykład auto Dębskiego?

– Nawet jeśli to on za tym stoi, nie sądzę, żeby był tak głupi. Doskonale wie, że jest w kręgu podejrzwanych.

– Chyba masz rację...

Haler wyszła z domu i rozejrzała się po ogrodzie. Wiał delikatny wiatr, który rozwiewał narastający upał.

– Teraz czas na ciebie. – Odwróciła się do Deryły, który wciąż stał w progu i przyglądał się drzwiom. – Co znalazł Brzeski?

Deryło założył dłonie za plecy i mlasnął. Niecierpliwie zerknął w stronę podjazdu.

– Ofiary nie znalazły się – powiedział ponuro. – Nie istniał pomiędzy nimi żaden związek, dlatego bezsensownie straciliśmy mnóstwo czasu na jego szukanie.

– A jednak mamy coś nowego. Nie potrafisz ukryć ekscytacji.

– Może? – Komisarz wzruszył ramionami. – Dariusz Liber i Karol Werski przed laty byli w trupie teatralnej oraz w teatrze lalek. Ciekawe, co? – Uśmiechnął się, po czym włożył dłoń do kieszeni i obrócił sesterca. – Chyba ten sukinsyn nie bez powodu aranżuje w internecie scenę teatralną...

Haler natychmiast podłapała temat. Na jej twarzy pojawił się znany komisarzowi wyraz koncentracji.

– Wiemy, co wystawiali? Chodzi mi o charakter występów.

– Przedstawienia dla dzieci, sztukę konceptualną, nowoczesną... O czymś takim wspomniał Brzeski. A co za różnica? Werski rzeczywiście mógł cytować Dostojewskiego.

– Nie w tym rzecz. Muszę to przemyśleć, ale...

Deryło ciężkim krokiem ruszył ku furcie.

– Co z tego, że coś odkryliśmy? Ten trop prowadzi nas do ofiar, ale nie do zabójcy...

Po zabezpieczeniu śladów Haler odzyskała przynajmniej swoją kartę SIM. Przełożyła ją do starego telefonu, który znalazła w jednej z toreb. Oczywiście doskonale pamiętała, że właśnie tam go schowała, ale widok nierozpakowanych od ponad roku rzeczy przyprawił ją o dziwne wyrzuty sumienia. Poczła się częściowo winna swojemu nastrojowi. Zamiast porzucić przeszłość i na dobre osiąść w Lublinie, tak naprawdę przez cały ten czas rozważała, czy nie powinna uciec gdzieś dalej. To nie była kwestia ostatnich dni lub tygodni. Od samego początku nie wiedziała, jaką drogę wybrać.

Gdy dowiedziała się o swojej chorobie, najpierw ją zlekceważyła. To było całkowicie normalne. Właściwie przebieg procesu osuwania się z diagnozą przypominał klasyczne etapy radzenia sobie z żałobą. Wyparcie, zaprzeczanie, niedowierzanie, potem bezsensowne pytania o sprawiedliwość, wreszcie próbowanie objęcia wszystkiego żelazną logiką. To ostatnie w jej przypadku trwało wyjątkowo długo i było procesem nad wymiar intensywnym. Właśnie wtedy podjęła decyzję o zerwaniu relacji z bliskimi. Odłożyła ją do momentu pojawienia się pierwszych poważniejszych symptomów choroby, a te nadeszły niespodziewanie szybko. Mimo że zazwyczaj nasilenie występuje po dziesięciu lub piętnastu latach od diagnozy, pierwsze długotrwałe drżenia oraz napięcia mięśniowe wystąpiły u niej już po kilku miesiącach. Potem pojawił się pojedynczy napad zagubienia. Lekarze twierdzili, że constans może utrzymywać się przez całe dekady, ale ona czuła, że tak nie będzie.

Wpadła w depresję. Dla kogoś kalkulującego życie z lodowatą precyzją pojawienie się czynnika, nad którym nie można zapanować, oznaczało konieczność całkowitego przewartościowania. Niestety, w konfrontacji z rzeczywistością przewartościowanie oznaczało brak utraty wiary w cokolwiek. W Boga, w ludzi, w przyjaźń i przyszłość. Doszła do wniosku, że tak naprawdę wszystko, ale to absolutnie wszystko, jest tylko przymusem narzuconym przypadkowo ukształtowanej materii. Dlaczego miała żyć? Dlaczego miała jeść, pić i walczyć o zdrowie? Skąd wynikał ten wewnętrzny imperatyw większości ludzi? Czy w ogóle miał sens? Przecież owo chwytnie dnia, o którym tak chętnie mówili i pisali terapeuci, przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Jeżeli ktoś cierpi, po jasną cholerę miał grzęznąć w tym cierpieniu? Chwytnie dnia nie oznaczało nic innego. Należało przecież brać chwilę taką, jaką jest.

Haler najpierw nie wiedziała, dlaczego za wszelką cenę usiłowała dostać się do wydziału kryminalnego. Dopiero gdy to się udało, zrozumiała, że kontakt z tym charakterem spraw miał być jej prawdziwą terapią. U boku Deryły nagle pojęła, że po prostu warto trwać. Dla samego trwania, ale nie dla jakiegoś niezrozumiałego z niego czerpania. Chwile bieżące często nie dawały zupełnie nic. Czasem dostarczały bólu oraz cierpienia, ale liczyło się, że były. I tyle. Ta świadomość sprawiała, że jeszcze gorliwiej wykonywała swoją pracę. Właściwie nigdy z niej nie wychodziła. Poza rzadkimi wyjątkami bez przerwy myślała o bieżących sprawach, jakby walka ze złem (jak banalnie by to nie brzmiało) stała się motorem napędowym jej woli życia. Albo, precyzyjniej mówiąc, woli trwania.

Również tego wieczoru pośpiesznie odgrzała zapiekankę makaronową, a potem zasiadła z nią przed laptopem. Nie chciała marnować czasu na jedzenie. Pochłaniała kęs za kęsem, wyszukując kolejne hasła. W internecie trafiła na parę artykułów dotyczących trupy teatralnej, do której należeli Werski oraz Liber. Znalazła nawet kilka interesujących informacji, których analizę zostawiła na później. Miała wrażenie, że wbrew słowom Deryły te przybliżają ich nie tylko do ofiar, ale i do samego zabójcy.

Gdy minęła dwudziesta trzecia otarła oczy i odsunęła pustą tackę po zapiekance. Zamierzała zamknąć laptop, lecz jej uwagę zwróciło, że pod jednym z artykułów jest czyjś komentarz. Przewinęła stronę, aby go przeczytać.

– A to ciekawe... – szepnęła do siebie.

Nagle wydało się jej, że słyszy dziwny chrobot. Oderwała wzrok od laptopa i zaczęła nasłuchiwać.

Chrobot powtórzył się. Dochodził gdzieś z przedpokoju.

Tamara podniosła się i powoli ruszyła w stronę wejścia. Gdy była w połowie drogi, dźwięk ucichł.

Sekundę później ktoś z impetem natarł na drzwi.

Deryło przymknął oczy. Siedział w fotelu i starał się odprężyć. Jediną naprawdę dobrą wiadomością tego dnia była to, że do tej pory nic nie zmieniło się ze scenografią transmitowaną na stronie internetowej. Przedstawienie wciąż się nie rozpoczęło. A tego, czego będzie dotyczyło, komisarz spodziewał się aż nazbyt mocno.

Jednocześnie ViSir ani Brzeski nie poczynili żadnych dalszych odkryć. Nie natrafiono na żaden ślad Dębskiego, a kryminaliści bezradnie rozkładali dłonie na zapytania, czy zabezpieczyli jakiegokolwiek istotne dowody. Poza odciskiem kawałka opony, który zresztą nie nadawał się do identyfikacji, nie mieli niemal kompletnie nic. Zdecydowana większość zebranego materiału musiała pochodzić od ofiar. Również zapisy monitoringu z posiadłości niedaleko domu Liberów oraz z jednego z pobliskich skrzyżowań w niczym nie pomogły. Żadne z aut nie wydawało się podejrzane, w żadnym nie dostrzeżono uprowadzonego mężczyzny. Nic. Zero.

Na domiar złego w komendzie wciąż kotłowała się giełda nazwisk typowanych do objęcia schedy po inspektorze Knapie. Robiono zakłady i podchody. Przymilano się do paru potencjalnych kandydatów, z których grona Deryło już definitywnie wypadł. Stał się przez to pariasem owianym aurą legendy, a zarazem przekleństwa. Ze zdwojoną siłą ożyły dawne niechęci oraz przypomniano sobie wybuchy złości komisarza. Ci, którzy zostali nimi dotknięci, wręcz ostantacyjnie liczyli, że jego kariera definitywnie skończy się wraz z nastaniem nowego porządku. Sprawa, którą prowadził, miała być gwoździem do jego trumny.

Deryło nic by sobie z tego nie robił, gdyby nie fakt, że niemal jawnie torpedowano jego działania. Dziwnym zbiegiem okoliczności od śledztwa odsunięto wszystkich przychylnych mu ludzi. Pozostał w nim sam ze swoim najbliższym zespołem oraz Gawińskim. Na szczęście nikt nie miał wpływu na wybór patologa, choć sama jego dalsza obecność w sprawie okazałaby się złym omamem. Dość już było ofiar.

Nostalgiczne tony *Gnossienne* Satiego nie mogły uspokoić komisarza. Zastanawiał się nad związkiem pomiędzy Werskim i Liberą. Wysnuwał różne koncepcje, by zaraz je obalić. Kolejnego ranka spodziewał się pełnego raportu dotyczącego trupy, w której grali, lecz podejrzewał, że istota problemu nie tkwi tak płytko. Że chodzi o jakiś inny stosunek, znacznie głębszy niż ten widniejący na afiszach plakatów sprzed lat. Należało znaleźć osoby, które można by o niego wypytać. Widzów? Odbiorców? Czy to o nich chodziło? Może komuś zależało na ponownym zebraniu dawno niewidzianej publiczności. Tylko w jakim celu?

Myśli Deryło powoli się plątały. Zmiał trzymanego w dłoni żurawia, ale nie wyrzucił go do kosza. Zasnął. Jego dłoń po chwili się rozluźniła, a ptak origami upadł na podłogę.

Haler chwyciła leżącą na szafce kaburę i wyciągnęła z niej służbowy pistolet. Dopadła do drzwi. Hałas ustał, lecz miała wrażenie, że ktoś jest po drugiej stronie. Zdawało się jej, że słyszy czyjś oddech.

Powoli przesunęła się i podniosła przesłone wizjera. Zerknęła przez niego, lecz nie mogła niczego dostrzec. Albo na korytarzu nie zapaliło się światło, albo ktoś umyślnie czymś zasłonił judasza. Zakłęła w myślach.

Mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu i starała się rozluźnić mięśnie. Wsłuchiwała się w ciszę. Gdzieś w oddali jechała karetka na sygnale. W sąsiedniej klatce ujadł pies, a jakaś para się kłóciła. Wszystkie te dźwięki były dalekie i stłumione.

Tamara dotknęła czołem chłodnych drzwi. A może to wszystko się jej wydawało? Może walenie w drzwi przyśniło się jej, a wyrwana ze snu lub, lunatykując, dotarła aż tu? A jeśli wciąż śniła?

Ta ostatnia myśl wydała się jej wręcz zabawna. Na moment się rozluźniła i niczym dziecko przygryzła wargę, sprawdzając, czy poczuje ból. Wargę nie tylko zabolęła, ale Haler niemal natychmiast poczuła słodki posmak krwi. Osuwała się w obłęd. Trafiła do swojego świata, świata, którego z nikim nie będzie mogła dzielić. W którym nikt jej nie zrozumie ani nie będzie potrafił odczytać jej intencji. Świata ułud i śmierci. Pustki.

Bezgłośnie chwyciła rygiel, wciąż ściskając w dłoni pistolet. Zaczęła w myślach odliczać od trzech.

Dwa.

Jeden.

Szarpnęła gałkę i natychmiast otworzyła drzwi. Niemal jednocześnie odskoczyła do tyłu, mierząc przed siebie bronią. Mimo że na korytarzu była lampa z czujnikiem ruchu, nie zapaliła się. Panowała na nim ciemność rozjaśniona jedynie przez zapaloną na dworze latarnię. Z trudem można było rozróżnić kontury przedmiotów – poręcz, drzwi sąsiadów po drugiej stronie, skrzynkę z licznikami. Z pewnością nie było na nim nikogo. Żaden intruz nie miał miejsca, aby gdziekolwiek się ukryć.

Haler odetchnęła. Zapaliła światło w przedpokoju, by nieco oświetlić piętrowo. W półmroku dostrzegła, że klosz lampy jest zdjęty, a ze środka sterczy pusta oprawka. Ktoś wykręcił żarówkę. A więc to nie było przywidzenie. Nie popadała w szaleństwo i nie lunatykowała. Ponownie mocniej chwyciła pistolet. Wychyliła się przez barierkę, by zerknąć na półpiętro. W tym samym momencie gdzieś z dołu dobiegł ją przerażający śmiech. Upiorny i opętający. Niczym z horroru... lub ze sceny teatralnej. Śmiech nagle się urwał, a na którymś z pięter ktoś otworzył drzwi.

Haler na bosaka rzuciła się po schodach w dół.

– Proszę nie wychodzić! – krzyknęła. – Policja! Zostańcie w domu!

Przeskakiwała po kilka stopni, pędząc jak oszalała. Mimo jej polecenia dostrzegła, że na pierwszym piętrze ktoś wychylał się na korytarz. W tym samym momencie trzasnęły drzwi wejściowe do klatki. Haler pognęła dalej.

Po chwili wypadła na dwór i nie bacząc, że jest w koszuli nocnej, przebiegła kilkanaście metrów. Rozejrzała się wokół. Na żadnej z osiedlowych uliczek nie było żywego ducha. Nie widziała też niczego, za czym można było się skryć. Kilka smukłych drzew, niewielkie krzewy oraz plac zabaw. Ten, kogo goniła, musiał obieć budynek, a to znaczyło, że nie miała szans go dogonić.

Chyba że po prostu zniknął.

Jakby rozpląnął się w powietrzu.



## Dzień następny

Haler postanowiła przemilczeć wydarzenia z nocy. Właściwie nie była przekonana, czy oby na pewno nie stanowiły jedynie wytworu jej wyobraźni. Z jednej strony chciała zaufać własnym zmysłom i poczytalności, z drugiej coraz częściej je kwestionowała. Wolała, aby nie robili tego inni. Jednak wstała rano z silnym postanowieniem, że jeśli dostrzeże wpływ tego chaosu myśli na wykonywaną pracę, odejdzie. O ile swoim życiem mogła szafować dowolnie, nie miała prawa ryzykować życiem nikogo innego. Tyle że przecież wykręcone żarówki nie mogły być jej fantazją...

Po niemal bezsennej nocy skoro świt zasiadła do ponownej lektury odnalezionych zeszłego wieczoru artykułów. Przynajmniej te z pewnością były prawdziwe. Prawdziwy był również zagadkowy komentarz pod tekstem zamieszczonym na jednym z lokalnych serwisów. Data sprzed wielu lat zmuszała do postawienia kolejnych pytań. Mimo usilnych poszukiwań do siódmej Tamara nie trafiła już na nic istotnego. Reszta wzmianek odnosiła się stricte do działalności trupy teatralnej, do harmonogramu jej występów lub krótkich recenzji. Powieliała dane, którymi już dysponowała. W końcu nadszedł czas ich zweryfikowania oraz skonfrontowania z ustaleniami reszty.

Dokładnie za dwadzieścia sześć ósma Haler zapukała do gabinetu Deryły. Nie czekając na pozwolenie, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Komisarz już na nią czekał. Siedział w fotelu, odwrócony bokiem do drzwi. Gdy tylko Tamara zbliżyła się do biurka, wskazał na dwie kawy stojące przed sobą na blacie i jak magik pstryknął palcami. Tyle że nic się nie stało.

– Czyżby słaba noc? – zapytał na powitanie.

Haler jedynie niewyraźnie się uśmiechnęła. Usiadła na krześle i sięgnęła po kubek. Kawa była gorąca, więc Deryło musiał wziąć ją z automatu całkiem niedawno.

– Czego się dowiedziałas?

– Aż tak widać, że coś znalazłam?

– Ręce ci się telepią.

Haler poczuła nieprzyjemne ukłucie w dołku. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że rzeczywiście jej dłonie drżały. W ogóle tego nie czuła. Odstawiła kubek i schowała ręce pod biurkiem. Po jej plecach spłynął zimny pot.

– Chyba że już wcześniej opiałas się kawą. Może nie powinnaś z tym przesadzać?

Deryło przyglądał się jej uważnie. Tamara miała wrażenie, że analizuje teraz każdy jej ruch i że zapewne już dawno ją rozgryzł. W jego oczach dostrzegła troskę. Przez moment wahała się, czy nie powiedzieć mu o wszystkim. Czuła, że niewiele brakuje, by wybuchła płaczem. Przełknęła ślinę i z trudem opanowała drżenie wargi. Zacisnęła zęby, po czym powoli nabrała powietrza jak człowiek, który przymierza się do podjęcia ważnej decyzji. W tej samej chwili Deryło uśmiechnął się i zabębnił palcami w biurko.

– No, wal. Nie duś tego w sobie. – Zerknął na nią spode łba. – Co masz?

Haler splotła dłonie na kolanach i się wyprostowała. Chwila słabości momentalnie minęła. Czuła, że jej głos będzie silny i pewny.

– Pod jednym z artykułów o zakończeniu działalności „Trupy trupów” trafiłam na interesujący komentarz. Swoją drogą, ciekawie się nazywali, co?

– Raczej kiczowato. Co to za komentarz?

– Ktoś napisał – Haler przymknęła oczy i zacytowała z pamięci: – „Oby ci gnoje już nigdy nie mieli do czynienia z dziećmi. Jeżeli tu nie ma sprawiedliwości, za grzechy zapłacą po śmierci”. To jeszcze ciekawsze od ich nazwy, nie sądzisz?

Deryło dopił kawę i odstawił kubek na biurko. Oparł się o nie obiema dłońmi. Wciąż uważnie

wpatrywał się w Tamarę.

– Wiesz, o co w tym chodzi?

Haler wymownie cmoknęła.

– Mogę się domyślać. Ale chyba wiem, jak ten temat ugryźć.

Mariusz Dębski przez kilkanaście minut przechadzał się krętymi osiedlowymi uliczkami. To właśnie był urok lubelskiego Sławina – niska zabudowa, urocze uliczki i lekko pofałdowana okolica. Wszystko to sprawiało, że na wolnych parcelach wyrastało coraz więcej rezydencji. Ludzie grodzili się, stawiali wysokie mury i płoty, instalowali systemy alarmowe oraz kamery. Tymczasem dom Liberów, choć znajdował się nieco na uboczu, był pozbawiony jakichkolwiek zabezpieczeń. Sierżant, przechodząc koło niego ukradkiem, wypatrywał jakiegokolwiek ruchu. W środku oraz na działce panowała jednak martwa cisza.

Był wczesny ranek i zdawało się, że cała okolica jest pogrążona we śnie. Żółte słońce dopiero wstawało zza dachów najniższych domów. Po niebie mozolnie sunęły fioletowawe obłoki, które z minuty na minutę się rozwiewały. Wydawało się, że delikatny, ciepły wiatr niemal niesie zapach morza. Zapowiadał się piękny, letni dzień. Sierżant jednak nie zwracał na to żadnej uwagi.

Po raz trzeci obszedł okolicę, starając się jednocześnie nie zwracać na siebie żadnej uwagi. Był ubrany w sportowe dresy oraz luźną ortalionową kurtkę. Wyglądał jak ktoś, kto rozciąga przed biegiem mięśnie. Od czasu do czasu truchtał i wymachiwał rękoma.

Z tyłu doleciał go cichy warkot silnika. Natychmiast uklęknął na jedno kolano, udając, że wiąże sznurówkę. Chowając głowę między ramionami, zerknął na przejeżdżający samochód. Na tylnej kanapie siedział siedmio-, może ośmioletni chłopczyk z nosem przyklejonym do szyby. Na głowie miał czapkę z daszkiem oraz napisem „Vespucci”. Do dachu auta przymocowano pojemnik z deską windsurfingową. Zaczynał się sezon wyjazdów na wczasy.

Sierżant powoli wstał i otrzepał spodnie. Ruszył szybkim krokiem przed siebie. Po kilkunastu metrach skręcił w ślepią uliczkę, przy której stał dom Liberów. Znajdowało się tu kilka pustych parceli oraz działek z drewnianymi altankami. Dębski tylko raz odwrócił się za siebie. Chwilę później jednym susem przeskoczył przez ogrodzenie z siatki i przystanął, nasłuchując. Nie dobiegł go żaden podejrzanym odgłos. W koronach brzoź gruchały gołębie, a gdzieś w oddali z charakterystycznym pikaniem przejeżdżała śmieciarka.

Mężczyzna naciągnął niżej na czoło materiałową opaskę. Założył cienkie rękawice, po czym ruszył w stronę drzwi wejściowych. Choć te były zamknięte, pokonanie zamka zajęło mu tylko kilka sekund. Był doskonale przygotowany, a stary system zapadkowy nie stanowił żadnego wyzwania. Jeszcze raz zerknął za siebie, po czym nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bez problemu. Sierżant pośpiesznie wemknął się do środka i ostrożnie je zamknął. Uśmiechnął się z ulgą. Ponownie wszystko szło doskonale. Musiał jedynie pamiętać, by po powrocie wyrzucić buty. To była jedna z niewielu naucek, których dostarczyło mu obcowanie z technikami kryminalistyki. Obuwie potrafiło zdemaskować najdoskonalszych przestępców.

Nasunął na twarz maseczkę, po czym ruszył w głąb domu. Szedł powoli, uważnie rozglądając się wokół. Musiał coś znaleźć. Od tego mogła zależeć jego przyszłość.

A może nawet znacznie więcej.

Haler ponownie sięgnęła po kubek kawy. Drzenie rąk już minęło, ale nadal była nim zawstydzona. Upiła szybko duży łyk, po czym ponownie schowała dłonie pod biurkiem.

– W składzie „Trupy trupów” były trzy osoby. Przynajmniej to ich nazwiska były wzmiankowane na oficjalnych afiszach oraz w ogłoszeniach zamieszczanych w prasie.

– Werski, Liber i ktoś jeszcze?

– Vitold Volt. Pisany przez dwa „v”. Co ciekawe, wszystko wskazuje, że to nie był pseudonim. Znalazłam o nim wzmiankę na „Naszej klasie”. Było nawet zdjęcie z drugiej połowy lat siedemdziesiątych, gdy miał jakieś osiem lub dziewięć lat. Swoją drogą, był bardzo uroczym chłopcem o puciołowanej buzi i jasnych włosach.

Deryło zniżył swój kubek i wyrzucił go do kosza. Ponownie spojrzął na Halera. Między palcami lewej dłoni obracał krótkim ołówkiem.

– Przypuszczam, że jego dziecięca aparycja nie ma większego znaczenia...

Tamara wzruszyła ramionami. Zawsze zaskakiwało ją selektywne podejście Deryły do wiadomości. Interesowały go wybrane fragmenty, które mogły przyczynić się do natychmiastowego pchnięcia śledztwa do przodu. Wolał rozkopywać wiele tematów, byle tylko wybrać z nich najistotniejsze wątki. Tymczasem ona nie potrafiła przestać kopać. Jeżeli natrafiła na coś choćby tylko pozornie związanego z analizowanym wątkiem, chciała na ten temat wiedzieć dosłownie wszystko. Dopiero ukuty wszechstronny obraz pozwalał jej na wyciągnięcie wniosków. Często wiązało się to z całymi godzinami zmarnowanymi na zgłębianiu niewiele znaczących zagadnień, lecz nie potrafiła nic na to poradzić. Gdyby zarzuciła kwerendę w połowie, kompulsywny charakter nie pozwoliłby jej przestać o niej myśleć. Spoglądałaby na całość sprawy nie przez pryzmat tego, czego się dowiedziała, ale tego, co mogła przegapić. Tak i tym razem nie opuściła żadnego szczegółu. Analizowała nie tylko chłopięcą postać Vitolda Volta, ale również wszystkich osób stojących na klasowym zdjęciu. Oczywiście analiza ta nie przyniosła żadnych efektów.

– Ano nie ma – zgodziła się niechętnie. – Jednak z pewnością interesujące jest, że ta cała trupa rozpadła się prawdopodobnie właśnie przez niego.

– To znaczy?

– Na ostatnich dwóch plakatach jego nazwisko nie zostało już zamieszczone. Później występy odwołano i po całym zespole słuch zaginął. Zniknęli ze sceny na zawsze.

Deryło przytknął ołówek do ust i mlasnął. Po głowie chodziła mu jakaś myśl, ale trudno mu było ją wyartykułować. Wreszcie uznał, że uchwycił ją z właściwej perspektywy.

– Czy uważasz, że ten komentarz z witryny internetowej sugeruje jakieś wykorzystywanie dzieci? Od tej strony chcesz to ugryźć?

Haler kiwnęła głową.

– Zbierałam szczegół do szczegółu. Staralam się dopasować wszystkie elementy i roztrząsać każdy z aspektów. Mamy trzech facetów, którzy występują na scenie przed dziećmi oraz dorosłymi. W pewnym momencie jeden z nich odchodzi z zespołu. Zrywa kontakt z resztą, a do tego zdaje się, że zapada się pod ziemię. Nie znalazłam o nim wzmianki kompletnie nigdzie, ale pewnie w nurzaniu się w internetowym szambie lepszy będzie ViSir. W każdym razie – Halera przeczesala palcami włosy – możemy przypuszczać, że miała miejsce jakaś afera. Podejrzewaliśmy to już od początku, ale teraz mamy punkt zaczepienia. Vitold Volt mógł zorientować się, że jego kumple dopuścili się czegoś ohydneho...

– A może dopuścił się tego razem z nimi i spanikował – wtrącił Deryło.

– Tak... – Tamara zmrużyła oczy i w zadumie skubnęła palcami wargę. – Tak, to całkiem prawdopodobne.

– Świetnie, teraz tylko ulóż mi z tego płyną historię bez znaków zapytania. Wtedy cię adoptuję...

– Zasadnicze pytanie brzmi, dlaczego dwóch z tej trójki zaginęło w ciągu ostatnich trzech dni.

Deryło machnął ręką, jakby odganiał się od niechcianej muchy. Wstał od biurka i poprawił marynarkę.

– Nie. Jak zwykle brniesz zbyt głęboko. – Powoli ruszył do drzwi i zabrzączał kluczykami do auta. – Zasadnicze pytanie brzmi, gdzie jest Witold Volt. Skoro szlag trafił dwóch z trzech artystów, warto sprawdzić, co słyhać u tego ostatniego.

ViSir otarł pot z czoła. W pracowni informatycznej znajdowało się kilka biurek, na których stały rozmaite komputery, laptopy oraz ogromne monitory. Do tego na szafkach rozstawiono rozmałą aparaturę, której przeznaczenie znane było tylko pracującym tu specjalistom. Deryło z trudem domyślał się, które sprzęty to ultranowoczesne drukarki lub skanery. Nie przepadał za tym miejscem. Nie lubił zapachu rozgrzanego plastiku, cichego szmeru wentylatorów oraz unoszącego się w powietrzu promieniowania. Zawsze miał wrażenie, że rozmaite fale dosłownie prażą mu mózg.

Komisarz przekazał ViSirowi, czego konkretnie szuka. Chciał zrobić to osobiście, a do tego wyraźnie zaznaczył, że sprawa jest pilna. Precyzyjniej mówiąc, cholernie pilna.

– Wszystko zawsze jest cholernie pilne – burknął informatyk.

Sięgnął po stojącą obok klawiatury puszkę coli i przyłożył ją do czoła. Miał ogromną nadwagę, a jego głowa przypominała łeb wielkiego buldoga. Drobnny nos stanowił jedynie symboliczny element w okrągłej, nalanej twarzy o wiecznie zaczerwienionych obwisłych policzkach oraz wydatnych ustach. Żuchwa zdawała się wspierać na podwójnym podbródku. Mężczyzna miał na sobie czarną, pomiętą koszulkę z wielkim napisem I HATE U ALL na plecach. Teraz wskazał na niego kciukiem.

– Już pan rozumie, komisarzu?

– Angielska mowa, trudna mowa, ale coś ci powiem. Ja *boss*. – Deryło znacząco klepnął się w pierś, po czym wymierzył palec w informatyka. – Ty *service* – dodał, po czym wyszedł z pomieszczenia.

Dołączył do Haler, która cicho się śmiejąc, czekała na niego kilka kroków dalej. Znała słabość ViSira do siebie i wolała jej nie wykorzystywać. Poza tym informatyk zbyt wiele razy robił sobie nadzieje na podstawie nic nieznaczących flirtów. Do tego zainicjowanych właśnie przez siebie.

Tamara schowała do kieszeni stary telefon komórkowy z klapką na klawiaturze.

– Brzeski już czeka... Pytał, czy przyjść do ciebie, czy to my wpadniemy do niego.

– Ustalił coś?

– Nie wiem. Pamiętasz o zasadzie „żadnego powtarzania dwa razy”?

Deryło się skrzywił.

– Chyba muszę wreszcie wziąć w garść to całe towarzystwo. Póki mnie nie wypieprzą lub zanim jakiś nowy goguś zacznie suszyć mi głowę bestialskimi metodami pracy.

– Sam nam wpajałeś tę regułę. Chyba nawet nazywałeś ją świętą... Albo nienaruszalną.

– Ale tylko ja mogę stosować ją wobec innych. To chyba drobna różnica, prawda? Tyci-tyci, a jednak ma znaczenie.

– Nie irytuj się tak, tatuśku. W twoim wieku...

Deryło zerknął na Haler spode łba tak, że ta nie dokończyła. Uśmiechnęła się jednak wymownie i puściła do niego oko.

Przeszli do końca korytarza i minęli szyb wind. Komisarz niemal nigdy z nich nie korzystał. Nie lubił ciasnych pomieszczeń, a poza tym wolał nie ufać technologii, którą opracowywali sowieccy inżynierowie i którą wdrażali w życie peerelowscy budowniczowie przy użyciu materiałów dostępnych w szarych latach siedemdziesiątych. Pół wieku niemal bezawaryjnego funkcjonowania było albo cudem, albo oznaczało, że Deryło jest kompletnie bezpodstawnie uprzedzony. Stawiał oczywiście na to pierwsze.

W połowie schodów zdał sobie sprawę, że Tamara za nim nie nadąża. Zamiast wbiegać jak zwykle na górę, wlokła się, podpierając o poręcz. Gdy ich spojrzenia się spotkały, natychmiast spuściła wzrok.

– Co jest? Spadek formy czy niedyspozycja? A podobno to ja przytyłem.

– Złapał mnie jakiś skurcz w łydce.

Deryło z troską zawrócił i zszedł kilka stopni. Podał Haler ramię, po czym bez słowa pomógł jej

wejść. Wziął na siebie ciężar niemal całego jej ciała. Zdał sobie sprawę, że podkomisarz straciła oparcie nie tylko na jednej nodze, ale na obu. Gdy znaleźli się na piętrze, chwycił ją jak lalkę pod plecy i uda, po czym przeniósł na pobliski parapet.

– Powiesz mi, co ci jest? – zapytał, marszcząc czoło.

Haler niedbale machnęła ręką.

– Krzywo stanęłam na stopniu i... Zaraz mi przejdzie. Już jest mi lepiej.

Jakby chcąc to udowodnić, opuściła nogi na podłogę, wstała i zrobiła kilka kroków. Rzeczywiście mogła iść – powoli, ale w miarę pewnie. Za wszelką cenę starała się jednak, by Deryło nie patrzył na jej twarz. Nie wiedział, że właśnie ściekają po niej stróżki lodowatego potu, a w oczach zebrały się łzy. Podkomisarz zaciskała zęby.

– Okej, jak chcesz. – Deryło, asekurując ją, powlókł się z tyłu. – Jeślibyś jednak miała ochotę pogadać sobie, ot tak, o duperelach w stylu chwilowej utraty czucia w nogach, to chętnie cię wysłucham.

– Wiem, Eryku.

– I nie erykuj mi tu!

Deryło chciał dodać coś jeszcze, lecz Tamara już pchnęła drzwi do gabinetu Brzeskiego. Aspirant stał przy biurku i wpatrywał się w stertę papierów. Odwrócił się, po czym spojrzął na nich ponuro.

– W aktach nie ma niczego o siostrze Marty Werskiej – oznajmił ponuro. – Kontaktowałem się z urzędem stanu cywilnego, a nawet zadzwoniłem do jednej z jej koleżanek, których numer miała zapisany w komórce. Ktoś taki jak Daria Werska w ogóle nie istnieje. Nie wiem, kogo spotkałeś na cmentarzu, drogi Eryku.

Deryło puścił te ostatnie słowa mimo uszu.

W powietrzu wręcz czuć było konsternację. Deryło parsknął coś nerwowo pod nosem, po czym opadł na jeden z obrotowych foteli stojących przy oknie. Wyrzwał na zewnątrz. Od szyby czuć było gorąc. Gdyby nie pracujący pełną parą klimatyzator, w pomieszczeniu pewnie panowałyby zaduch nie do wytrzymania.

– Może to cholerna siostra przyrodnia... – szepnął nieprzekonany. – Może nie utrzymywały kontaktów od wielu lat albo... Sam nie wiem.

– Sprzedała ci historyjkę niby z rodzinnego domu – wtrącił Brzeski. – To nie była opowieść siostry przyrodniej wygnanej od innych rodziców.

– Jednak znała wiele szczegółów. Cholera, uwierzyłem jej...

Deryło rąbnął otwartą dłonią w oparcie fotela.

– Nie mogłem się tak pomylić. – Pokręcił wściekle głową, po czym wstał. Przeszedł dokoła niewielkiego gabinetu. – Nie miałem żadnego powodu, aby ją zatrzymać ani nawet o cokolwiek wypytywać. Gapiła się na żałobników i to było wszystko, co mógłbym jej zarzucić. Trochę za mało na akt oskarżenia, co?

– Uciekała przed tobą – wtrąciła bezlitośnie Haler. Po chwili jednak zreflektowała się i dodała: – Przynajmniej tak to opisałeś.

– Nie przedstawiłem się. Nie krzyczałem, że jestem z policji. Równie dobrze mogła mnie wziąć za zbrojnego grasującego między nagrobkami. Jak dobrze wiecie, byli i tacy.

– Okej, nawet jeśli... Czy mamy jakiś pomysł, jak do niej dotrzeć?

Brzeski mlasnął i wbił wzrok w podłogę. Haler założyła dłonie na piersi.

– Nie możemy przecież opublikować jej portretu pamięciowego...

Deryło ponownie usiadł i uśmiechnął się chytrze.

– Właściwie dlaczego nie? – odezwał się, przytknąwszy palce do podbródka. – Przecież możemy potraktować ją jako zaginioną, na którą trafiliśmy w toku śledztwa. Bez sugerowania podejrzeń ani żadnych takich...

– Wiesz, że góra tego nie popiera.

– Technicznie rzecz biorąc, w tym momencie nie ma nad nami żadnej góry. Poza tym, czym tak naprawdę ryzykuję?

Haler z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Choćby czymś takim jak reputacja. Albo eufemistycznie mówiąc – kariera.

– Daj spokój. Sprowadźcie mi grafika, a ja zaraz postaram się pogrzebać w pamięci...

Przynajmniej jako tako ją zapamiętałem. – Komisarz nagłaco klasnął. – No, jazda. Chyba że macie lepsze pomysły?

Tamara oparła się o skraj biurka i przygryzła wargę. Powiodła wzrokiem po papierach rozrzuconych na biurku Brzeskiego, po szafce z aktami oraz półce pełnej zbiorów ustaw karnych. Wreszcie jej wzrok spoczął na Deryle.

– Jestem ci wiele winna... – szepnęła bez cienia uśmiechu. – I chyba mam pomysł, jak powstrzymać cię przed zniszczeniem sobie końcówki ładnej kariery. Być może wiem, kogo powinniśmy szukać.



Śmierć jeszcze raz upewniła się, że wszystkie kable są podłączone. Szczególnie zależało jej, aby w razie jakichkolwiek przerw w dostawie prądu lub sygnału internetowego system przełączył się na zasilanie alternatywne. Musiało to nastąpić natychmiast. Relacje na żywo nie dopuszczały jakichkolwiek dubli.

Wszystkie kamery oraz aparaty były gotowe. Laptopy rozświetlały pomieszczenie mglistą, niebieskawą poświatą. Jednak scena nadal tonęła w półmroku. Jeszcze nie nadszedł czas prezentacji aktorów ani podniesienia kurtyny. Co istotne, na stronę internetową wchodziło coraz więcej osób. Choć nie została nigdzie zaprezentowana ani zareklamowana, zasięgi wzrastały w tempie geometrycznym. Zapewne na wielu serwisach z zaciekawieniem przesyłano sobie linki do zdjęć z miejsc mordu. To miał być element przyciągający. Prawdziwy afisz teatralny, który zwracał uwagę przechodniów.

Śmierć przeszła między kamerami i zatrzymała się przy wózku inwalidzkim. Siedział na nim skrupowany liną Dariusz Liber. W usta miał wepchnięty szmaciany knebel.

– Nie możesz się doczekać występu? – Śmierć nachyliła się nad nim. Niemal dotknęła swoim nosem jego twarzy. – I bardzo słusznie. Masz teraz czas pomyśleć o tym, co się przydarzyło twojej żonie. Pomyśl, jak piszczała, gdy przybijałem ją do stołu. Wsadziłem w nią drobny prezent, wiesz o tym? Czy nie powiedziano ci tego w szpitalu?

Śmierć wyprostowała się i głośno zarechotała.

– Pewnie nie. Ja też pozostawię resztę domysłów twojej wyobraźni. Masz ją bardzo rozbudowaną, prawda?

Liber bezsilnie się szarpnął. Jego nozdrza się rozszerzyły, a oddech przyspieszył.

– Chciałbyś mnie ukarać? – Śmierć pogładziła go po rzadkich, przetłuszczonych włosach. – Niestety to niemożliwe. Poza tym zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie trafiłeś tu już za pierwszym razem, a zamiast tego spędziłeś noc pod gwiazdami? Miałeś wtedy dość czasu, aby myśleć o żonie, bo wiem, że teraz już masz w głowie przede wszystkim siebie.

Śmierć z całej siły odgięła głowę Libera do tyłu. Wbiła palec w jego prawe oko i nacisnęła. Gałka oczna ugięła się, a uwięziony mężczyzna drgnął z bólu.

– Patrzyłeś i nie widziałeś!

Przez knebel wydostał się jedynie stłumiony jęk. Szmata zatrzymała wypowiedane zapewne błagalnym tonem słowa. Po chwili jęk zamienił się w niemy krzyk. Z nosa Libery pociekł śluz. Chciał zacisnąć oczy, ale to zdało się na nic. Śmierć wbijała palec jeszcze mocniej. Powierzchnia gałki ocznej zaczęła się odkształcać, wydawało się, że drobny ruch wystarczy, by ją podważyć i wyjąć z oczodołu niczym piłkę golfową z błotnistej dołki. Towarzyszyłoby temu zapewne podobne lepkie cmoknięcie. Liber szamotał się, ale jego ruchy ograniczały się do nieznaczących szarpnięć głową oraz wymachów stopami. Nie mógł zrobić nic więcej.

Śmierć z całej siły naciskała dłońmi na jego skronie. Jakby w furiackim ataku chciała zmiażdżyć jego głowę niczym w imadle. Żelazny uścisk przyprawiał o szaleńczy ból. Liber miał wrażenie, że ten rozsada czaszkę od zewnątrz i zarazem od środka. Jego mózg pulsował w rytmie przyspieszonych uderzeń serca. Nigdy tak mocno nie czuł ich w głowie oraz w uszach. Każdy wyrzut krwi sprawiał mu fizyczny ból. Balansował na skraju utrzymania świadomości.

Nagle śmierć puściła go i się wyprostowała. Jednym ruchem wyrwała knebel z ust mężczyzny. Coś błysnęło w delikatnym świetle monitorów. Nim Libera zdołał poruszyć szczękami i skoncentrować wzrok na lśniącym ostrzu brzytwy, Śmierć ponownie chwyciła go za gardło. Jedno cięcie wystarczyło, by rozciąć oba kąciki ust. Krew polała się z nich ciurkiem niczym z odkręconego kranu. Znaczna jej część natychmiast ściekła do gardła dręczonego mężczyzny. Ten usiłował odchrząknąć, lecz Śmierć zasłoniła mu dłonią usta.

– Teraz możesz uśmiechać się naprawdę szeroko – wyszeptła mu prosto do ucha. – Tak szeroko, jak tylko potrafisz. Podoba ci się? A to dopiero początek.

Haler, jakby chcąc zamazać obraz niedawnej słabości, wręcz gnała po schodach. Tym razem to Deryło z trudem za nią nadążała. Gdy zbiegli na parter, podkomisarz skierowała się w lewo ku pomieszczeniom zajmowanym przez informatyków. Po chwili wpadła do tego, w którym rezydował ViSir.

– Znalazłeś coś, kochaniutki? – zapytała, maszerując przez pokój.

ViSir zapadł się w siebie, skulił i spojrzał na Tamarę jak nastolatek na ukochaną mijaną na szkolnym korytarzu. Jedną dłoń wciąż trzymał nad klawiaturą, drugą przeczesał krótkie włosy. Uśmiechnął się zmieszany.

– Kompletnie nic. Rozumiecie? – Z przesadną teatralnością rozłożył ręce. – O Vitoldzie Volcie nie ma w internecie ani słowa. Zresztą nie tylko w internecie... Nie ma zaległości podatkowych, nie dostał mandatu, nie prowadzi działalności gospodarczej, a nawet nie widnieje na żadnym z portali. Chłop albo nie istnieje, albo zmienił wszystkie dane.

– Na chwilę musisz o nim zapomnieć. – Haler zatrzymała się tuż obok biurka informatyka. Spojrzała na niego z góry, po czym zalotnie puściła do niego oko. – Na jednym z portali znalazłam dziwną wzmiankę o naszej trupie teatralnej. – Sięgnęła po klawiaturę i wpisała w wyszukiwarce cały długi adres, co zrobiło na ViSirze conajmniej takie wrażenie, jakby odstawiła przed nim striptiz. – Widzisz?

Informatyk sapnął, co najwyraźniej równało się przytaknięciu.

– Chcę, żebyś sprawdził, czy była z nimi związana jakaś afera. Seksualna, pedofilska, a może podejrzewano ich o porwanie jakiegoś dziecka albo wyłudzenie pieniędzy za bilety. Cokolwiek, rozumiesz?

Odpowiedziało jej ponowne sapnięcie.

– Potrzebny mi każdy, kto mógłby się o coś wściec na tych artystów. I to naprawdę każdy. Nie lekceważ nawet najbardziej błahych powodów oraz idiotycznych komentarzy.

– Mhm.

– Chcesz motywacji?

ViSir bez słowa spojrzał na Haler i wybałuszył oczy. Podkomisarz nachyliła się nad nim, po czym pocałowała go w czubek głowy. Informatyk niemal zsunął się z fotela. Tamara wyprostowała się, tryumfalnie zerknęła na Deryło i ruszyła do wyjścia.

– Zjemy coś? – zapytała, gdy znaleźli się na korytarzu. – Chyba mamy chwilę dla siebie.

Komisarz przez chwilę się wahał. Wreszcie ciężkim, marynarskim krokiem ruszył w stronę wyjścia.

– W sumie, czemu nie? Trzeba coś jeść.

Gdy kwadrans później w knajpie naprzeciw komendy czekali na zamówione fast-foody, zapadła między nimi cisza. Zdarzało się to rzadko, lecz była to cisza wypełniona myślami oraz rzucanymi wzajemnie krótkimi, czujnymi spojrzeniami. Nagle Haler drgnęła. Złożyła w pół serwetkę i przyglądał ją wierzchem dłoni.

– Tym razem ty pierwszy – odezwała się, nie patrząc na komisarza.

Przy stoliku obok dwójka licealistów, drocząc się, rzucała się frytkami. Deryło przez chwilę przyglądał się im w zadumie, wreszcie ponownie przeniósł wzrok na Tamarę.

– To nic wielkiego – odezwał się po chwili. – Ciągłe siedzi mi w głowie Roman i tyle. Przewijają się wspomnienia z młodości. Z wypadów na pojezierze, z pierwszych wspólnych imprez oraz numerów wywijanych dziewczynom na obozach... – Westchnął. – Nie wnikaj. To temat niewarty roztrząsania, z którym po prostu muszę się uporać. Niedługo wszystko minie i przejdę do porządku dziennego z tym, że go nie ma. Choć tak naprawdę nie było go już od wielu lat...

Tamara wyciągnęła rękę, aby dotknąć dłoni komisarza, lecz ten się cofnął.

– Żadnych sentymentów. – Pogroził jej palcem. – Proszę cię o to. Jeśli chcesz sprawić mi przyjemność, powiedz lepiej, co z tobą? Co się dzieje, Tamaro?

Deryło wyprostował się, robiąc miejsce, by kelnerka postawiła przed nimi dwa talerze z hamburgerami oraz frytkami. Gdy tylko odeszła, Haler przesunęła się bliżej stolika. Czuła potrzebę podzielenia się z komisarzem swoimi rozterkami, a jednocześnie jego cierpienie było dla niej zbyt istotne, by tłumić je własnym.

– No, dalej... – Komisarz chwycił hamburger i uniósł go, jakby wznosił toast. – Śmiało.

Tamara się uśmiechnęła. Wzięła frytkę i rzuciła nią w Deryło. Ten w pierwszej chwili zmarszczył brwi, lecz jego usta również szybko drgnęły w uśmiechu. Roześmiał się chłopięco. Wybrał długą frytkę i cisnął nią w Haler.

– Mów!

Podkomisarz uchyliła się i frytka trafiła w okno. Deryło nadal śmiał się jak dziecko.

– Mów!

Momentalnie spoważniał, wyprostował się i utkwiał w Haler pytające spojrzenie. Tamara odsunęła talerz. Podjęła spontaniczną decyzję, że jeśli miałyby się kiedykolwiek i komukolwiek zwierzyć, była na to chwila właśnie teraz. Otworzyła usta, lecz w tym samym momencie zadzwonił jej telefon. Brzęczenie dzwonka narastało, przebijając się ponad wszelkie odgłosy w knajpie.

Haler wyjęła komórkę, po czym zerknęła na Deryło.

– To ViSir. Pewnie właśnie na coś trafił...

– Mamy adresy – oznajmiła Haler.

Pędziła w stronę policyjnego parkingu, na którym stał jej motocykl oraz citroën komisarza. Deryło truchtał tuż obok niej.

– Czyje adresy?

Choć przysłuchiwał się rozmowie, jaką odbyła Tamara z ViSirem, niewiele mógł z niej zrozumieć. Podkomisarz odzywała się tylko sporadycznie. Przede wszystkim słuchała długotrwałego sprawozdania informatyka, przerywając je jedynie kilkoma przytaknięciami oraz nerwowymi westchnięciami. Niczego nie notowała, ale akurat w tym nie było nic dziwnego. Najlepszym notesem był jej umysł. Nawet gdyby przez godzinę dyktowano jej ciąg cyfr, zapewne doskonale by go zapamiętała.

– Właściwie istotny jest tylko jeden – sprecyzowała, przebiegając przez ulicę. – Nie wiemy, czego dokładnie dotyczyła afera związana z członkami trupy, ale ViSir trafił na ślad po sprawie sądowej. Cywilnej, dlatego nie mieliśmy nic w papierach.

– Jakiej sprawie?

– Niestety utajnionej i obawiam się, że nic z niej nie wyciągniemy. To mogła być sprawa o zadośćuczynienie, ale równie dobrze jakiś eksperyment społeczny albo nieudany performance.

– I na to, i na to znalazłyby się paragrafy.

Haler kątem oka łypnęła na komisarza. Na tę sugestię miała już przygotowaną odpowiedź.

– Być może ktoś wolał już wtedy rozliczyć się na własną rękę.

– Więc po co wносиłby powództwo?

– Nie mam pojęcia, ale czasem sprawy sądowe to pierwszy krzyk rozpaczy. Przegrana przed wymiarem sprawiedliwości tylko go wzmacnia.

Deryło cmoknął sceptycznie.

– Ile lat temu to było? Piętnaście? Dwadzieścia? – Wyciągnął kluczyki do samochodu i skierował się ku citroënowi. – Wspomniałaś o jakimś adresie. Możesz mi wreszcie powiedzieć, gdzie jedziemy? Albo raczej, gdzie chciałabyś jechać, o ile wyrażę na to zgodę?

– ViSir ustalił, że sprawa dotyczyła trzech osób. – Haler zatrzymała się w pół kroku i bezradnie rozłożyła dłonie. – Jedna z nich nie żyje, druga od lat mieszka w Australii, została tylko trzecia. A skoro nie mamy nic lepszego do roboty, pomyślałam, że warto byłoby z nią porozmawiać.

– Na podstawie nielegalnie zebranego materiału? Zamierzasz zapukać i powiedzieć, że przeszukaliśmy archiwum sądu, a przy okazji trafiliśmy na adres z akt utajnionej sprawy?

Haler szeroko się uśmiechnęła.

– Dokładnie tak, tylko swoimi słowami. Ktoś doskonale nauczył mnie to robić. – Puściła do niego oko, po czym ruszyła do citroëna. – Chodź, mamy szczęście, że ta kobieta nadal mieszka w Lublinie.

Deryło z wyrazem satysfakcji na twarzy podążył za Tamarą. Upewnił się jedynie, że przy boku ma kaburę.

Zaparkowali przed jednym z wieżowców na terenie LSM. Był to wysokościowiec z lat siedemdziesiątych, typowe dzieło poprzedniej epoki oraz planu upchnięcia tak wielu ludzi na tak małej przestrzeni, jak to tylko możliwe. Mimo że osiedle było nagradzane w licznych konkursach, a zamysł architektoniczny uchodził za idealne odzwierciedlenie myśli słynnego Le Corbusiera, Deryło nie potrafił docenić jego uroku. Jasne, miło było przechadzać się terenami zielonymi oraz wśród wielu drzew, a nie na betonowej patelni współczesnych osiedli. Jednak na tym zalety się kończyły. Takie same bloki przypominały sześciany odlane ze sztampy i poustawiane pod przypadkowymi kątami. Już sam ten chaos w świecie odbitek wprawiał pedantycznego komisarza w rozstrojenie. Jednak prawdziwe ciosy ta część Lublina wymierzała deryłowskiej estetyce – jak sam ją nazywał. Albo Le Corbusier był rozpropagowanym idiotą, albo on za grosz nie potrafił docenić jego zamysłu.

Jednak jednego nie mógł temu miejscu odmówić. Citroën H wkomponowywał się w otoczenie doskonale. Nic dziwnego, że na forach, gdzie kolekcjonerzy wystawiali auta z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, roiło się od zdjęć z czarno-całym filtrem wykonanych właśnie na uliczkach LSM.

Deryło zerknął na wysokościowiec. Włożył dłonie do kieszeni, po czym ciężko odsapnął. Było potwornie gorąco i miał wrażenie, że w budynku panuje piekielna duchota. Mimo to jedynie na niewielu balkonach widział klimatyzatory.

– Które piętro? – zapytał niby mimochodem.

Haler, nie zatrzymując się, przeszła obok niego.

– O ile dobrze liczę, siódme.

– Na całe szczęście już pół wieku temu istniały przepisy nakazujące montowanie wind w blokach powyżej jakiejś wysokości...

– Tyle że windy te mają to do siebie, że często się psują.

Deryło nie wiedział, czy Tamara rzuciła tę uwagę umyślnie, ale momentalnie uświadomił sobie, że bez względu na wysokość woli spacer po schodach niż utknięcie w ciasnej, cuchnącej kabinie z panelem poprzepalanym zapalniczką. Do tego ze ścianami upstrzonymi poezją, od której przesadnej lektury niedobrze zrobiłoby się menelom z najgorszych zakątków starówki.

Dlatego dopiero siedem minut później komisarz, lekko posapując, wspinał się na siódme piętro. Na klatce schodowej było mniej duszno, niż sądził, ale koszula i tak przyklepała mu się do pleców. Tymczasem Tamara już na niego czekała przy metalowej kracie oddzielającej korytarze.

– To mieszkanie po prawej na końcu – oznajmiła, obrzucając komisarza spojrzeniem pełnym podziwu. – Bałam się, że wyzioniesz ducha.

– To tylko niecałe sto pięćdziesiąt schodów, we Florencji zaliczyłem trzy razy tyle.

– Trzydzieści lat temu i w ciągu trzech godzin.

– Bardzo śmieszne.

– A jednak się uśmiechasz.

Haler utkwiała spojrzenie w wyświetlaczu nad windą.

– Lepiej nie róbmy tu zbiegowiska. – Odsunęła się w stronę klatki schodowej, kryjąc w półmroku z dala od oświetlającego korytarza okna.

– Wstydzisz się czegoś?

Winda zatrzymała się, a po chwili rozsunęły się drzwi. Deryło zrobił krok w tył, przepuszczając wysoką kobietę. Gdy ta go mijiała, nagle poczuł dziwny skurcz. Jego dłoń odruchowo powędrowała ku służbowemu glockowi. Kobieta również go spostrzegła i w tym samym momencie rzuciła się do ucieczki.

Deryło pędził jak szalony po schodach w dół. Słyszał, że uciekająca kobieta jest co najwyżej piętro niżej od niego. Nie wiedział, czy Haler biegnie za nimi, czy też wsiadła do windy. Zdążył jedynie dać jej znak, że muszą ścigać uciekającą. Bez żadnych tłumaczeń ani wyjaśnień. Zrozumieli się, właściwie jedynie wymieniając spojrzenia.

Na kolejnym piętrze znajdowała się tabliczka z rzymską cyfrą III. Czyli zostały im jeszcze trzy piętra oraz ewentualnie piwnica. Deryło zastanawiał się, czy przypadkiem wieżowiec nie ma garażu podziemnego, ale nie sądził, by takowe budowano przed pięćdziesięcioma laty. Zdawało mu się, że podobne budynki nie miały nawet piwnic, gdyż przy mieszkaniach znajdowały się komórki lokatorskie. Poza tym cały majdan rzeczy wypełniał korytarze. Nic dziwnego, że wiele z nich zamykanych było na kraty.

– Stój! – krzyknął, gdy mignęła mu czerwień bluzy uciekającej.

Oczywiście jego polecenie nie odniosło żadnego skutku. Kroki zadudniły już nie na schodach, lecz na posadzce. Deryło, sapiąc, przystanął ma piętrze i się rozejrzał. Przez moment stracił orientację. Jeden korytarz prowadził ku mieszkaniom, drugi był zamknięty kratą, natomiast trzeci zaraz załamywał się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wybrał tę ostatnią drogę. Okazało się, że słusznie, gdyż po kilkunastu pokonanych sprintem metrach ponownie dostrzegł uciekającą. Wytężył wszystkie siły i nie zważając na zmęczenie, sukcesywnie zmniejszał do niej dystans. Nagle kobieta pchnęła drzwi. Niemal wpadła na wchodzącego do środka mężczyznę.

– Ratunku, na pomoc! – krzyknęła rozpaczliwie.

Wchodzący do klatki stanął jak wryty. Łypnął spode łba na Deryłę. Miał około trzydziestu lat, a postawą niewiele ustępował komisarzowi. Wbił w niego nieco zdezorientowane spojrzenie, lecz nagle przesunął się, jakby chciał mu zagrozić drogę.

– Policja! – sapnął Deryło.

Mężczyzna nie zareagował. Stał pośrodku korytarza tak, że komisarz nie miał możliwości go obiec.

– Policja! – krzyknął, nie zwalniając.

Kobieta zniknęła za rogiem, a jej sąsiad bez słowa lustrował Deryłę. Najwyraźniej tryby w jego mózgu jeszcze nie obróciły się wystarczająco wiele razy, by zrozumiał całą sytuację. Komisarz wpadł na niego, tracąc przy tym równowagę. Zwalił się z mężczyzną na ziemię. Klnąc, momentalnie się podniósł, lecz przez całe zamieszanie stracił kilka cennych sekund. Uciekająca wybiegła już z budynku i kierowała się ku parkingowi.

Deryło, kuśtykając, pchnął zamykające się drzwi klatki. Pot ściekał mu po twarzy oraz po plecach. W ustach czuł palącą suchość i zaczynała go łąpać zadyszka. Mimo to całą uwagę koncentrował na pościgu. Jeśli kobieta zdołałaby dobiec do swojego auta, wszystko byłoby skończone. Tylko na filmach samochody nie odpalały w najważniejszym momencie. No, chyba że był to sześćdziesięcioletni Citroën H.

– Stój... – chciał krzyknąć, lecz z jego ust dobył się jedynie stłumiony szept.

Cholera – zaklął już tylko w duchu.

Zobaczył, że kobieta wyciąga kluczyki i kieruje się ku samochodom zaparkowanym przy osiedlowej uliczce. Nie miał możliwości zagrozić jej wyjazdu. Była jakieś trzydzieści metrów przed nim i choć dystans się zmniejszał, zaczynał tracić nadzieję. Mrugnęły światła otwieranego z pilota opla. Kobieta dopadła do niego, po czym szarpnęła drzwi.

Gdy Deryło był sześć lub siedem metrów od auta, zawarczał silnik. Pisnęły opony, a samochód wyrwał do przodu, niemal taranując stojący przed nim kabriolet.

– Kurwa... – Komisarz zwolnił, wiedząc, że nie ma szans.

Nie mógł nic zrobić. Przystanął i klnąc pod nosem, bezradnie rozłożył dłonie. Miał ochotę

uderzyć pięścią w stojącą obok latarnię. Był wściekły.

Nim zdążył w jakikolwiek sposób wyładować złość, jego uwagę przykuł ponowny pisk opon. Zdał sobie sprawę, że opel skręcił w kolejną uliczkę, lecz kierująca nim gwałtownie zahamowała. Szybkim krokiem ruszył w jego stronę. Po chwili, biegnąc na przełaj małego skweru, zrozumiał, co się stało. Z uznaniem uśmiechnął się na widok Haler celującej z pistoletu w przednią szybę samochodu. Z jego środka z uniesionymi rękoma wychodziła kobieta podająca się za Darię Werską.

W drodze do komendy Deryło pokrótce wyjaśnił Halera, kim jest kobieta na tyle citroëna – a raczej za kogo się podawała. Choć przewożenie jej prywatnym autem nie było do końca zgodne z procedurami, nie przejmował się tym. Właściwie miał nieustanne poczucie, że coś mu umyka. Nie czuł złości do zatrzymanej ani nie potrafił sobie wyobrazić, by potrafiła kogokolwiek zabić. A jednak po raz kolejny na jego widok rzucała się do szaleńczej ucieczki.

Tyle że... Teraz stawiała się dominująca całkowicie inna myśl...

Deryło oderwał wzrok od drogi i odwrócił się do tyłu.

– Nie jest pani Darią Werską, lecz Teresą Piwnik, prawda? Jedną z ofiar tych aktorów?

Kobieta nie odpowiedziała. Zaciśnęła usta i spuściła wzrok. Odkąd wsadzili ją do auta, nie odezwała się nawet słowem. Halera siedziała naprzeciw niej, pilnie śledząc każdą reakcję. Odnotowała nerwowe zaciśnięcie palców lewej ręki oraz lekkie przechylenie głowy w prawo. To mogło świadczyć o pewnej wrogości, wręcz woli stawiania czynnego oporu, ale jak całą mowę ciała, należało poddać te gesty analizie w znacznie szerszej perspektywie. Dlatego Tamara czekała, aż kobieta się odezwie. Jednak ku jej zaskoczeniu najpierw z rezygnacją skinęła głową. Rozluźniła przy tym dłoń i się wyprostowała. Dwa ostatnie ruchy stanowiły podręcznikowe przykłady otwartości oraz szczerych intencji.

– Nie chciała pani, żebym rozmawiał o pani z ojcem Marty Werskiej, bo wydałoby się, że nie jest pani jej siostrą – ciągnął Deryło. – O to chodziło, prawda?

– Tak.

Kobieta odezwała się miękko, wciąż lekko zadyszany głosem. Halera przysunęła się nieco bliżej niej.

– Dlaczego więc pani uciekała?

– Nie uciekałam...

– Już mamy się śmiać? – Deryło zerknął w lusterko.

Mimowolnie wzięli Piwnik w ogień krzyżowego przesłuchania. Prowadzili je w starym rzęchu, jadąc jedną z głównych ulic. Przez coś takiego można było łatwiej skończyć karierę, niż prezentując podejrzanego jako osobę zaginioną. Ale oczywiście żadne z nich o tym teraz nie myślało.

Piwnik poruszyła się nerwowo. Jej twarz przebiegł dziwny tik. Przymknęła lewe oko i wygięła usta. Jednocześnie nazbyt ekspresyjnie wzruszyła ramionami. Zaśmiała się krótko i martwo.

– Mnie tam to bawi – mruknęła. – Nie zamierzam wam niczego wyjaśniać.

– Naprawdę chcesz pogorszyć swoją sytuację?

– Jeżeli weźmiecie mnie na przesłuchanie, chcę mieć adwokata. A sama nie powiem ani słowa.

Halera położyła dłonie na kolanach i pochyliła się lekko w jej stronę.

– Co oni pani zrobili? – zapytała, uważnie patrząc w jej oczy. – Nawet po latach możemy...

Teresa Piwnik parsknęła.

– Po latach jest przedawnienie, a poza tym nikt na nic już nie ma dowodów. Gdy się dowiedziałam, że zginęła ta szmata – kobieta uśmiechnęła się szeroko – poczułam, że wreszcie los się za nich zabrał. Musiałam zobaczyć łzy tego tatuśka.

– Naprawdę sprawiło to pani satysfakcję? A może właśnie dostarcza jej zemsta?

– Myśli pani, że to ja ją zabiłam?

Piwnik ponownie zaczęła się śmiać. Tym razem głośno i niepoohamowanie.

– Naprawdę mnie rozbawiliście. Boże, jesteście szaleni!

– Nie cieszyłbym się tak na pani miejscu. – Deryło odruchowo bębnił palcami o kierownicę. – Perspektywa dwudziestu czterech godzin w areszcie nie jest zabawna. A być może siedemdziesięciu dwóch...

– Za to, że dwa razy uciekałam przed goniącym mnie facetem?

– Świadkowie potwierdzą, że informowałam, że jestem z policji.



– A ja nie musiałam uwierzyć. Nie widziałam legitymacji. Macie je w ogóle?

Haler odchyliła się i powoli wciągnęła powietrze. Wciąż starała się złapać kontakt wzrokowy z Piwnik, lecz jej spojrzenie było rozbiegane.

– Co tam się stało? W jaki sposób tak bardzo wpłynęli na pani psychikę...

– Zamknij się! – Piwnik wierzgnęła. – Zamknij się, zamknij się, zamknij się! Odtąd będę milczała. Nie powiem nawet słowa i nikt mnie nie zmusi, żebym wróciła do tamtych dni. Rozumiecie?

Doskonale rozumieli. Mimo to przez kolejną godzinę na komisariacie usiłowali nakłonić kobietę do mówienia. Piwnik pozwoliła się jedynie wylegitymować, a na tym jakakolwiek współpraca z jej strony się skończyła. Nie odezwała się nawet słowem. Deryło z jednej strony był na siebie wściekły za ostatnie puszczanie jej płazem, a z drugiej wciąż widział w niej taką samą ofiarę, jaką była jego córka. Zapewne skrzywdzoną jeszcze mocniej, gdyż nie przez śmierć bliskiego, a przez bezpośrednie doświadczenie. Na czym miało ono polegać? Tego mogli się jedynie domyślać.

Wreszcie gdy dochodziła już szesnasta, Deryło dał Haler znać, by wyszli na korytarz.

– Musimy ją wypuścić – odezwał się, gdy tylko znaleźli się za drzwiami. – Nic na nią nie mamy.

– Dwadzieścia cztery godziny ją utemperują.

– Zawzięłaś się, co?

– A ty nie? – Tamara spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę uważasz, że to mogła być ona?

– Technicznie jest to całkowicie wykonalne. Poza tym mamy motyw...

Deryło westchnął.

– To tylko zastraszona ofiara. Jeśli przez kolejną godzinę będziemy mówić, że jej adwokat jest w drodze, w końcu zda sobie sprawę, że blefujemy... Gramy na granicy prawa, Tamaro, i nie podoba mi się to. Nie wobec zahukanej dziewczyny, która mogła tak wiele przejść.

Haler przygryzła wargę. Powoli skinęła głową i zerknęła przez szybę w głąb pokoju przesłuchań. Piwnik siedziała nieruchomo, z rękoma na złączonych udach oraz lekko odchyloną głową. Miała przymknięte oczy.

– Masz rację. Wypuścimy ją...

– I pilnie obserwujmy – dodał Deryło. – Może popełni błąd.

Gdy Deryło zbierał się do domu, zdał sobie sprawę, że w komendzie zostało zaskakująco wiele osób. Zewsząd słyszał rozmowy, po korytarzach przechadzali się całkowicie mu nieznani ludzie, wreszcie zobaczył grupkę dzieci bawiącą się w holu głównym.

– Nie zapomniałeś o czymś?

Odwrócił się, słysząc głos Brzeskiego. Aspirant szedł za nim, szeroko się uśmiechając.

– Właśnie cię szukaliśmy.

– My?

– No chłopaki z wydziału. W końcu to ty przegrałeś zakład.

– Szlag... – Komisarz cofnął się jak oparzony. – Nie mów, że to dzisiaj...

– Właśnie tak. A to twoja wieczorowa kreacja.

Aspirant uniósł papierową torbę i wyciągnął z niej kostium policjanta misia. Jego uśmiech jeszcze się poszerzył. Przechodząca przy nich sierżant również zerknęła na komisarza rozbawiona. Nagle zrobiła sztucznie ponurą minę i pokrzepiająco poklepała go po ramieniu. Deryło zachował kamienną twarz.

– Ha, ha, ha – rzucił bez cienia uśmiechu. – Bardzo śmieszne. Boki zrywać.

– Do zobaczenia na zabawie, komisarzu.

– Ta, jasne.

– Chyba nie stchórzysz? – Brzeski podał mu torbę. – Dzieci byłyby bardzo rozczarowane.

– Biorę los, jakim jest, i traktuję go jako przymusową pokutę. Niech mi zostanie odpuszczona część grzechów. Amen.

Deryło wziął torbę i nie mówiąc nic więcej, zawrócił w stronę klatki schodowej. Niespełna godzinę później ociężałym krokiem, przebrany za niedźwiedzia w mundurze (do czego właściwie kostium nie był mu niezbędny), wkroczył do sali konferencyjnej. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego. Ucichły rozmowy dorosłych oraz wrzaski dzieci. Komisarz czuł się podle. Miał gulę w gardle i ścisnęło go w piersi. Bał się reakcji maluchów. Chciał je rozbawić, przysporzyć im nieco radości, lecz obawiał się, że będzie jedynie rozczarowaniem.

Pierwsza zaczęła klaskać posterunkowa Nowak. Stała w pobliżu wejścia, wyprostowana jak struna i z włosami zebranymi w kitę tak mocno, że czesząc się, zapewne była bliska samooskalpowania. Po chwili do jej oklasków dołączyli kolejni. Ktoś gwizdnął, a kilkoro dzieci wybuchło śmiechem.

Doskonale. – Deryło cicho westchnął. – Kilka minut robienia z siebie debila i reputacja zniszczona do końca życia. Nie trzeba robić nic nielegalnego. Wystarczy się przebrać za uroczego misia.

Pewnym krokiem ruszył przed siebie. Potargał włosy kilkuletniej blondyneczce z wielkimi, czarnymi oczami. Ku swojej radości zobaczył w nich bezgraniczną radość. Kucnął i wziął malutkie rączki dziewczynki w wielkie, niedźwiedzie łapska. Kilkukrotnie zaklaskał, naśladując dziecięcą grę, której zasad nigdy nie rozumiał. Wstał i poszedł dalej, ku grupie chłopców. Przybił z każdym z nich żółwika. Wreszcie przed ostatnim malcem ustawił się w pozycji bokerskiej, udając, że wyzywa go na pojedynek, a gdy ten go lekko kuksnął, padł jak nieżywy na ziemię. Zwinął się w kłębek. Nie interesowały go śmiechy, gwizdy i brawa. Od dawna nie czuł się tak beztrudno i rozluźniony. Sam się temu dziwił. Nagle nie wiedzieć czemu, gdy wciąż leżał, a dzieci obeszły go ze wszystkich stron, zebrało mu się na płacz. Z trudem się opanował. Ktoś zaintonował słowa piosenki: „Stary niedźwiedź mocno śpi...”. Dzieci, śpiewając, zaczęły chodzić dokoła niego, trzymając się za ręce, tak jak przed wielu laty chodziła jego córka na szkolnych przedstawieniach...

Kątem oka zobaczył Halera. Podkomisarz stała z lampką wina w rogu pomieszczenia i uważnie mu się przyglądała. Puściła do niego oko. Wzniosła kieliszek do góry, po czym bezgłośnie wypowiedziała słowa toastu.

Twoje zdrowie, komisarzu.

Twoje, Tamaro.

Poderwał się, starając złapać któregoś z malców, którzy z piskiem rozbiegli się we wszystkie strony.

– Byłeś naprawdę świetnym misiem.

Haler chwyciła komisarza pod ramię i przemierzała z nim ostatnie metry chodnika prowadzącego do jej bloku. Nie wiedziała, dlaczego Deryło uparł się, aby jej towarzyszyć. Ucieszyła się z tego, lecz starała się przeniknąć jego intencje. Jak wiele się domyślał? Czy to przypadkiem nie on czytał z niej jak z otwartej książki?

– Bawiłem się jak nigdy w życiu – wycodził, udając naburmuszonego.

– Wiem, że tak było.

Deryło zwolnił i odwrócił się w jej stronę. Miał zupełnie poważną minę.

– Tak, rzeczywiście chyba naprawdę tak było. Może bierzemy zbyt wiele rzeczy nazbyt poważnie.

– Nie wierzę, że słyszę z twoich ust takie słowa.

– Ja też.

Przeszli w milczeniu kolejnych kilka metrów. Była już noc, w pobliskich blokach nie spali już tylko nieliczni. Poza nimi w okolicy nie było żadnych przechodniów. Pomarańczowe światło latarni przebijało przez liście drzew rosnących przy chodniku. Delikatny wiatr był ożywczy po całodniowym upale.

Nagle Deryło mocniej uchwycił dłoń Tamary i przyciągnął ją bliżej siebie. Szli, niemal ocierając się o siebie biodrami.

– Myślisz, że to wszystko naprawdę mogła zrobić kobieta? – zapytał szeptem, jakby nie chciał, by wiatr rozniósł jego domysł po okolicy.

Haler westchnęła.

– Teoretycznie tak – odezwała się po chwili. – Sam uznałeś, że fizycznie było to wykonalne. Nie trzeba stukilowego faceta, żeby zablokować drzwi sauny albo przybić do stołu staruszkę.

– Chodzi mi o psychikę.

– A czy ludzką psychikę ktokolwiek może odgadnąć? Mówię całkiem poważnie. Czy można to zrobić na sto procent, bez żadnych wątpliwości? Kiedy dzisiaj w samochodzie obserwowałam tę kobietę, coś mnie w niej przerażało. Dlatego nastawiłam się do niej negatywnie, co jest najgorszą rzeczą, jaką może zrobić psycholog. Ale przecież my zawsze mamy jakieś nastawienie...

Deryło zatrzymał się i zerknął na Tamarę. Mimo półmroku wyraźnie widział, że ma podkrążone oczy, a do tego przez ostatnie dni coś zmieniło się w rysach jej twarzy. Nie potrafił jednak wyraźnie stwierdzić co.

– Przerazała cię? Dla mnie wyglądała na bezradną osobę z psychiką spaczoną przez jakieś wydarzenie, o którym nie chce nawet powiedzieć. Klasyka.

– Tak... – Haler zamyśliła się na chwilę. – I właśnie to mnie przerażało. Tajemnica. Niewypowiedziany ból...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale najwyraźniej ugryzła się w język. Delikatnie pociągnęła komisarza ku klatce.

– Jestem zmęczona. Muszę wszystko spokojnie przemyśleć.

– Ból może być dobrym pretekstem do zemsty.

– Nie bierz mnie pod włos, tatuśku. Nie powiem ci teraz nic więcej.

– Będę cierpliwy. Przynajmniej dopóki chłopaki mają na nią oko, jestem cierpliwy i spokojny.

Zatrzymali się tuż przed drzwiami do klatki Haler. Podkomisarz wyciągnęła z kieszeni klucz i zamarała w bezruchu. Trwało to kilka długich sekund. Po chwili rzuciła się w ramiona Deryły jak bezradna dziewczynka. Przytuliła się do niego, po czym głośno pociągnęła nosem. Wbiła palce w jego plecy. Spazm płaczu wstrząsnął jej ciałem, ale szybko się opanowała. Nim Deryło zdążył cokolwiek powiedzieć, otworzyła drzwi i znikła na klatce.

– Do jutra. – Dobiegł go jej spięty głos.

Stał przed klatką tak długo, aż na korytarzu zgasło światło.

Samotnik czekał na wieści. Wkrótce powinien dowiedzieć się czegoś konkretnego. Wtedy mógłby rozpocząć swoją grę. Był jednak bardzo ostrożny, a ostrożność wydłużała procedury. Zmuszała do odłożenia w czasie gratyfikacji cierpliwości oraz satysfakcji z obmyślonego planu. Choć jednocześnie Samotnik wciąż zastanawiał się, na ile rozwój wydarzeń był zależny od niego. Czy nie poddawał się jedynie pędowi historii? Czy w ogóle cokolwiek można było zaplanować i czy wszelkie czyny oraz działania stanowiły wynik procesów całkowicie niezależnych od człowieka?

A może wszystko było zaplanowane w boskim zamierzeniu? W końcu jakiś nadzwyczajny, wszechwieczny porządek mógł obejmować całą przeszłość i przyszłość. Postępowanie każdego człowieka mogło nie być zależne od niczego innego, poza owym zapisem w harmonogramie wieczności. Biorąc to pod uwagę, nie można było mówić o wolnej woli. Nawet gdyby mieć przeświadczenie o jej posiadaniu, stanowiłoby to jedynie ślepią uliczkę. Ta świadomość byłaby już gdzieś zapisana. Tak samo jak chęć poddania jej ewentualnej próbie. Stojąc na rozdrożu, mamy prawo się zastanawiać, w którą stronę podążać, ale wybór może być już dawno określony. Oto predestynacja.

Tyle że w tej cholernej heretyckiej teorii było mnóstwo nieścisłości. Skoro wszystko zostało objęte bożym planem, skoro ludzie z góry byli zbawieni lub potępieni, dlaczego w ogóle sięgano po konstrukcję grzechu? Brak wolnej woli wykluczał możliwość jego popełnienia. To znowuz prowadziło do kolejnych dwóch wniosków.

Po pierwsze, grzech w ogóle nie istniał, więc można było działać bez jakichkolwiek skrupułów lub wyrzutów sumienia. Wszelkie, nawet najpotworniejsze działania były z góry usprawiedliwione – gdyż zapisano je jako przynależne do sfery niepodlegającej kontestacji.

Po drugie, co było dla Samotnika wnioskiem dalece smutniejszym, realizowanie planu pisanego nam przed urodzeniem pozbawiało jakiegokolwiek satysfakcji działania. Nie można było cieszyć się z sukcesów ani nie powinno się czuć złości z powodu porażek. Nie miała sensu nawet nienawiść, bo wszelkie działania innych osób również nie były od nich zależne. Świat sprowadzał się do świata robotów, których emocjonalność nie miała najmniejszego znaczenia. Zdawało się im, że myślą i czują, a w rzeczywistości działają wedle zapisanego w nich algorytmu.

Samotnik podniósł się z fotela. Na szczęście nie był heretykiem, który wierzyłby w takie bzdury. Wtedy życie z natury nie miałoby najmniejszego sensu. Jednak rozmyślanie na podobne, często nawet na dokładnie te same tematy stanowiło jeden z jego rytuałów. Pozwalało dokonać duchowej ablucji i umocnić przekonanie, że ma rację. Innej drogi nie było. Każde odstępstwo stanowiło zboczenie ku nihilizmowi oraz nicości, które nie przystawały do światopoglądu Samotnika. Dla niego ofiara oraz pokuta miały głębokie znaczenie. Co więcej, czuł, że już sama świadomość tego znaczenia czyni go człowiekiem lepszym. Być może nawet wybranym – choć nie w tym znaczeniu, jakie wybraniu przypisują zwolennicy predestynacji. To jego kontemplacja oraz oddanie przemyśleniom sprawiły, że wzbił się na kolejny etap rozwoju. To jego wolna wola czyniła go lepszym.

Samotnik usłyszał pukanie do drzwi. Było szybkie i mocne. Zerknął na starego, mechanicznego tissota. Skrzywił się, widząc, że przybysz zjawia się ponad kwadrans przed czasem. Nie lubił niepunktualności. Powinien mieć jeszcze nieco czasu na oddanie się rytualnym rozmyśleniom. Westchnął i spojrzął na ikonę przedstawiającą Chrystusa Pantokratora. Wymownie rozłożył ręce, jakby przeproszał Go, że musi już iść.

Powoli, swoim tempem, przeszedł do drzwi. Odsunął rygiel oraz zdjął łańcuch. Uchylił je, po czym zawrócił w stronę pokoju.

– Jesteś za wcześnie – syknął, nie kryjąc oburzenia. – Powtarzałem, żebyś...

Czyjaś dłoń zasłoniła mu usta. Poczł głębokie ukłucie w ramieniu, a ułamek sekundy później zakreśliło mu się w głowie.

– Ja jestem zawsze o czasie – usłyszał, tracąc przytomność. – Ja jestem Śmierć.

Śmierć działała szybko. Nie zastanawiała się nad swoim przeznaczeniem ani nad wolną wolą. Po prostu realizowała skrętnie obmyślany plan. Na szczęście położenie lokum Samotnika pozwalało działać sprawnie i bez obawy o obecność osób trzecich. Właściwie dostać się tu można było tylko całkowicie rozmyślnie lub przez niewiarygodny przypadek. A w aż tak ponure przypadki Śmierć nie wierzyła. Nie brała ich w ogóle pod uwagę. W końcu we wszystkim liczył się również łut szczęścia, który towarzyszył jej dotąd.

Nylonowa żyłka wbiła się w nadgarstki Samotnika. Śmierć zacisnęła ją tak mocno, by nie rozciąć skóry, lecz ograniczyć jakiegokolwiek ruchy. Podobnie należało działać z nogami ofiary. Dopiero po całkowitym skrępowaniu można je było bezpiecznie transportować. Lepiej było nie narażać się na przykre niespodzianki w trakcie drogi. Szczęście szczęściem, ale głupota głupotą. Z pewnością byłoby nią bezsensowne ryzykowanie. Tym bardziej że środek usypiający miał różną długość działania. Śmierć wielokrotnie przetestowała go wcześniej na sobie.

Samotnik cicho jęknął, gdy otworzyła mu usta i wepchnęła w nie wilgotną szmatę. Istniało ryzyko zadławienia, ale w tym wypadku Śmierć zdawała się na szczęście krępowanego. Powinno mu dopisać i pozwolić nie udusić się, dopóki nie dotrą na miejsce. To nie miało trwać zbyt długo. Znacznie bardziej można się było martwić, by na leśnych bezdrożach wrzucona do bagażnika ofiara nie rozbiła sobie głowy. Ale to również nie stanowiło specjalnego problemu.

W ogóle Śmierć była w dobrym humorze. Wszystko nadal szło zgodnie z planem i nie zapowiadało się, by mogło być inaczej. Choć zazwyczaj nagłe wypadki są niespodziewane, więc... Ta myśl wydała się Śmierci wyjątkowo ponura. Natychmiast skupiła się na ofierze. Chwyciła Samotnika pod ramię i nie bacząc na nierówność podłogi, zaczęła go ciągnąć. Mężczyzna uderzył głową w krzesło, a potem w próg. Śmierć jedynie cicho się z tego zaśmiała.

W momencie, gdy podchodziła do drzwi, usłyszała kroki na piaskowej ścieżce. Przystanąła, z zaciekawieniem nasłuchując i mrużąc oczy. Puściła ramię Samotnika. Chwilę później rozległo się pukanie.

Śmierć zamarła w bezruchu. Na to również była przygotowana. Bezgłośnie podeszła do drzwi, przy których zostawiła niewielką torbę. Wyjęła z niej pałkę teleskopową. Nacisnęła klamkę, po czym gwałtownie wypadła na dwór.

Zaatakowała bez zastanowienia. Gwałtownie i brutalnie. Jak zawsze.

## Dzień kolejny

Czyjś cień przemknął po ścianie korytarza. Deryło przyspieszył kroku, zaciekawiony tym, kto o tej porze mógł być pod jego drzwiami. Mieszkał na najwyższym piętrze, a mieszkanie naprzeciwko od lat stało puste. Sąsiedzi wyjechali za granicę i nie sprzedali go tylko dlatego, że stanowiło zabezpieczenie ich planów ewentualnej ewakuacji. By je wynajmować, nie mieli ani siły, ani ochoty. Widocznie gotówka zarobiona na Zachodzie pozwalała utrzymać to lokum mimo rosnącego stale czynszu.

Komisarz napiął mięśnie i ostatnie stopnie półpiętra pokonał biegiem. Wychylił się, aby zerknąć w górę. Był gotów w każdej chwili uskoczyć lub odeprzeć atak. Nie wiedział tylko, czego mógłby się spodziewać.

CIERP

Pięć liter przewinęło mu się niczym hasło ostrzegawcze przed oczami.

CIERP

Zamrugnął i zobaczył zarys kobiecej sylwetki. Smukłej, wysokiej o kasztanowych włosach. Dokładnie takiej, jaką była jego żona przed dwudziestu laty, nim postanowiła na zawsze ściąć piękne loki. Wiktoria. Jego córka.

– Mój Boże... – wyszeptał i wbiegł po kolejnych stopniach.

Serce tłukło mu się z radości jak oszalałe. Nie wiedział, co miałby powiedzieć, więc postanowił milczeć. Wyciągnął dłonie, aby ją wyściskać. Dziewczyna odwróciła się, po czym uśmiechnęła tak, jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni. Smutno i pusto. Mimo to pozwoliła się uścisnąć i sama przywarła do piersi ojca. Spuściła głowę, jakby chciała ją schować pod jego ramieniem.

Deryło powoli nabrał powietrza. Delektował się zapachem ciała, który, choć przykryty aromatem perfum, był mu znany od prawie ćwierć wieku. Pamiętał, gdy pierwszy raz trzymał swoją córkę na rękach. Pamiętał jej pierwszy uśmiech, tak inny od dzisiejszego.

– Chodź, wejdz... – Wciąż ją ściskając, wyciągnął klucze do mieszkania. – Długo tu czekasz?

– Tylko chwilę.

– Dobrze, to dobrze. Mogłaś zadzwonić, przyjechałbym natychmiast i...

– Dokąd? Tu nie można przyjechać.

Deryło wyprostował się i lekko odsunął od córki.

– O czym ty mówisz? Gdzie nie można przyjechać?

Wiktoria wyrwała się z jego objęcia. Spojrzała na niego z wyrzutem, a jej niemal czarne oczy błyszczały.

– Tu dostajemy się tylko po śmierci. Ale nikt nie wie, jak można się odnaleźć. Czekałam bardzo krótko, lecz szukałam cię już od długiego czasu...

– Wiki... Przestań pleść.

Deryło chciał dotknąć ramienia córki, lecz jego dłoń przeszła widmową pustkę. Serce podeszło mu do gardła i zabiło w rytmie znanej muzyki. Muzyki, która...

Otworzył oczy i przez chwilę starał się złapać powietrze. O mało nie krzyknął, uświadamiając sobie, że jedynie śnił.

Telefon na szafce nocnej wygrywał *Sarabande*. Przyciągnął go i nie patrząc w ekran, odebrał. Nie miał pojęcia, która godzina.

– Halo?

– Komisarzu... – Natychmiast rozpoznał głos Brzeskiego. – Niech pan szybko przyjeżdża. Zaczęło się.

Deryło szybkim krokiem minął automat z kawą. Przez chwilę miał ochotę się zatrzymać, ale ciekawość zwyciężyła nad rytuałami. Włożył dłoń do kieszeni i wyszukał sesterc. Na szczęście moneta była na miejscu. Przynajmniej jeden dobry znak. Pokrzepiony wbiegł po schodach, mijając dwójkę funkcjonariuszy. Wysoki, postawny podkomisarz skinął mu głową.

– Gratulacje – powiedział z poważną miną.

Deryło zerknął na niego ponuro.

– Tak, wiem, że świetnie wypadłem w roli przebierańca – burknął, nie zatrzymując się. – Ale serdecznie dzięki.

– Pan nie rozumiał. Gratuluję awansu, podobno to już oficjalne.

– Co takiego?

Komisarz zatrzymał się w połowie schodów.

– Wszyscy mówią, że przyjął pan nominację – odezwała się zgrabna, wysportowana brunetka. – Będzie pan dobrym następcą inspektora Knapa.

– Ale ja...

Deryło machnął ręką. Nie zamierzał się tłumaczyć. Plotki rozsiewane po wydziale każdego ranka wyprowadzały go z równowagi, a ta była całkowicie debilna. Trzeba było nadzwyczajnej fantazji, aby w nią uwierzyć.

– Dzięki – mruknął, wbiegając na górę. – Naprawdę dzięki.

Skręcił z klatki schodowej w długi korytarz. Minął rząd juk, które stały tu od dekad, chyba jedynie siłą tajemniczej hibernacji. Zerknął za okno. Stare Miasto majaczyło na horyzoncie niczym wydrążone przez człowieka szczyty wzgórze. Od południa nadciągały skłębione, sinobrazowe chmury. Rzuciły rozległe cienie i zapowiadały burzę. Wiatr targał koronami drzew. Przeciąg trzasnął jednym z okien, a po podłodze potoczył się pusty kubek po kawie.

Deryło oderwał wzrok od rozległej panoramy i skierował ku drzwiom gabinetu Haler. Pchnął je, po czym bez pukania wszedł do środka.

– Mogę powiedzieć „dzień dobry” czy to niewłaściwe przywitanie?

Tamara oraz Brzeski spojrzeli na niego ponuro. Skinęli głowami, po czym aspirant lekko się uniół z krzesła.

– Gratu... – zaczął mówić, lecz na widok miny komisarza natychmiast zamilkł.

– Co to za pieprzone plotki? Uznaliście, że po wieczorze robienia z siebie debila trzeba polechtać moje ego?

– Nie, ale...

– Więc nie zaczynajcie.

Deryło podszedł do biurka i zerknął na monitor. Wyświetlała się na nim dobrze już mu znana strona. Jednak tym razem sceneria była rozświetlona reflektorami. Po dwóch bokach kartonowej szubienicy ustawiono wózki inwalidzkie. Stały odwrócone tyłem, lecz wyraźnie widać było w nich zarys ludzkich sylwetek. Głowa jednego z siedzących delikatnie się poruszała jak u dziecka odmawiającego kolejnej porcji posiłku.

– Co to jest? – Komisarz wskazał na czerwone cyfry w rogu ekranu.

– Nazwał to „liczbą widzów spektaklu” – wyjaśniła Haler.

– Ponad dwanaście tysięcy?

– Kilka minut temu było ledwie sto osób...

Deryło wypuścił powietrze. Jego uwagę przykuły znacznie mniejsze cyfry na dole ekranu. Te zmieniały się regularnie.

– A to? O co w tym chodzi?

– Odliczanie sekundowe. Zgodnie z zegarem przedstawienie ma się rozpocząć za niespełna



dziesięć godzin.

– Cholera... Chyba możemy się domyślić, co będzie na jego końcu.  
Haler, międląc wargę, pokiwała głową.

Śmierć przechadzała się za kulisami. Na tę chwilę czekała od dawna. To był jej wielki moment i dowód na to, że w każdej sztuce pierwszoplanową rolę odgrywał reżyser. Aktorzy byli jedynie pacynkami na jego dłoniach. Marionetkami. Czy ktokolwiek przyznaje nagrody szmacianym laleczkom? Przecież one są kompletnie nieistotne. Nieistotny jest również człowiek, który w pocie czoła nimi porusza. Liczą się sekwencja ruchów, scenariusz oraz ewentualnie dekoracje. Nic więcej. No, chyba że ktoś poważałby się dodać do tego jeszcze muzykę.

Kilka kroków wystarczyło, by obejść scenę. Należało jedynie omijać dokładnie oznaczone miejsca uchwycone w kadrze. Na ukazanie się Twórcy czas jeszcze miał nadejść. Dobrze było zostawić to na wielki finał. Pośpiech mógł zepsuć cały efekt kulminacyjny.

Oczy Samotnika były szeroko rozwarte. Pod jego nosem skrzył się pot. Nozdrza poruszały się w tempie przyspieszonych, strachliwych oddechów. Mężczyzna miał otwarte usta, do których wepchnięto knebel. Cicho jęczał. Jego krótkie, siwe włosy były zmierzwione i przepocone. Z rozciętego policzka ciekła strużka krwi.

Śmierć przypatrywała się mu z kilku metrów. Obróciła głowę, jakby zmiana kąta pomagała dostrzec nowe szczegóły. Delektowała się tym widokiem. Jej ręce drżały z podniecenia, a oddech zrównał się z oddechem Samotnika. Tak, to był właściwy rytm. Czy właśnie w takim tempie oddychają skazani na śmierć? Czy po raz ostatni ich klatka piersiowa unosi się łapczywie, chłonąc powietrze? Czy też wiedzą już, że go nie potrzebują i rezygnują z próby oddechu?

Śmierć wyprostowała się i przysłoniła twarz czerwoną, diabelską maską. Przekroczyła nakreśloną na podłodze linię. Wiedziała, że właśnie znalazła się w kadrze, a swój wzrok kierują na nią dziesiątki lub może już setki tysięcy widzów. Z całego świata. Oto było prawdziwe przedstawienie na miarę współczesnych czasów.

Powoli podeszła do Samotnika. Dawniej zastanawiała się nad wygłaszaniem deklaracji lub odezów, ale uznała, że to nie będzie potrzebne. Przynajmniej nie na samo otwarcie. Gadanie zaburza odbiór i zbędnie miesza ludziom w głowach. Odwraca ich uwagę od tego, co najważniejsze.

W ciszy zatrzymała się i rozwiązała węzeł na karku Samotnika. Mężczyzna szarpnął się, po czym z trudem wypluł kawałek zwiniętego materiału. Odchrząknął. Zachłannie wciągnął ustami powietrze i natychmiast wybuchnął kaszlem.

– Czego... Chcesz? – wychrypiął. – Rozwiąż mnie.

Śmierć nie odpowiedziała. Przez chwilę coś robiła przy fotelu, do którego przykuty był Samotnik. Wreszcie pchnęła jakąś dźwignię, a siedzisko odchyliło się. Wtedy dopadła do jego głowy i wbiła szponiaste palce w stawy żuchwowe. Rozwarła usta mężczyzny. Brutalnie wepchnęła w nie pas szorstkiego materiału. Nim skrępowany zdołał go wypluć, sięgnęła po przygotowany uprzednio kanister z wodą. Chlusnęła nią w twarz Samotnika. Mężczyzna zaczął się krztusić i opętańczo usiłował złapać powietrze. Jednocześnie połknął kawałek materiału. Śmierć, nie pozwalając mu odetchnąć, ponownie polala jego twarz wodą. Efekt był taki sam jak przed chwilą, tyle że dławiąc się, Samotnik przełknął znacznie dłuższy fragment paska. Jego oczy wychodziły z orbit. Woda spływała po policzkach i skapywała z włosów. Usiłował odchrząknąć, ale nie był w stanie. Jego ciałem wstrząsnął odruch wymiotny. Wtedy Śmierć po raz trzeci chlusnęła w niego wodą. Oszacowała, że łącznie zniknęło już ponad dwadzieścia centymetrów materiału. A to był dopiero pierwszy, eksperymentalny raz. Przedstawienie miało przecież trwać wiele godzin.

Gwałtownie pociągnęła końcówkę paska, wyszarpując cały materiał z gardła Samotnika. Rozległo się ciche chrupnięcie. Mężczyzna odcharknął, a po chwili zaczął wymiotować. Śliną, żółcią oraz krwią.

– Mówiłeś, ale nie tak, by cię słuchano. – Po raz pierwszy odezwała się Śmierć.

Czasem liczyła się improwizacja. Słowa wywoływały właściwy efekt, bo Samotnik, dławiąc się

rzygowinami, skierował na nią wzrok. Widać, że doskonale zrozumiał przesłanie. Ze strachu zmoczył spodnie, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Był sparaliżowany z przerażenia.

– Da się z tym coś zrobić? Powiedz, że tak.

– Mam kłamać? – ViSir odpowiedział, wpatrując się w ekran.

Widniały przed nim rzędy cyferek oraz kolumny rozmaitych znaków. Przewijał je w błyskawicznym tempie, jednocześnie zerkając na pomniejszone w prawym górnym rogu okienko z transmisją makabrycznego show. Co prawda, nie było widać twarzy katowanego mężczyzny, ale kąt, pod jakim nagrywano film, umożliwiał wyobrażenie sobie jego cierpienia. Tortury wywoływały mdłości, a odgłos stóp tłuczących o skraj fotela niczym ogon ryby o piasek wżynał się głęboko w umysł. Informatyk, nie mogąc go znieść, ściszył dźwięk.

– Podgłośnij – natychmiast nakazała Haler. – Chcę wszystko słyszeć.

– Ale ja...

– Zrób to. Bez gadania.

ViSir otarł pot z czoła i posłusznie wykonał polecenie. Zagryzając zęby, błyskawicznie przedzierał się przez kolejne zrozumiałe tylko dla niego kody. Deryło stał za jego plecami, również wpatrując się w ekran. Postać w masce wyprostowała się i zdawało się, że patrzy wprost w obiektyw. Trwało to tylko chwilę, lecz komisarz poczuł nieprzyjemny dreszcz. Mimowolnie zacisnął dłoń na oparciu fotela informatyka tak mocno, że plastik pękł.

– Cholera... – syknął.

– Masz jakiś pomysł? – Haler nachyliła się, niemal dotykając nosem ekranu. – Ma go którykolwiek z was?

Odpowiedziała jej cisza. ViSir niczym wirtuoz przy fortepianie wpisywał na klawiaturze kolejne hasła. Nagle nacisnął jeden z klawiszy i tryumfalnie uniósł dłoń. Haler z nadzieją odwróciła się w jego stronę.

– No i?

Na ekranie pojawiło się czarne pole z ikonką ładowania. Na twarzy informatyka wyraz radości szybko przemienił się w grymas rozczarowania.

– Kurwa... – zaklął, co niemal mu się nie zdarzało. Przynajmniej nie w towarzystwie Tamary. – Ten gnój stosuje banalne zabezpieczenia, ale ma cholerny fart. Serwer, którego używa, koduje wyszukiwania i... Nieważne. Mówiąc obrazowo, co chwilę przenosi się w inną część świata, a ja nie mogę za tym nadążyć. Wysłałem prośbę o pomoc do Interpolu, oni mają specjalistów prima sort, ale nawet wspólnie z nimi uganiamy się bez skutku...

– Czyli nie ma na to rady?

– Oczywiście, że jest. Gość nie ma szans ze specjalistami, ale... To potrwa.

– Jak długo?

Deryło obszedł biurko i zabębnił palcami o jedną z drukarek. ViSir łypnął na niego błagalnie, jakby prosił, by komisarz oszczędził te sprzęty.

– Kilka godzin – wyszeptał, po czym zaraz zaczął się tłumaczyć. – Robimy, co w naszej mocy, ale koleś jest naprawdę cwany. Nie jest mistrzem, więc wkrótce na pewno go dogonimy. Po prostu ma szczęście.

– Wkrótce to nie jest kilka godzin.

Deryło rąbnął pięścią w biurko. Haler również spojrzała na niego z przyganą.

– Twoje wściekanie się niczego nie przyspieszy...

W tym samym momencie odezwał się telefon komisarza.

Knap natychmiast chciał ich widzieć w swoim gabinecie. Właściwie na drzwiach już nawet nie było plakietki z jego nazwiskiem, a w pomieszczeniu znajdowało się jedynie biurko z laptopem oraz prawie pusta szafka. Na ścianach w kilku miejscach widać było ślady po zdjętych dyplomach, fotografiach oraz obrazach. W środku jednak niezmiennie pachniało owocowym dymem wypuszczanym co rusz przez inspektora z elektronicznego papierosa. Mimo to Knap nie był spokojny. Od kilku minut pieklił się, wymyślając Brzeskiemu, Haler, a przede wszystkim Deryło, że psują mu moment odejścia na emeryturę.

– Rzućcie pomysły. No, dalej... Chcę widzieć, jak myślicie. Nie gapcie się tak na mnie, to nie jest moje widzimi się.

Deryło spojrział na niego z ukosa. No, tak. Mógł się tego spodziewać. Knap był tylko marionetką w rękach swoich przełożonych i wygrywał taką melodię, jaką oni chcieli. Tak samo jak on musiał teraz działać pod jego dyktando. Ta ponura konstatacja wywołała na twarzy komisarza bezwiedny uśmiech. Knap fuknął z przyganą.

– I z czego recholisz?

– Wszyscy gramy swoje role w teatrze życia...

– Co takiego?

– Nic... To po prostu luźne przemyślenie.

Haler z niedowierzaniem pokręciła głową. Każda narada od miesięcy prowadziła do niekonstruktywnej awantury.

– Panowie... Tracimy czas.

– Straciliście go już wystarczająco dużo – wycodził Knap. – Jak na ukoronowanie mojego odejścia. Jak na pożegnalny prezent albo na...

– Zapewniam, że nikt nie miał takich intencji. – Deryło teatralnie zaklaskał. – Naprawdę chcieliśmy świętować pańską emeryturę.

– Jeśli jeszcze raz...

– Przestańcie. – Haler przerwała ich wymianę zdań. Po chwili odezwała się oschłym, rzeczowym tonem. – Rozpatrując podejrzanych, z ich listy musimy skreślić Teresę Piwnik. Chłopaki, którzy ją obserwują, twierdzą, że od paru godzin siedzi w domu. Oczywiście nagranie transmitowane w internecie mogło być stworzone z wyprzedzeniem, ale ViSir raczej wyklucza taką możliwość. Podkreślam słowo „raczej”. Ciągłe nie mamy żadnych wieści o Dębskim i to najbardziej mnie martwi. On ma doświadczenie i wiedzę, żeby być krok przed nami. Zastanawia mnie tylko jego motywacja...

– A motywacja jest kluczem – wtrącił się Deryło. – Chyba że Dębski został nagle płatnym zabójcą.

Haler spojrzała na niego, mrużąc oczy. Nagle jej brwi zwały się niemal w pojedynczą kreskę. Odruchowo przeczesła palcami włosy, po czym pstryknęła palcami.

– Bingo! To wcale nie tak głupie, jak się początkowo wydaje. Zastanówmy się nad tym. – wycodziła. – Wtedy mielibyśmy śmiertelnie niebezpiecznego najemnika oraz tajemniczego zleceniodawcę.

– Mogłaby nim być właśnie Teresa Piwnik – dodał Brzeski.

Deryło sapnął.

– Właśnie... Od początku założyliśmy, że mordercą jest jakiś świr albo...

– To ty tak założyłeś – wtrąciła Haler, po czym natychmiast spolegliwie uniosła dłonie, dając mu znak, by mówił.

– Okoliczności zbrodni sugerowały działanie szaleńca, ale to mogło być tylko wodzenie nas za nos. Mylny trop. W rzeczywistości wszystko może być wyrachowaną zbrodnią na zlecenie.

Brzeski spojrział na komisarza.

– Należałoby ustalić, w jaki sposób Piwnik mogłaby zapłacić za takie... zlecenie.

– A czy to ważne? Musimy znaleźć sposób, aby ją przycisnąć. Przecież niemożliwe, aby nie zostawiła jakiegoś śladu.

– O ile to rzeczywiście ona. – Haler przymknęła oczy. – Choć może... – odezwała się zamyślona – gdybyśmy znaleźli więź między nią i Dębskim, wtedy wszystko byłoby jasne...

Przygryzła wargę, coś analizując. Zmarszczyła czoło i odchyliła głowę do tyłu. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu na biurku Knapa. Inspektor sięgnął po słuchawkę i bąknął kilka słów, po czym zamilkł.

– Dobrze, oczywiście – odparł ponurym tonem. – Już to przekazuję zespołowi.

Powiódł po podwładnych wyjątkowo chmurnym spojrzeniem.

Polecenie płynęło z „góry”. Knap nie określił przy tym, z kogo owa „góra” się składała, lecz ton jego głosu był wymowny. Jakakolwiek próba polemizowania nie wchodziła w grę. Deryło miał osobiście poprowadzić konferencję prasową w sprawie transmisji, którą oglądała już większość internautów w kraju.

– A potem... może ogłosimy, że zostałeś nowym naczelnikiem.

Komisarz łypnął najpierw na Knapa, a potem na Haler. Miny obojga pozostały poważne, więc coś w tym było. Tylko nie potrafił pojąć co. Żart? Sarkazm? Przecież nikt bez porozumienia z nim nie mianowałby go na to stanowisko, a poza tym, znając swoje układy – a raczej ich całkowity brak – nie wierzył w jakąkolwiek szansę na podobną nominację.

– Co to za bzdury? – zapytał oschle.

Knap nie odpowiedział. Wskazał na zegarek i zapukał palcem w tarczę.

– Konferencja zacznie się za niecałą godzinę.

Na nic się zdały protesty, że przygotowując się do niej, zmarnotrawią jedynie tak ważny czas. Powinni działać, a nie debatować i odpowiadać na pytania żądnych krwi dziennikarzy. Powinni...

– Do zobaczenia.

To były ostatnie słowa inspektora, które usłyszał. Nie zamierzał tracić cennych minut na polemizowanie ani na próbę uzyskania wyjaśnień. Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Teraz, jak kołek, stał na sali pełnej dziennikarzy. Od tej roboty był rzecznik, a nie on, ale nikogo to chyba nie obchodziło. Dlatego dziwnym zbiegiem okoliczności po raz kolejny miał prowadzić konferencję.

Mówił jak zwykle rzeczowo, prosto i nie wahając się używać dosadnych słów. W kilku zdaniach streścił sprawę, po czym błagalnie spojrzął na zegarek.

– Proszę państwa, to oficjalny komunikat. Nie będę odpowiadał na pytania, gdyż muszę zająć się śledztwem – oznajmił na zakończenie, po czym przypomniało mu się, że poproszono go, by wspomniał jeszcze o dwóch kwestiach. – Usiłujemy zablokować serwery, jednak proszę o powstrzymanie się od zaglądania na wiadomą witrynę. Nie wiemy, czy nie znajdują się na niej szkodliwe oprogramowania oraz wirusy. Ponadto proszę o szczególne zwrócenie uwagi na dzieci i to, co robią przed komputerami. To by było na tyle... Głos oddają rzecznikowi.

Tupiąc, zbiegł z niewielkiego podwyższenia i skierował się do wyjścia. Nie zważał na dziennikarzy garnących się ku niemu, by zadać pytania. Idąc jak taran, odtrącał ich na boki. Dopiero gdy jedna z osób nie przesunęła się i wpadł na nią, podniósł wzrok. Była to posterunkowa Nowak. Miała zaczerwienioną twarz, a jej oczy błyszczały z podekscytowania.

Pochyliła się i niemal przytknęła wargi do ucha Deryły.

– Mamy telefon do pana... – wyszeptała na tyle głośno, by przebić się ponad gwar rozmów. – Nie zgadnie pan, kto jest na linii...

Śmierć oderwała wzrok od ekranu niewielkiego, starego telewizora. Postawny, przypominający boksera wagi ciężkiej komisarz zniknął. Kamera została skierowana na kogoś innego. Zapanował chaos, a z głośników dobiegła wrzawa dziennikarzy.

Jak zwykle niewiele było trzeba, aby wywołać sensację. Strona z transmisją przedstawienia była strzałem w dziesiątkę. Zgodnie z przypuszczeniami zmusiła śledczych do podzielenia uwagi między dochodzenie a usiłowanie uspokojenia opinii publicznej. Skutek konferencji oczywiście był odwrotny do zamierzonego przez służby. W ciągu kilku minut wyświetlenia strony ponownie się podwoiły. Zasięgi ogólnosiwiatowe ocierały się o liczbę siedmiocyfrową.

Śmierć podeszła do Samotnika i uderzyła go po twarzy. Od numeru z połykaniem strzępu materiału oraz podtapianiem mężczyzna momentami tracił przytomność. Z jego niezakneblowanych ust dobywał się charkot. W krótkich chwilach świadomości rzeził i szarpał się.

– Wstawaj.

Kolejny cios otwartą dłonią w policzek był mocniejszy. Samotnik szeroko otworzył oczy i wierzgnął skrępowanymi nogami. Śmierć z satysfakcją pomachała nad nim zwojem materiału. To spowodowało kolejne bezskuteczne wierzgnięcie uwięzionego zwierzęcia.

Śmierć upewniła się, że obie kamery skierowane na scenę są w zapisie. Wyciągnęła skalpel, po czym ponownie nachyliła się nad Samotnikiem. Jedną dłonią odwróciła jego głowę na bok. Oszołomiony mężczyzna niemal nie stawiał oporu. Bezsilnie cicho bełkotał oraz co chwilę pokastywał. Jednak gdy kątem oka dostrzegł błysk ostrza, rozpaczliwie usiłował się wyrwać. Więzy przytrzymały jego ciało w miejscu. Kolejna próba również nic nie dała i Samotnik wybuchnął spazmatycznym płaczem.

– Nie, proszę... Nie...

Jednak Śmierć nie zwracała żadnej uwagi na jego rozpaczliwe błagania. Przyłożyła skalpel do jego ucha i poprowadziła powoli cięcie. Gdy odkroiła płat skóry, rana zaczęła intensywnie krwawić. Samotnik wrzeszcząc usiłował się wyszarpnąć. Nadaremno.

– Jeśli będziesz się rzucał, zamiast ucha podetnę ci gardło – wyszeptwała Śmierć. – To kolejna kara. Nie słuchałeś, gdy do ciebie mówiono.

Uwięziony mężczyzna cały drżał. Mimo to przestał próbować walczyć, z jego nosa płynął śluz, a z ust skapywała ślina zmieszana z krwią. Płakał już zupełnie bezgłośnie, jakby stracił siłę na krzyki. Tymczasem Śmierć pogłębiała nacięcie. Raz za razem. Dopóki nie odkroiła ucha. Cały płatek spłynął ku szyi i spadł na podłogę w kałużę krwi.

– Nie słuchałeś, gdy do ciebie mówiono – powtórzyła Śmierć.

Odwróciła się i powoli podeszła do aparatury. Nacisnęła jeden z przycisków, a wtedy z głośników w pomieszczeniu dobiegł dźwięk nawiązywanego połączenia. Po chwili rozległ się głos dyżurnego policjanta.

– Komenda wojewódzka policji, słucham.

Ciekawe, jak przekonująca musiała być Śmierć, by przekazano telefon Deryle. Właściwie znalazła na to jeden prosty sposób. Zagrozić, że włączy się dźwięk transmisji, by za chwilę odmowę połączenia z prowadzącym śledztwo usłyszało parę milionów ludzi.

Tak, to był właściwy argument.



– Halo?

– Komisarz Eryk Deryło, we własnej osobie! Miło pana słyszeć.

– Zastanów się nad tym, co robisz. Możesz to jeszcze zatrzymać, wtedy prokuratura...

– Tego nie można było powstrzymać już od bardzo dawna. Choć nie wiem, jak by się chciało.

Pewne wydarzenia są od nas niezależne. Dzieją się wbrew naszej woli i kształtują nas na całe życie.

– To my kształtujemy swoje życie.

– Mówi pan tak, bo pańskie życie zapewne przypominało ciąg sukcesów i stanowi powód do dumy. Słynny komisarz, który zbawia świat.

– Mylisz się.

– Wystarczyło popatrzeć na pańską zadowoloną z siebie gębę na konferencji.

– Cieszę się, że moja aparycja sprawia tak przyjemne wrażenie. Ale to nie ja raczej jestem przedmiotem tej rozmowy.

– Zgadza się. Nie pan.

– Więc czego chcesz?

– Przede wszystkim... Czy aparatura namierzająca rozmowy działa tak jak w filmach? Czy już minęła minuta potrzebna do wykrycia, gdzie jestem? No, niech pan odpowiada.

– To nie takie proste.

– Dziękuję za szczerość, komisarzu. Tak właśnie myślałem. Ale przejdźmy do sedna.

Głos, zmodyfikowany przez jakieś urządzenie, na moment zanikł. Deryło nie miał wątpliwości, że jego rozmówca nie tylko zmienia jego ton, ale również szyfruje połączenie. Ta wymiana zdań od samego początku była grą pozorów. Właściwie ponownie nie wiedział nawet, czy po drugiej stronie linii jest mężczyzna, czy kobieta.

– Co jest tym sednem?

– To, że właśnie odbywa się największe widowisko w dziejach teatru. A teraz pragnę rozdać darmowe wejściówki, słyszy mnie pan? Chcę, aby wziął w nim pan osobisty udział.

– Powiedz gdzie, a będę tam tak szybko, jak tylko się da.

– Już to powiedziałem. Jestem pewny, że dokładnie opisałem to miejsce. Właściwie od samego początku.

– Pieprzone zagadki...

– Nie zagadki. To teatr w teatrze.

Nim Deryło przetrawił te słowa, jego rozmówca się rozłączył. Komisarz powstrzymał się, by nie roztluc słuchawki w drobny mak. Zaciskając zęby, odłożył ją na bazę i zerknął na Haler, która stała obok niego. Wysłuchiwała całej rozmowy z drugiego aparatu. Nie musiał pytać, czy zrozumiała więcej od niego. Na jej twarzy odcisnął się wyraz głębokiej konsternacji, jednak lekko przymknięte oczy zdradzały, że intensywnie myśli.

Nagle ktoś pchnął drzwi i do pomieszczenia weszła dyżurna posterunkowa. Tuż za nią pojawił się Brzeski.

– Chyba go mamy – oznajmił tryumfalnie.

– Namierzyliśmy sygnał z karty Dębskiego. – Brzeski stał wyprężony jak struna. – Karta SIM jest na inne nazwisko, ale raczej nikt inny nie korzysta z jego kont internetowych. ViSir pęka z dumy.

Deryło przeczesał palcami włosy.

– Mów.

Aspirant wyciągnął telefon i otworzył mapę z zaznaczonymi pozycjami GPS. Komisarz przez chwilę się jej przyglądał. Haler usiłowała zerknąć mu przez ramię, lecz Deryło oddał już komórkę Brzeskiemu. Niemal biegiem ruszył do wyjścia.

– Pojedźmy motocyklem! – Tamara ruszyła za nim.

– Nigdy w życiu.

– Gdziekolwiek mamy się dostać, twój rzęch...

– Mój staruszek może mieć problemy. Tak, wiem. Nie wystawię się na baty Knapa albo reszty.

Deryło wypadł na korytarz. Półtorej minuty później skontaktował się z prokuratorem oraz Knapem. Potrzebował pełnego wsparcia. Brygady uderzeniowej, sanitariuszy, może nawet saperów. Nie mógł sobie pozwolić na wpadkę. Nie interesowała go przy tym własna reputacja, ale reputacja całej policji. W sprawie obserwowanej przez setki tysięcy widzów na świecie niestety musiał dbać o procedury. A już samo to napawało go niepokojem.

Chwilę później, gdy z piskiem opon służbowym bmw wyjechał z parkingu poczuł uderzenie adrenaliny. Skupił się na prowadzeniu, lecz jednocześnie wciąż analizował poszczególne wątki sprawy. W umyśle rozbrzmiewały mu fragmenty niedawno odbytej rozmowy.

– Myślę, że go szantażowano – odezwała się Haler. – To układa się w jedyną sensowną całość. Może już wcześniej maczał palce w jakichś brudnych interesach, ale mało kto decyduje się na morderstwo, jeżeli po drugiej stronie szali jest grzywna lub jedynie jakiś symboliczny wyrok.

– Chyba że dochodzą sprawy osobiste.

Tamara z zaciekawieniem spojrzała na komisarza.

– Masz na myśli coś konkretnego?

– Nie. Ale pobicie prostytutki może dotyczyć wątku osobistego.

– Bez związku z tym, co wydarzyło się przed laty?

– A jeśli Werska również była ofiarą jakiegoś zwyrodniałego działania? Nie trafiliśmy na ślad powiązania między nią oraz Piwnik, ale...

Deryło gwałtownie przyhamował. Przed maską przebiegł mu pies. W ostatniej chwili odbił w prawo, po czym wrócił na właściwy tor jazdy. W aucie uniósł się zapach palonej gumy.

– Ja pieprzę... Kolejny dobry początek.

Zerknął na coraz ciemniejsze chmury na horyzoncie. Zaciśnął dłonie na kierownicy i ponownie dodał gazu. Bmw niczym wystrzelone z procy wyrwało do przodu.

Haler otworzyła oczy i odwróciła się do komisarza. Coś nagle przemknęło jej przez myśl.

– Jedziemy na totalne zadupie, gdzie cudem działa internet. Żadnych domów w pobliżu, żadnych ludzi...

– Krótko mówiąc, sielsko i anielsko. Co z tego?

– Nic nam nie wiadomo, by taki dom miał Dębski. Trudno byłoby mu ukryć tytuły własności, księgi wieczyste itp. Już byśmy na coś trafili.

– Co sugerujesz?

– Że to nie jest jego dom. Spośród wszystkich osób, których dotyczyła ta sprawa, tylko jedna przepadła bez śladu.

Deryło sapnął. Niebo na horyzoncie, jak na znak, przecięła pozioma błyskawica.

– Vitold Volt – oznajmił. – Myślisz, że to na jego zlecenie działa Dębski?

– Może działają we dwóch? Jestem sobie w stanie nawet wyobrazić szereg motywacji... Zemsta

na dawnych kumplach, którzy wmieszali go w syf pedofilski lub jakąś inną cholerną aferę, o której wszyscy wolą milczeć. Wzajemne zastraszanie? Tylko o co chodziło w słowach, że wszystko wiemy już od dawna, od samego początku?

– Od początku z pewnością z nami pogrywał. A teraz nie ma się nad czym rozwodzić. – Haler wzruszyła ramionami. – Błagam cię, jedź szybciej.

Komisarz wciskał gaz do oporu.

Ostatnie dwa kilometry musieli przebyć po wąskiej, leśnej ścieżce. Właściwie była to dróżka wydeptana między krzakami oraz drzewami. Niemożliwym było jej pokonanie przez cięższe auta. Chyba że byłyby to pojazdy terenowe. Wreszcie nawet zmodyfikowane, wysoko zawieszony bmw poddało się na koleinach. Ścieżyna zakręcała pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni, a blisko pięciometrowe auto nie miało szans się precyzować. Ze wszystkich stron otaczały ich grube, wysokie drzewa. Nie istniała żadna alternatywna droga przez teren pełen kolein, wąwozów oraz niewielkich pagórków.

– Wsiadamy. – Deryło pchnął drzwi i upewnił się, że ma kaburę na swoim miejscu.

Im byli dalej od komendy, tym bardziej tracił poczucie obowiązku względem procedur. Nawet jeżeli wszystko było transmitowane na żywo, to życie ludzkie było ważniejsze od renomy policji. To jego obronę ślubował lata temu. I rotę tego ślubowania trzymał się przez całą służbę bez żadnego wyjątku. Z tej perspektywy jego kariera nie miała żadnego znaczenia, a mrzonki o awansie można było włożyć między najbardziej wydumane bajki. Nie potrzebował go. Na niego również czekała emerytura i całe stosy książek oraz płyt gramofonowych. Ale jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie.

Biegł truchtem omijając krzaki oraz koleiny. Był to gęsty, całkowicie nieuporządkowany las, niemal bez śladów ludzkiej obecności. Zgodnie z GPS-em cel powinien znajdować się około trzysta metrów przed nimi. Mapy wskazywały na jakąś nieruchomości, lecz nie mieli pojęcia, czy to leśniczówka, altana czy też jakiś dawny, opuszczony magazyn. W podlubelskich lasach było sporo obiektów wznoszonych w czasach PRL, a następnie porzuconych i zapomnianych. Jednak skoro została wyodrębniona z ewidencji gruntów, powinna mieć również właściciela. To skłaniało ich do postawienia tezy, że w owym budynku ktoś mieszkał.

– Patrz...

Haler obiegała niewielki wąwóz od drugiej strony. Wskazała przed siebie. Deryło ruszył we wskazanym kierunku i zobaczył, że drzewa niedaleko przerzedzają się, a za nimi rozciąga się spora polana. Po niespełna minucie znaleźli się na jej skraju. Ukryci za kępą chaszczy wpatrywali się w niewielką, podniszczoną chatę. Była to prawdopodobnie dawna leśniczówka lub pomieszczenie służące administracji lasu. Obecnie przypominała rozpadającą się ruderę z niektórymi oknami zabitymi dyktą, osuniętym fragmentem dachu oraz spróchniałą drewnianą, z której wysypały się omszałe szczapy drwa.

– Idealne miejsce...

Haler wyciągnęła telefon i zerknęła na ekran.

– Tu prawie nie ma zasięgu. Żeby korzystać z internetu musi mieć jakiś specjalny sprzęt...

– Teraz powinniśmy cierpliwie poczekać na wsparcie. – Deryło porozumiewawczo łypnął na Tamarę. – Ale...

Podkomisarz z aprobatą skinęła głową. Po chwili, rozumiejąc się bez słów, ruszyli w stronę chaty. Wzdłuż linii drzew okrążali z dwóch stron polanę. Wciąż pozostawali w kontakcie wzrokowym. Gdy oboje znaleźli się w najbliższej odległości od domu, Deryło uniósł dłoń, co było znakiem do rozpoczęcia akcji. Szaleńczym pędem rzucili się ku zabudowaniom. Każde z nich miało do pokonania ledwie pięćdziesiąt metrów, ale gdy komisarz dopadł do ściany domu, serce mu waliło, jakby pokonał maraton. Zdał sobie sprawę, że w każdej chwili spodziewał się strzału.

Odsapnął i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Tamara znajdowała się po drugiej stronie chaty. Przytknęła palec do ust. Drzewa targane porywami wiatru szumiały jak fale omywające brzeg. W budynku jednak zdawała się panować kompletna cisza. Haler przesunęła się ku oknu z odstającą na zewnątrz ramą. Deryło zatoczył lekkie koło, by asekurować ją, w razie gdyby ktoś wyszedł głównymi drzwiami.

Tamara zajrzała przez brudną szybę do środka. Nagle drgnęła i przywołała komisarza nerwowym ruchem dłoni. Deryło z ruchu jej warg wyczytał nieme przekleństwo. Chwilę później w jej oczach dostrzegł ostrzegawczy błysk.

Na środku niewielkiego pomieszczenia obracało się ciało sierżanta Dębskiego. Pęta szczerze zaciskała się wokół jego szyi. Musiał być martwy już przez jakiś czas, bo jego twarz utraciła świeże, wisielcze barwy. Obrzmiałe wargi miały fioletowy kolor, a wypchnięty niemal granatowy język obrzękł. Oczy mężczyzny były szeroko otwarte, a gałki wyłupiaste i całkowicie przekrwione. Z prawej dziurki jego nosa wyciekła krew. Deryło z trudem rozpoznał w tych rysach twarz z wewnętrznych akt sprawy. Twarz eleganckiego trzydziestokilkulatka z urodą przedwojennego amanta. Mimo to nie miał wątpliwości, że to właśnie on.

Haler stała tuż obok zwłok tak, że czubek buta trupa niemal dotykał jej ramienia. Spoglądała na niego z dołu, chłonąc szczegóły. Nie była jednak biegła w rozpoznawaniu konkretnych obrażeń. To Deryło miał większe doświadczenie, choćby z racji wieloletniej współpracy z Gawińskim oraz uczestnictwa przy dziesiątkach, jeśli nie setkach autopsji. Dlatego czekała, aż komisarz odezwie się pierwszy.

Tymczasem Deryło, międląc między palcami sester, uważnie lustrował pomieszczenie. Był wściekły. Nie mieli wiele czasu, najwyraźniej znów się pomylili, ale usiłował się dopatrzeć jakichkolwiek istotnych śladów. W pokoju nie było wiele sprzętów, a uwagę zwracały liczne dewocjonalia. Widok Jezusów oraz Maryi spoglądających na wisielca przyprawiał o dreszcze. Wszystko przypominało upozorowaną scenę. Jakby... A właśnie.

– Udużono go gdzieś indziej – mruknął. – Bruzda wisielcza jest przesunięta, natomiast skóra została przetarta tak, jakby go zamordowano, gdy leżał. O ile dobrze widzę, ślad na karku również na to wskazuje.

– Czyli to wszystko zaaranżowano...

Haler przygryzła wargę. Powiodła wzorkiem od twarzy wisielca ku oknu, przez które przed chwilą go dostrzegła. Następnie zerknęła w stronę drzwi wejściowych.

– Jego ciuchy nie pasują do tego miejsca – odezwała się po chwili. – Ktoś, kto mieszka w takim bajzlu, nie zakłada czystej koszuli i marynarki.

Stanęła na palcach i powąchała koszulę wisielca ponad paskiem jego spodni. Głęboko wciągnęła powietrze.

– Nadal czuć płyn do płukania oraz proszek. Do tego aromat perfum. W tej chacie pachnie całkowicie inaczej...

– Miód na moje uszy.

Deryło nagle odchrząknął i wskazał w stronę niewielkiej szafki. Leżał na niej designerski telefon komórkowy.

– To chyba również nie Dębski zameldował się na portalach internetowych, dzięki którym trafił na niego ViSir. Zdaje się, że morderca nie miałby problemu z odblokowaniem aparatu jego opuszką palca.

– Fakt. Mało kto w trakcie szarpaniny tak pedantycznie odkłada telefon. Poza tym...

Haler urwała w pół zdania. Poczowała wibrację swojej komórki i wiedzioną przecuciem natychmiast odczytała krótką wiadomość. Spojrzała na komisarza.

– To dom kuzyna Vitolda Volta – skwitowała ponuro. – ViSir właśnie się tego doszukał.

– Vitolda Volta? – Deryło zmarszczył czoło. – A więc to on eliminowałby pozostałą dwójkę?

– O ile sam nie został uprowadzony.

– W takim razie, co tu, do cholery, robił Dębski? To wszystko nie trzyma się kupy...

Tamara bezradnie rozłożyła dłonie.

– Może któryś z nich go wynajął? Może działał faktycznie na zlecenie Piwnik? Albo to wszystko jakaś popieprzona rozgrywka szaleńców.

– Jeszcze niedawno twierdziłaś, że sprawca jest całkowicie poczytalny.

– Owszem. Już mi przeszło.

W tym momencie rozdzwoniły się telefony ich obojga. Pierwszy odebrał Deryło. W słuchawce usłyszał zdenerwowany głos Brzeskiego.

– Mam fatalne wieści, komisarzy...

W tym samym momencie do domu wkroczyli funkcjonariusze brygady szturmowej.

– Podał obsadę. W przedstawieniu występują Karol Werski, Witold Volt oraz Dariusz Liber. – Brzeski spoglądał w ekran komputera. – Na stronie internetowej właśnie wyświetla się taki komunikat. Koleś ma poczucie humoru.

Deryło nie wydawał się zaskoczony.

– W tym momencie jesteśmy w domu, w którym mieszkał Volt.

– Obstawiam, że nie ma po nim śladu.

– Nie... Ale znaleźliśmy Dębskiego. Właściwie sam się znalazł... – Komisarz mówił kodem. Aspirant po tonie jego głosu domyślał się, że jego umysł pracuje właśnie pełną parą. – Przynajmniej możemy go wykreślić z listy podejrzanych.

– Co takiego?

– Dynda na sznurze jak marionetka.

Brzeski głośno wciągnął powietrze.

– A ViSir nadal pracował nad lokalizacją jego telefonu... To znaczy nad historią meldowań pod konkretnymi nadajnikami.

– Odkrył coś ważnego?

– Nie... Przynajmniej nic, z czym wpadłby do mnie, obwieszczając tryumf. Cholera...

Brzeski zamilkł, wpatrując się w ekran. Pojawiły się na nim kolejne komunikaty.

– Co się stało? – Głos Deryły to zanikał, to stawał się dziwnie donośny. – Halo?

– Komisarzu, on właśnie sprecyzował, o co chodzi z tym zegarem.

– Z zegarem? Tym na stronie internetowej?

– Tak. On nie odlicza czasu do rozpoczęcia przedstawienia... Tylko do jego zakończenia. Za niecałe pięć godzin ci ludzie zginą, a wcześniej...

– Co wcześniej? Możesz mówić szybciej i wyraźniej?

– Właśnie to napisał. „Wcześniej czeka ich prawdziwe cierpienie”. On nie żartuje, komisarzu...

Deryło fuknął. W słuchawce rozległ się szmer i na moment zasięg się urwał.

– Jesteś tam? – Brzeski jak zwykle lawirował między formami oficjalnymi a ich prywatnym stosunkiem. – Komisarzu?

– Tak, tak. – Głos Deryły brzmiał, jakby dobiegał zza grubej ściany. – Właśnie wsiadamy do auta. Wracamy do komendy i po drodze postara...

Połączenie zostało zerwane. Deryło musiał na dobre stracić zasięg. Brzeski, nie odrywając wzroku od ekranu, odłożył telefon na skraj biurka.

– To chore... – wyszeptał.

Niespełna pół godziny po telefonie Brzeskiego Deryło wparował do jego gabinetu. Tamara wymigała się, twierdząc, że musi samotnie zebrać myśli. Poprosiła, by komisarz zostawił ją na parkingu, a sama postanowiła wybrać się na przejażdżkę motocyklem, co miało pomóc jej w analizie ostatnich wydarzeń. Zdawało się, że burza minęła miasto i pozostało po niej jedynie odświeżone, naozonowane powietrze.

– Bardzo źle?

Brzeski nie musiał odpowiadać. Miał bladą twarz i jak zaczarowany gapił się w ekran komputera. Jego dłonie wygrywały nerwową melodię o blat biurka.

– Ten sukinsyn jest nawiedzony... Kompletnie szurnięty.

Deryło przyciągnął stary fotel i usiadł obok aspiranta. Był wściekły. A przede wszystkim zrezygnowany. Komuś udawało się wodzić ich za nos przez kolejny dzień co do joty zgodnie z obmyślonym planem. Dwie ofiary to było aż nadto, ale w ciągu paru godzin zapowiadało się, że dojdą do nich kolejne trzy.

– Boże... – Brzeski pokręcił głową. – To po prostu nie mieści się w pale.

Deryło zerknął na ekran. Postać w masce właśnie nachylała się przy jednym z wózków inwalidzkich. Dopiero po chwili komisarz w skrępowanym mężczyźnie rozpoznał rysy Volta. Pamiętał jego twarz z odnalezionych w internecie afiszów teatralnych. Choć Volt się postarzał, a cierpienie wykrzywiło jego twarz, od razu rzucały się w oczy jego charakterystyczny spiczasty nos oraz gęste brwi.

– Co on... Co to jest?

– Imadło. Tylko kręci je w drugą stronę...

Komisarz zacisnął pięści. Nagle doskonale zrozumiał, co wprawiało Brzeskiego w tak wielkie oburzenie. Vitold Volt miał wepchnięte do ust urządzenie, które przy każdym ruchu szaleńca się rozwierało, zmuszając go do jeszcze szerszego rozwarcia szczęk. Już w tym momencie Volt miał nienaturalnie rozwarte usta, a stojący obok niego szaleniec po raz kolejny sięgnął do mosiężnej śruby. Przekręcił ją bardzo powoli. Bardzo, bardzo powoli.

Nagle w głośnikach dało się słyszeć chrupnięcie, a Volt zadrżał spazmatycznie. Widać było, że z całych sił kurczowo chce zamknąć usta. Dwa górne trzonowce, których dotykała krawędź imadła, rozpadły się na kawałki. Szczątki szkliva ułamały się i spłynęły ze śliną oraz krwią po policzku dręczonego mężczyzny. Ten zaczął się dusić. Skóra w kącikach jego ust pękała. Była tak napięta, że przypominała zaledwie błonę, którą można było przebić palcem.

Postać w masce spojrzała w stronę obiektywu. Jakby świadoma wrażenia, które wywoływała w widzach, dozowała ruchy. Ponownie bardzo powoli zaczęła obracać uchwyt śruby. Z ust Volta dobywał się charkot. Momentalnie przerwało go trząśnięcie. Prawy staw żuchwowy mężczyzny wyłamał się i momentalnie opuchł. Cała połowa jego twarzy zdeformowała się, jakby została przemodelowana przez jakąś tajemniczą, wewnętrzną siłę. Pod kością policzkową urosła gula. Volt intensywnie zamrugął, po czym jego wzrok powędrował gdzieś ku górze. Najwyraźniej tracił przytomność. Zamrugął raz jeszcze, teraz już znacznie wolniej.

Deryło poderwał się z fotela i podszedł do okna. Gdzieś w oddali nadal błyskało, jakby burza nie mogła się zdecydować czy natrzeć na miasto. Wiatr targał koronami drzew. Nagle komisarz rąbnął dłonią w parapet. Odwrócił się i ruszył do biurka.

– Możesz to przewinać? – rzucił do Brzeskiego. – Sukinsyn daje nam znaki...



Brzeski już miał prosić o pomoc ViSira, gdy odkrył, że na stronie, na której prowadzona jest transmisja, zamieszczono również link do nagrania prowadzonego od samego początku. Prawdopodobnie miało ono na celu przyciągać jeszcze większą rzeszę widzów. Lub pozwolić im delektować się „przedstawieniem” po raz wtóry.

– Do którego momentu mam przewinąć? – zapytał, gdy wyświetlił się wreszcie suwak z osią minutową.

Deryło oparł się o fotel aspiranta i się pochylił. Zmrużył oczy, chcąc lepiej widzieć obraz.

– Chodzi mi o chwilę, gdy ten sukinsyn rozwiera imadło. Ewentualnie kilka sekund przed.

Brzeski posłusznie zaczął przewijać nagranie. Jednocześnie w zminimalizowanym oknie wciąż śledził relację na żywo. Na szczęście wydawało się, że w tym momencie zwyrodnialec zrobił sobie przerwę. Na ekranie wyświetlał się komunikat „Show prawdziwego cierpienia. CDN.”.

Deryło nerwowo wzdychał, czekając, aż aspirant znajdzie właściwy moment. Nagranie liczyło już ponad trzy godziny, a drobne ruchy myszką przesuwają je o całe minuty. Komisarz westchnął. Starał się opanować zniecierpliwienie i utkwiał wzrok w ścianie. Wolną rękę włożył do kieszeni, w której tkwił rzymski sesterce.

Brzeski nagle się wyprostował.

– Mam... – oznajmił. – Proszę.

Odtworzył nagranie dokładnie od momentu, gdy pod naciskiem imadła rozkruszyły się zęby Volta. Deryło pochylił się jeszcze mocniej. Chciał dostrzec wszystkie szczegóły.

– Możesz zrobić zbliżenie na jego twarz?

– Na twarz Volta czy tego świra?

– Volta...

Brzeski kilkakrotnie kliknął. Tym razem udało mu się wykonać polecenie bez problemu. Nie zatrzymywał przy tym nagrania, na którym w tym momencie Volt, mrugając, spoglądał wprost w obiektyw. Deryło klasnął.

– Ostatnią siłą woli wysyłał wiadomością kodem Morse’a – obwieścił tonem pełnym podziwu. – To nieprawdopodobne, że dał radę zrobić to w takim momencie, ale zrobił to.

– Myślisz, że...

– Jestem pewny. Puść to raz jeszcze, zaczynając nieco wcześniej. Spójrz, jak nienaturalnie mruga.

Kiedy Brzeski przewijał nagranie, komisarz splótł ręce na piersi. Wyprostował się i w zadumie pokiwał głową.

– W niektórych szkołach aktorskich uczą kodu Morse’a – mruknął. – Następnie aktorzy dostają za zadanie porozumiewać się tylko przy jego pomocy. Według jakiejś teorii to doskonałe ćwiczenie mimiki czy czegoś tam...

Wiktorija opowiadała o tym komisarzowi przed paru laty, gdy sama rozważała karierę filmową. Właśnie tak – rozważała. Dla niej nie miała znaczenia statystyka, że w filmach gra pewnie mniej niż co setny absolwent aktorstwa. Trwające ułamek sekundy wspomnienie Deryły przerwał odgłos chrupnięcia stawu żuchwowego Volta. Brzeski ponownie odtworzył nagranie. Kilkakrotnie kliknął, by uzyskać zbliżenie na twarz torturowanego mężczyzny.

Komisarz sięgnął po leżący obok monitora notatnik oraz długopis. Uważnie obserwował oczy Volta i liczył mrugnięcia. Te czasem były wolniejsze, by zaraz stać się szybsze, wręcz kompulsywne. Być może nie przekazywały żadnej treści, a stanowiły jedynie odzwierciedlenie natężenia zadawanego bólu. Ale musieli uchwycić się każdej koncepcji.

– To nie może być przypadek. – Deryło rzucił długopis na biurko. – On w kółko wysyła ten sam sygnał. A raczej wymrukuje to samo hasło.

– Teraz również to widzę. Częstotliwość rzeczywiście się powtarza.

– Wyszukaj w internecie kod Morse’a. Nie pamiętam już wszystkich liter...

Być może Deryło nie zwróciłby na ten szczegół żadnej uwagi, gdyby nie program obejrzany kilka dni wcześniej podczas jednego z ponurych bezsennych wieczorów. Opowiadano w nim historię amerykańskiego żołnierza pojmanego przez wojska Wietkongu. Jankes został zmuszony do udziału w pokazowej konferencji prasowej, podczas której miał zachwalać warunki panujące w obozie jenieckim oraz życzliwość komunistów. W świat poszedłby właśnie taki przekaz, gdyby nie pewien detal. Amerykanin raz po raz mrugał, przekazując kodem Morse’a jedno słowo: tortury. To zburzyło plany zjednania sobie zachodniej opinii publicznej przez czerwonych Wietnamczyków.

Deryło dwukrotnie upewnił się, że właściwie dopasował litery do częstotliwości mrugnięć Volta. Był pewny, że się nie pomylił. W ciągu niespełna pięciu minut mężczyzna czterokrotnie przekazywał jedno słowo.

– Niech go szlag... – wycedził komisarz.

Haler nie jechała szybko. Właściwie wlokła się, klucząc uliczkami centrum, całkowicie pogrążona w myślach. Dzięki temu natychmiast poczuła wibrację komórki. Gdyby pędziła ekspresówką, pęd powietrza tłumilby wszelkie bodźce. Spodziewając się pilnych wieści, natychmiast zjechała na pobocze i zeszła z motocykla. Zdjęła kask, po czym wyciągnęła telefon. Widząc, że dzwoni Deryło, odebrała natychmiast, nie zważając na to, że zastawiła motocyklem parkomat.

– Coś nowego? – zapytała bez ogródek.

Kiedy komisarz zaczął mówić, poczuła nagłe napięcie. Lekko zadrżały palce jej dłoni, a nieprzyjemny skurcz przeszedł po łydkach. Niemal nie zwróciła na to uwagi. Skupiała się na każdym słowie Deryły.

– E-r-e-m? – powtórzyła za nim.

– Tak, ten ciąg znaków przekazuje regularnie co parędziesiąt sekund. Przynajmniej jeszcze niedawno usiłował je przekazywać...

– Zdaje się, że erem to inaczej klasztor, prawda?

– Nie ułatwia to nam zadania. Gdybyśmy mieli przeszukiwać wszystkie klasztory... Poza tym to bzdura. Myślę, że mogło chodzić po prostu o metaforyczną samotnię albo...

Haler przestała go słuchać. Przygryzła wargę. Zamknęła oczy i pogrążyła się w myślach. Te pędziły w jej umyśle jak dawniej, z zawrotną prędkością przeplatając się i uzupełniając. Czuła, że coś jej umyka, że...

– Jesteś tam?

Nie zwróciła uwagi na rozdrażniony ton komisarza. Nagle fragmenty układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Wszystkie zdawały się do siebie idealnie pasować, a z rozrzuconych szczątków układał się spójny obraz.

– „Jestem pewny, że dokładnie opisałem to miejsce” – wyszeptała nagle, otwierając oczy. – „Właściwie od samego początku”.

– Co takiego?

– To słowa, które wypowiedział do ciebie w trakcie rozmowy przez telefon. Dokładnie tak to ujął.

– Wiem, co to za słowa. Ale nadal nic mi nie mówią.

– Chodzi mu o zdesakralizowany klasztor. Rozumiesz? Czy w Lublinie albo w promieniu kilku kilometrów od miasta jest coś takiego?

Deryło nie podążał za tokiem myślenia Tamary. Nie potrafił odtworzyć przebiegu jej rozumowania, ale wiedział, że nie ma czasu na wyjaśnienia. Ważniejsze było ustalenie owego miejsca, nawet jeśli podkomisarz się myliła. Coś mu przyszło do głowy.

– Jakiś rok temu zdesakralizowano jeden z obiektów w okolicach Jastkowa. To zabytkowa ruina, którą wystawiono na sprzedaż pod okiem konserwatora zabytków. Ale...

– Eryku, podaj mi konkretny adres.

– Czekaj na mnie. Już wzywam chłopaków od fajerwerków...

To były ostatnie słowa, jakie Haler usłyszała od Deryły. Chwilę później się rozłączyła i wsiadła na motocykl. Wystarczyło, by rzuciła okiem na mapę GPS, by wiedzieć, jaką drogą jechać.

Do dawnego klasztoru karmelitów miała nie więcej niż dwanaście kilometrów. Choć zgodnie z grafikami, które pokazały się w wyszukiwarce, „klasztor” było określeniem zdecydowanie na wyrost. Zdjęcia sprzed paru lat nie oddawały jednak prawdziwego obrazu. Położony na odludziu, na skraju podmokłych łąk oraz pół budynek z daleka przypominał zbombardowany bunkier. Trudno było doszukać się w nim dawnej bryły. Miał zapadnięty dach oraz zamurowane okna. Ze ścian podpadał niemal cały tynk, odsłaniając zmurszałe cegły. O jego historycznej wartości informowała jedynie niewielka, przybita do drzewa tabliczka opisująca, że jest to obiekt znajdujący się pod ochroną konserwatora zabytków.

Haler żałowała, że nie ma ze sobą broni. Przed wybraniem się na przejażdżkę motocyklem zdała pistolet na komendzie. Wolą unikać jazdy z odsłoniętą kaburą. Zresztą nie spodziewała się, że na jakikolwiek konkretny trop wpadnie z dala od biura. Pragnęła jedynie uporządkować myśli.

Zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od zabudowań dawnego klasztoru. Prowadziła do niego wąska ścieżka, na której wyraźnie widniały świeże ślady opon. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych zabudowań, więc droga musiała wieść jedynie do zabytkowej ruiny. Po obu jej stronach rosły szpalery starych, niebezpiecznie się chylących lip. Tamara starała się jak najdłużej poruszać w ich cieniu. Mimo to, aby nie zdradzić się z daleka warkotem silnika, zostawiła motocykl dwieście metrów wcześniej, na skraju porośniętego chaszczami ugoru.

Budynek byłego klasztoru został zapewne wzniesiony jakieś cztery stulecia temu, w stylu barokowym i stanowił miniaturę wielu podobnych założeń, w których mnisi działali do czasów współczesnych. Miał jedno piętro oraz wysokie, choć w znacznej mierze zniszczone poddasze. Haler przypuszczała, że został także dość rozlegle podpiwniczony. Intuicja podpowiadała jej, że znalazła się we właściwym miejscu.

Dzięki osłonie drzew udało się jej przemknąć niemal pod same ceglane mury. Od strony, z której szła nie było okien, a jedynie niskie dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Gdy się przy nich znalazła, nagle poczuła intensywne mrowienie prawej łydki. Przy każdym kolejnym kroku mrowienie narastało i wreszcie zamieniło się w promieniujący na całą nogę ból mięśnia. Mimo to starała się nie zwracać na niego uwagi. Czujnie rozejrzała się po bryle budynku, wypatrując kamer, lecz te albo były doskonale ukryte, albo stanowiły zbyteczne środki ostrożności.

Ostrożnie dotknęła dłonią rozeschniętych drzwi. Wyczuła, że z łatwością może nimi poruszyć. Pchnęła je, wywołując przeciągłe jęknięcie. Skrzywiła się i odczekała kilka sekund w ciszy. Ze środka nie dobiegł jednak żaden dźwięk. Przesunęła drzwi nieco mocniej, po czym weszła do środka.

Znalazła się w ciemnym, wilgotnym wnętrzu, które rozjaśniały jedynie strużki światła wpadającego przez szczeliny w niedbale zamurowanych lub zabitych oknach. Pomieszczenie przypominało niewielką kaplicę, z której na boki rozchodziły się otwory pozbawione drzwi. Dawniej zapewne stanowiły wejścia do maleńkich cel z kamiennymi łózkami. Drewniane przepierzenie oddzielające maleńką sień zawałiło się i leżało zbutwiało na posadzce.

Haler poruszała się trzymając się ściany. Miała wrażenie, że każdy jej krok odbija się echem. Nie potrafiła jednak poruszać się zwinniej i ciszej. Teraz bolała ją już nie tylko łydka, lecz cała noga. Mięśnie drgały jak rażone elektrowstrząsami, a stawy paliły żywym ogniem. Zaczęła kuśtykać.

– Szlag... – syknęła, rozmasowując udo. – Niech to...

W rogu pomieszczenia dostrzegła ciemną plamę. Po chwili zrozumiała, że znajduje się tam niezastłonięte kłapą wejście do lochów. Ostrożnie przekradła się do niego i ponownie przystanąła. Poza szumem wiatru nie słyszała żadnych niezwykłych odgłosów. Gdy stanęła na pierwszym stopniu, w oddali rozległ się grzmot.

„Świetnie” – przemknęło jej przez myśl. – „W samą porę...”

Mechanicznie, nie bacząc na ból, zeszła po kilku schodkach, ale w środku panowała taka ciemność, że musiała wyjąć telefon i zapalić latarkę. W białym świetle ukazał się murowany korytarz pełen grzybowych wykwitów. Powietrze wypełniał duszny zapach stęchlizny.

Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony krzyk. Haler osłoniła dłonią komórkę i zamarła w bezruchu. Krzyk nie powtórzył się, lecz była pewna, że nie stanowił jedynie omamu. Krok po kroku ruszyła przed siebie. Po kilkunastu sekundach krzyk rozległ się ponownie. Jednocześnie zobaczyła smugę światła padającą na przeciwległą ścianę.

Napięła mięśnie i gotowa odeprzeć atak, brnęła dalej. Nie miała wątpliwości, że znalazła się we właściwym miejscu. Zwyrondnialec i jego ofiary byli blisko. Być może tuż za rogiem.

Deryło był wściekły. Grupa uderzeniowa potrzebowała czasu na dotarcie na miejsce z domu, w którym znaleziono ciało Dębskiego. Jeden z dwóch wozów bojowych utknął na bezdrożach, a drugi był w naprawie. Można było wykorzystać całą tonę innego sprzętu, ale dowódca uznał, że w sprawie, w której do czynienia ma się z seryjnym zabójcą, niezbędne są najwyższe środki ostrożności. Deryło uważał jednak, że od dbania o własne życie ważniejsze jest ratowanie cudzego.

Wbrew rozsądkowi wszczął kolejną kłótnię z Knapem. Inspektor również żądał cierpliwości. Jego zdaniem, skoro internetowa transmisja miała trwać jeszcze kilka godzin, niepotrzebne było działanie natychmiastowe. Nie brał pod uwagę, że każda sekunda może wiązać się z niewyobrażalnym bólem dla ofiar zabójcy.

Skończyło się na tym, że Knap zabronił wydania Deryle służbowego auta. Brzeski nie mógł mu pomóc, skierowany do „analizowania każdego kurewskiego szczegółu nagrania i meldowania o nim, gdyby okazało się, że może wniesić coś do sprawy”. Nie pomogła kolejna interwencja komisarza.

– Nie rozumiesz, że dbam o twoją skórę. – Knap spojrział Deryle prosto w oczy. – Niańczyłem cię prawie przez dwadzieścia lat i nie chcę, żebyś teraz wszystko spieprzył.

– Teraz, a co to za różnica?

– Jeszcze dziś możesz zostać oficjalnie ogłoszony moim następcą...

Komisarz jedynie sarkastycznie się zaśmiał. Wybiegł z gabinetu inspektora i skierował się prosto na parking. Gdy znalazł się na zewnątrz, właśnie zaczynało padać. Wielkie krople deszczu uderzały o pokryty kurzem bruk. Niebo przecięła błyskawica.

Na szczęście citroën odpalił bez problemu. O tej porze nie było ruchu, lecz deszcz zaczynał padać coraz intensywniej i mimo wczesnej godziny zrobiło się niemal ciemno. Mocne porywy wiatru zmuszały komisarza do zdejmowania nogi z gazu na otwartej przestrzeni. Nadsterowna furgonetka w każdej chwili mogła stracić przyczepność, tym bardziej biorąc pod uwagę stan jej kilkukrotnie już, lecz zupełnie amatorsko, naprawianego zawieszenia. Gdy tylko Deryło zjechał z obwodnicy, wyciągnął telefon i wybrał numer Tamary. Oczekał pięć albo sześć sygnałów, lecz nie odebrała.

Zawahał się, czy powinien dzwonić ponownie. Uznał to za zbyteczne. Wiedział, że przed niczym jej nie powstrzyma, a jego błagania na nic się zdadzą. Musiał skupić się na jeździe i jak najszybciej dotrzeć do wskazanego przez Halera miejsca.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego wytypowała właśnie ten zdekonskrowany klasztor.

Tamara wstrzymała oddech. W ostatnim momencie udało się jej nacisnąć guzik wyciszenia telefonu. Gdyby nie trzymała go w dłoni, pustkę podziemi wypełniłby jazgot dzwonka.

Deryło.

Zawsze dzwonił w samą porę.

Haler, osłaniając latarkę, poruszyła się w stronę załomu muru. Właśnie stamtąd przed chwilą po raz kolejny dobiegł ją stłumiony krzyk. Zastanawiała się, czy wrażenie nie mogło być potęgowane przez echo lub czy pogłos nie wprowadzał jej w błąd, lecz nie widziała żadnej innej drogi. Dwie małe wnęki, które minęła, były puste. O ile cokolwiek się znajdowało w podziemiach, musiało być właśnie za załomem korytarza.

Powoli się wychyliła. Momentalnie przebiegł ją dreszcz. Kilkanaście metrów przed nią znajdowało się pomieszczenie, w którym ustawiono włączony reflektor oraz rozmaite sprzęty. Wyraźnie widziała niebieską poświatę monitorów. Ponadto w półmroku błyskały kolorowe diody.

Niemal bezgłośnie brnęła do przodu. Wyłączyła latarkę i schowała telefon. Miała nadzieję, że dla osoby stojącej w nieco jaśniejszym pomieszczeniu nadal pozostaje kompletnie niewidoczna. Wkrótce dostrzegła scenę, którą widziała już na internetowym nagraniu. Serce załomotało jej w piersi, a nagle wyrzucona adrenalina stłumiła ból nogi. Tamara poruszała się szybko i sprawnie.

Przekradła się ku niewielkiej niszy i wyjrzała zza niej na prowizoryczną scenę. Znajdowały się na niej trzy osoby przywiązane do wózków. W świetle reflektora wyraźnie widziała zakrwawioną twarz Volta, który miał włożoną do ust jakaś wymyślną konstrukcję. Tuż obok niego siedział Werski. Metr dalej, w półcieniu, znajdował się Dariusz Liber. Jego ubranie było całkowicie mokre i wydawało się, że w tym momencie jest nieprzytomny. Poza tym Haler nie dostrzegła nikogo. Przez minutę lub dwie uważnie wpatrywała się w ciemność. Jej przyzwyczajone do mroku oczy lustrowały kolejne zakamarki, ale nie widziała ani jednego miejsca, gdzie mógłby się ukryć zwyrodnialec. Nie było go również przy szafce z aparaturą ani przy laptopach.

Nie spodziewał się jej tak wcześniej – przemknęło jej przez myśl. – Może w ogóle się jej nie spodziewał, choć dał tak jasne wytyczne do miejsca, gdzie się znajduje.

Haler uznała, że nie powinna tracić nawet sekundy. Być może miała nieco szczęścia i musiała je wykorzystać. Truchtem przebiegła obok sprzętów elektronicznych, po czym obróciła reflektor. Wołała, aby nie oświetlał bezpośrednio miejsca, w którym się znajduje. Jednocześnie zdradzała tym ruchem swoją obecność.

Pal diabli.

Dopadła do Volta i drżącymi dłońmi usiłowała zerwać z jego głowy konstrukcję przypominającą imadło. Mężczyzna żył. Mimo że jego twarz była obrzęknięta, a z ust ciekła krew, wciąż na nią patrzył. Cicho przy tym pojękiwał. Wreszcie, gdy Haler odkręciła śrubę i metalowe urządzenie upadło na podłogę jego głowa bezwładnie poleciała do przodu. Tamara dotknęła jego szyi i wyczuła delikatny, lecz miarowy puls. Odetchnęła.

Po raz kolejny rozejrzała się po pomieszczeniu, lecz teraz, gdy znajdowała się w nieco bardziej oświetlonym punkcie, jego rogi tonęły w mroku.

Nagle tuż zza jej pleców dobiegł szept.

– Jestem tutaj, moja droga. Szukałaś mnie?

Deryło dostrzegł zaparkowany na poboczu motocykl Haler. Wdepnął hamulec, a citroën jeszcze kilka metrów ślizgał się po rozmokniętej przez coraz intensywniejszy deszcz drodze. Burza rozpętała się na całego. Błyskawice co chwilę przecinały niebo, a grzmoty dudniły niemal bez chwili przerwy.

Komisarz zerknął na majaczący przed nim budynek. Bryła dawnego klasztoru była ledwie widoczna zza strug deszczu. Ruszył truchtem w jego stronę. Nie obawiał się, że ktoś mógłby go dostrzec. Gdzieś tam znajdowała się Haler. Nawet jeżeli w środku rzeczywiście zaaranżowano makabryczny teatr, komisarz nie musiał się przejmować skradaniem.

Już z kilkunastu metrów dostrzegł, że jedno skrzydło drzwi jest uchylone. Poczł dziwny dreszcz niepokoju. Towarzyszyło mu nieustanne wrażenie, że zjawił się zbyt późno. Na co? Po co? Aby załapać się na darmową wejściówkę, jak to ujął ten szaleniec? Odegnął ponure myśli i przebiegł ku wejściu. Jego buty z plaskaniem odrywały się od błota. Był cały przemoczony. Okolicę raz po raz oświetlały błyskawice. Gdy wemknął się do dawnego klasztoru poczuł krótkotrwałą ulgę. Gdyby miał teraz czas się nad tym zastanawiać, zrozumiałby ludzi pierwotnych zasiedlających jaskinie, w których czaiły się dzikie bestie. Potrzeba schronienia była mocniejsza od lęku.

Grzmoty tłumiły odgłos jego kroków. Przez chwilę musiał jednak poczekać, aż jego wzrok przyzwyczai się do panującego w środku mroku. Wyciągnął glocka i skierował się wzdłuż pustych wnęk.

Czyjś krzyk dobiegł go, gdy był mniej więcej w połowie długości ściany. Przystanął i w pozycji strzeleckiej rozejrzał się wokół. Dopiero po chwili dostrzegł ciemność otworu prowadzącego ku klasztornym piwnicom. Bez wahania ruszył w jej stronę. Postanowił nie używać latarki tak długo, jak to będzie możliwe. Dopóki pozostawał niewidoczny, dopóty miał pewną przewagę.

Na dole panowała niemal kompletna ciemność, lecz z oddali dobiegały go stłumione dźwięki. Instynktownie kierował się w ich stronę. Chwilami, gdy grzmoty były tak potężne, że zagłuszały wszelkie odgłosy przystawał, by potem wsłuchać się w ciszę. Po kilku minutach brnięcia krok po kroku przed siebie dotarł do załomu korytarza. Jego przyzwyczajony już do mroku wzrok wychwycił bladą poświatę padającą na jedną ze ścian. W momencie, gdy czekał na grzmot, by pod jego osłoną ruszyć dalej, usłyszał głos Haler. Nie miał żadnych wątpliwości. To była właśnie ona.

Chwycił mocniej rękojeść pistoletu i nie zważając na nic, ruszył w kierunku, skąd dobiegał dźwięk. Po chwili dostrzegł obrócony reflektor rzucający światło na upiorną scenografię. Przełknął ślinę. Jedną z osób przykutych do wózków inwalidzkich była właśnie Tamara.

Tuż obok stał on. Zdawało się, że doskonale widzi Deryłę. Skinął w jego stronę i teatralnie się uklonił.

– Zapraszam, komisarzu. Czekaliśmy na pana. Pewnie pan wie, że oglądają nas miliony widzów.



Deryło nie strzelił. Mimo że miał Karola Werskiego na muszce, ten trzymał brzytwę tuż przy gardle Tamary. Ryzyko, że nawet upadając, mógłby ją zranić, było zbyt duże.

A więc Tamara się nie myliła. To był właśnie on.

– Dlaczego pan to robi? – zapytał, wchodząc powoli do pomieszczenia.

Niemal przez całą drogę zastanawiał się nad tym pytaniem. Wszystko inne się zgadzało. Parafraza słów Dostojewskiego, na które zwróciła uwagę Haler, w nawiązaniu do wskazówek z rozmowy telefonicznej ograniczała się do opisu miejsca, w którym „nie ma Boga i nie ma kary”. Byłoby to stwierdzenie dość lakoniczne, ale właśnie w ten sposób pogrywał Werski. Dawał sam sobie fory. Mimo wszystko dzięki wiadomości nadanej kodem Morse’a przez Volta jego przesłanie stawało się jasne. Być może zresztą wśród pozorowanych śladów starał się jeszcze w jakiś inny sposób naprowadzić ich na swój trop. Robił to jednak przez pryzmat własnej perspektywy, w której zawsze uważał się za przesadnie obnażonego. Jak większości sprawców wchodzących w interakcję z policją, zdawało mu się, że ujawnia zbyt wiele, w rzeczywistości rzucając jedynie szczątkami. Tak było w przypadku Unabombera, Zodiaka i wielu, wielu innych.

– Dlaczego? – Mężczyzna parsknął. Zerknął gdzieś ponad ramieniem Deryły w obiektyw kamery. – Naprawdę nie wiecie? – Poruszył brzytwą przy gardle Haler. Uniósł drugą dłoń, w której trzymał pistolet. – Niech pan opuści broń, komisarzu. Proszę.

Tamara szarpnęła się, lecz miała ręce i nogi przywiązane do metalowych elementów. W jej usta wepchnięto knebel. Deryło jednak wyraźnie widział, że kieruje na niego spojrzenie, jakby chciała mu coś przekazać.

– Naprawdę nie rozumiecie, w czym rzecz?

Deryło wciąż trzymał Werskiego na muszce. Stał w miejscu kilkanaście metrów od niego. Wydawało mu się, że ma znaczne szanse trafienia, a jednocześnie zbyt mocno obawiał się o Haler. Co więcej, czego z pewnością by przed sobą nie przyznał, starał się zrozumieć mordercę. Nigdy nie zależało mu na odpląceniu śmiercią za śmierć. Nie był ani Bogiem, ani sądem.

– Niech pan opuści broń komisarzu – powtórzył Werski. – W każdej chwili mogę zabić któreś z nich. Daję panu słowo, że na razie tego nie zrobię.

Deryło nie wiedział, dlaczego przestał mierzyć. Powoli opuścił rękę, spoglądając prosto w oczy Werskiego. Mierzył się z ich nieprzeniknioną, ciemną tonią. Nie było w nich nic hipnotyzującego, a jednak miał wrażenie, że kryje się w nich bezgraniczny smutek.

– Zabiłeś swoją córkę... – wycedził. – Co za zwyrodnialcem trzeba być...

Mężczyzna machnął ręką.

– Moją córkę? Naprawdę nadal pan myśli, że jestem jej ojcem? – Zaśmiał się krótko i teatralnie. – Myślicie, że jestem Karolem Werskim? Ten gnój był mi potrzebny tylko jako brakujący element. Nie stawiał się ani na pogrzebie córki, ani nie zgłosił do was na wieść o jej śmierci. Miał ją w dupie, choć uważał, że wcale tak nie jest. Skoro nie mogłem zwiększyć jego cierpienia, wlałem w niego tyle alkoholu, ile tylko pragnął... Zabiłem go poza kolejnością.

– Ale przecież...

– Czy Tereska nie powiedziała panu, że Werskiego nie było na pogrzebie?

– Nie.

Deryło sapnął. Powinien to zweryfikować.

– Tereska? – dopytał nagle. – Jesteś...

– Owszem. Wreszcie zrozumiałeś. Prawda?

– Jestem ojcem Teresy.

Te słowa sprawiły, że Deryło poczuł zimny dreszcz. Od początku mógł się wszystkiego domyślić. Właściwie mieli wszelkie potrzebne elementy, a lawirowali dokoła sedna jak ćmy okrążające żarówkę. Być może robili to zresztą umyślnie? A przynajmniej on sam, podświadomie wyczuwając kruchą istotę sprawy.

Nie odezwał się. Stał kilkanaście kroków od człowieka, który zamordował trzy osoby, a przy tym nie uważał go za obłąkanego. Haler miała rację.

Zerknął na dyszącego Volta. Mężczyzna uniósł głowę i starał się nabrać powietrza. Z jego gardła dobył się szorstki charkot. Siedzący obok Liber miał szeroko otwarte oczy, w których kryło się niewysłowione błaganie o pomoc. Tymczasem Tamara lekko opuściła głowę i oddychała dziwnie spokojnie. Jakby była już ze wszystkim pogodzona. Jakby wiedziała, w jaki sposób ta scena się skończy.

Piwnik potrząsnął pistoletem. Wymierzył nim w stronę Volta, ale zaraz opuścił lufę.

– Wie pan, co oni jej zrobili? Nie byłby pan sobie w stanie tego nawet wyobrazić – syknął jak oparzony. – Gwałcili ją jeden po drugim i nagrywali to, aby przekazać nagraniem swoim klientom. Swoim widzom... Właśnie to ich zdaniem była prawdziwa, autentyczna sztuka. Żeby uatrakcyjnić przekaz, w pewnym momencie skrępowali moją córkę, a w pobliżu jej krocza wypuścili szczura. Papierosami pobudzali go, by wdrapał się w nią. Rozumie pan? Moja córka nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Ja nigdy nie będę miał wnuków. – Piwnik pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni. W jego oczach skrzyły się łzy. – Powiedziała panu o tym szczególe? Nie sądzę.

Deryło zrobił krok w jego stronę. Wciąż zaciskał dłoń na rękojeści pistoletu. Dawniej był dobrym i szybkim strzelcem, ale teraz... Musiał grać na zwłokę.

– Dlaczego tak długo czekałeś z zemstą? – zapytał, poruszając się o kolejne kilka centymetrów. – Od tamtych wydarzeń minęło przecież prawie dwadzieścia lat. Dwadzieścia cholernych lat!

– Mówią, że czas koi rany, prawda? A w moim przypadku jedynie je rozgrzebywał. Gdy każdego dnia myśli się o tym, że gnojom, którzy skrzywdzili twoje dziecko, się upiekło, możesz nauczyć się cierpliwości. To w zasadzie nic trudnego. Po kilku miesiącach z bezgranicznej rozpacz przechodzi się w stan hibernacji, z którego, łudziłem się, że się wybudzę, widząc jak ci sukinsyni cierpią.

Komisarz znów pomyślał o Wiktorii. Gdyby ktokolwiek zrobił jej krzywdę... Nie wahałby się go zabić bez względu na konsekwencje. Mógł się już przekonać, że wbrew swoim przekonaniom oraz głęboko wpojonym zasadom w takim przypadku straciłby jasność osądu. Chciałby być sądem i Bogiem. Chciałby być katem.

Zrobił kolejny krok, jednak Piwnik zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

– Każdego dnia myślałem o tym, żeby ich dorwać – ciągnął monotonnym tonem. – Ale też każdego dnia wiedziałem, że jestem potrzebny Teresie. To również uczyło mnie cierpliwości i kazało odłożyć zemstę na później. Chyba coś pan wie o dorastających córkach, komisarzu. Prawda?

Deryło nie odpowiedział. Bezwiednie, z całej siły, zaciskał lewą pięść. Przenosił spojrzenie z Piwnika na przykutych do wózków inwalidzkich mężczyzn. Nieco dłużej zatrzymywał je na Haler. Zabójca musiał to wychwycić, bo nagle przerwał swoją opowieść.

– Zapewniam pana, że ona nie była celem – odezwał się łagodniejszym głosem niż dotąd. – Nigdy nie chciałem skrzywdzić nikogo poza bliskimi tych skurwysynów i nimi samymi. Przygotowywałem się do tego zbyt długo, żeby popełnić prosty błąd. Wiedziałem, jak działać. Wiedziałem, że będziecie tworzyć mój profil, więc któregoś dnia śledziłem panią podkomisarz aż do domu. Potem poszło już wyjątkowo łatwo... Gdy sprawa dotyczy nas osobiście, tracimy perspektywę. Dlatego starałem się sprawić takie wrażenie, nachodząc ją i zabierając telefon. – Piwnik westchnął. – To wystarczyło, żebym zyskał kilka dni. Przez ten czas zastanawialiście się nad *modus operandi*, tak to się profesjonalnie nazywa, prawda? A ja mogłem spokojnie działać. Potrzebowałem jedynie trzech pełnych

dób. Tak to sobie rozplanowałem.

– Dębski był niewinny... – wycedził Deryło. – To tylko policjant, którego umyślnie wmieszałeś w swoje rozrachunki.

– Wcale nie! – Piwnik wybuchnął złością. – On? Niewinny? Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że pobił córkę Werskiego. A samo to, abstrahując od tego, kim ona była, usprawiedliwia, żeby facetowi uciąć jaja.

– Ty ją zabiłeś – cierpko wtrącił komisarz.

– I co z tego? Miałem wystarczający powód. Robiłem to z bólem serca i modliłem się, żeby mi wybaczone. Tyle że w jaki sposób można odpłacić za ból i krzywdę najbliższej osoby? Nie zrekompensuje tego żadna tortura. Po dwudziestu latach rozmyślań przynajmniej tego byłem pewny. Musiałem najpierw zabić ich bliskich. Tak, żeby poczuli dokładnie to, co ja czułem.

– Mimo to zabiłeś kogoś, kto nie wyrządził ci krzywdy. To stawia cię z nimi w jednym szeregu. – Deryło skinął w stronę sceny. – Rozumiesz? Chciałeś ofiar i je masz, ale już dość.

Piwnik pokręcił głową.

– Nie. Myli się pan. Tamto pobicie było jak dar losu i wpadłem na pomysł, żeby skontaktować tego gliniarza z Voltem. Niedawno dowiedziałem się, na jakim zadupiu mieszka ten skurwiel. Gdy dowiedział się, że zginęła córka Werskiego, od razu wpadł w panikę. On jeden domyślał się, co się dzieje. Gliniarz zginął przez kompletny przypadek. Przyłapał mnie w niewłaściwej chwili. A teraz w niewłaściwej chwili znalazł się tu również pan wraz z podkomisarz Haler. Takie jest życie. Zresztą... To już naprawdę koniec.

Mężczyzna nagle uniósł pistolet i wycelował w Tamarę.

Deryło instynktownie odskoczył, wciąż mierząc do Piwnika. Gdyby ten chciał zabić Haler, zrobiłby to bez problemu. Mimo to nie nacisnął spustu. Jedynie uśmiechnął się ponuro i wzruszył ramionami.

– Nie... To jest tak łatwe... – wyszeptał ponownie, zerkając w kamery. – Ona nie musi ginąć. Pan też.

Powoli podszedł do wózków inwalidzkich. Komisarz z łatwością mógł teraz strzelać, a jednak tego nie zrobił. Coś go powstrzymywało. Piwnik stanął obok Libera. Spojrzał mu w oczy, po czym przeniósł wzrok w stronę kamer.

– Gwałcili ją jeden po drugim, kilkanaście razy. – Pociągnął nosem i odchrząknął. Głos momentami mu się łamał. – Wiem, że nagranie za astronomiczną kwotę kupiło kilka osób, które wcześniej doceniały teatr tych gnojzków. Cholerni, nowobogacy idioci uznający się za koneserów sztuki. Był to dla nich jedynie wyjątkowy performance dostarczający więcej wrażeń niż oglądanie zwykłej pornografii. Materiał nigdy nie trafił do sądu ani do prokuratury. Ale mniejsza z tym. To już nie ma żadnego znaczenia. Czas zakończyć tę cholerną udrękę.

– Nie rób tego...

– Bo? Naprawdę chce pan, aby ci śmiecie żyli? Sprawa już dawno się przedawniła. Nawet gdyby dołożył pan wszelkich starań, nie poniosą żadnej kary.

– Nie ty jesteś od jej wymierzania. Zrobi to Bóg, a jeśli nawet go nie ma, to każda z tysięcy osób, które oglądają tę transmisję. Już ich skazałeś...

Deryło mówił to nad wyraz spokojnie. Jednocześnie nieustannie mierzył do Piwnika. Mężczyzna z rezygnacją pokręcił głową, po czym jeszcze raz powiódł wzrokiem po twarzach skrępowanych ofiar. Volt zaczął się rozpaczliwie szarpać. Komisarz kątem oka dostrzegł, że Haler stara się zwrócić jego uwagę. Kręciła głową, jakby chciała mu coś przekazać. Wiedział co. Mówiła „nie rób tego”. Mimo to nieco opuścił broń i cofnął się o krok. Ustawił się w pozycji strzeleckiej, w której mógł zareagować w każdej chwili.

Piwnik łypnął na niego i niemal niezauważalnie kiwnął głową. Przez moment ich spojrzenia się przenikały.

– Ich przerażenie napawa mnie ogromną radością – szepnął. – Krew za krew.

Nagle przesunął się i wystrzelił. Kula roztrzaskała głowę Libery. Fragmenty kości czaszki oraz mózgu zabryzgały scenę. Deryło nie poruszył się. Nie nacisnął spustu, choć nic nie przesłaniało mu linii ognia. Stał nieruchomo z zaciśniętymi ustami, obserwując bieg wydarzeń. Piwnik powoli podszedł do Volta i oddał kolejny strzał. Ciało skrępowanego mężczyzny drgnęło spazmatycznie, po czym zastygło w nienaturalnej pozycji.

– Przepraszam, Teresko...

Piwnik głośno pociągnął nosem. Ostatni strzał oddał wprost w swój podbródek. Pokrywa jego czaszki eksplodowała wraz z tkanką mózgową. Momentalnie, niczym wypuszczona pacynka upadł na scenę.

Deryło dopiero teraz opuścił broń.

Nagranie egzekucji było nie tylko jednym z najpopularniejszych filmików w sieci, ale również stanowiło istotny dowód w postępowaniu dyscyplinarnym przeciwko Deryle. Komisarza oskarżono o poważne służbowe zaniechanie oraz narażenie życia i zdrowia ludzi, w tym funkcjonariusza policji. Powołano komisję śledczą, a awans na naczelnika wydziału w jednej chwili stał się tematem tabu. Nagranie co prawda nie obejmowało Deryły, więc nie było widać, gdzie się dokładnie znajdował ani jaką miał pozycję strzelecką. Haler bez mrugnięcia okiem zeznawała na jego korzyść, argumentując wbrew faktom, że nie mógł oddać czystego strzału. Komisarz przyjął strategię milczenia. Nie zasłaniał się ani brakiem pamięci, ani szokiem, lecz popadł w dziwną zadumę. Decyzję o czasowym zawieszeniu przyjął nawet z ulgą.

Całymi godzinami przesiadywał w fotelu przy swoim biurku, patrząc na zdjęcie Wiktorii. Składał przy tym dziesiątki żurawi origami, które podarte lub zmięte kończyły swój krótki żywot w koszu.

Jednak tego popołudnia z przymkniętymi oczami słuchał muzyki. Tony *Gnossienne* Satiego pochłonęły go bez reszty. Wczuwał się w emocje towarzyszące kompozytorowi przy tworzeniu oraz ich różnorodność w kolejnych utworach cyklu. Mimo to w tle jego myśli wciąż przewijała się córka. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przygryzał wargę, by ta nie drżała. Było mu wstyd przed samym sobą.

Wibracja odłożonego na biurko telefonu wżynała się w jego mózg. Z irytacją podniósł się, po czym sięgnął po komórkę. Zazwyczaj rozłączał połączenia nadchodzące z nieznanymi numerów, jednak tym razem zamyślony odebrał. Po chwili usłyszał ponury, a zarazem surowo służbowy głos kobiety.

– Pan Eryk Deryło? Dzwonię ze szpitala wojewódzkiego w Lublinie. Pani Haler wskazała pana jako osobę, którą mamy poinformować, gdyby...

Komisarz wstrzymał oddech.

—= FADE TO BLACK =—

## Posłowie

Cóż wydarzy się dalej? Tego jeszcze nie wie nikt. Umyślnie po napisaniu ostatniej kropki staram się oderwać myślami od powieści, by nie doszukiwać się ciągu dalszego. W przeciwnym razie bez odpoczynku musiałbym usiąść do spisywania kolejnego tomu. Ważna jest jednak cierpliwość. Przecież również w życiu nie dostajemy gotowych rozwiązań. Nie znamy kolejnego dnia ani nawet następnej minuty. Stanowią one nieustanne zaskoczenia. Czasem dobre, a czasem złe, ale jednak właśnie dla samej ich tajemnicy warto trwać.

Może nam się zdawać, że wiemy, co będziemy robić dzisiejszego wieczoru albo choćby za parę minut. Otóż nie, w rzeczywistości nie mamy o tym pojęcia. Jesteśmy władni tylko przewidywać lub silić się na prognozy. Na nasze życie ma wpływ tak wiele zmiennych, że wydarzyć się może naprawdę wszystko. Bez względu na to, czy nasz los został z góry wpisany i czy coś takiego jak wolna wola w ogóle istnieje. Swoją drogą, gdyby bieg zdarzeń miał być ukartowany, obserwujący to wszystko „Stwórca” musiałby być strasznym nudziarzem, egocentrykiem i cynikiem. Trzy nieszczęścia w jednym. Dlatego osobiście odrzucam tę ponurą teorię.

Tymczasem wstrzymałem oddech jak Deryło. Przez ostatnie tomy zżyłem się z Tamarą Haler i stała mi się równie bliska jak komisarz. Niezbadane są jednak wyroki Opatrzności. Być może niebawem jej światło zgaśnie. W końcu kres czeka za rogiem na każdego. Również kariera Deryły zawisła przecież na włosku. Ale... Dość o tym.

Wybiegając w przyszłość, zarzucamy radość z chwili bieżącej. A oto dobiegła końca kolejna sprawa naszego duetu i mam nadzieję, że odczuwają Państwo satysfakcję z odbytej lektury. Mnie dostarczyła wiele emocji, przyprawiając często o drżenie dłoni nad klawiaturą, czy akcja potoczy się we właściwą stronę. Czy oby nie zabrnę w ślepy zaułek pisania bez planu oraz konspektu? Jednak w przypadku tej serii kolejnym scenom zdaje się towarzyszyć z góry zapisany pęd, owo bergsonowskie *élan vital*, które pcha je nieustannie naprzód. Jak długo? Nad tym nie powinniśmy się zastanawiać, choć lepiej nie zapeszać. Wiadomo przecież, że na nic się zdaje zaklinanie przyszłości, a składanie żurawi origami to tylko przesąd. A jednak myśląc właśnie w ten sposób, Deryło nieustannie je składa... Wątpliwość zawsze istnieje.

Dziękuję Państwu za kolejną wspólną przygodę. W końcu jedno jest pewne – ci bohaterowie żyją tak długo, jak długo tkwią w naszych umysłach.

Ukłony

Max Czornyj

Mroczna seria z lubelskim komisarzem  
Erykiem Deryło i Tamarą Haler!

